JÓZEF IGNACY

KRASZEWSKI

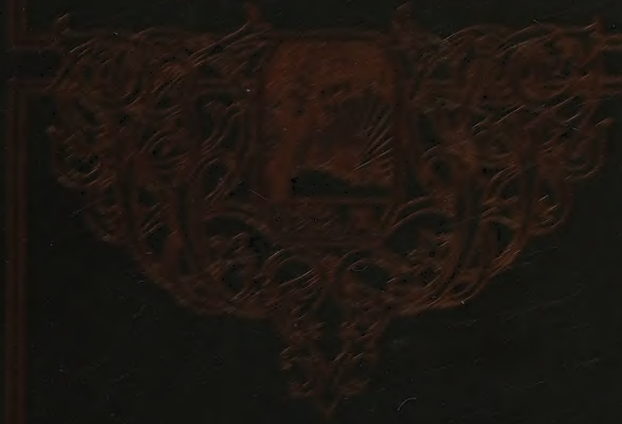

POWIEŚCI HISTORYCZNE

WYDAWNICTWO
MARCTA
W WARSZAWIE

J·I·KRASZEWSKI

MASŁAW

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

BIBLJOTEKA WIELKICH PISARZÓW
SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE
10 TOMÓW KWARTALNIE

MASŁAW

M. ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE

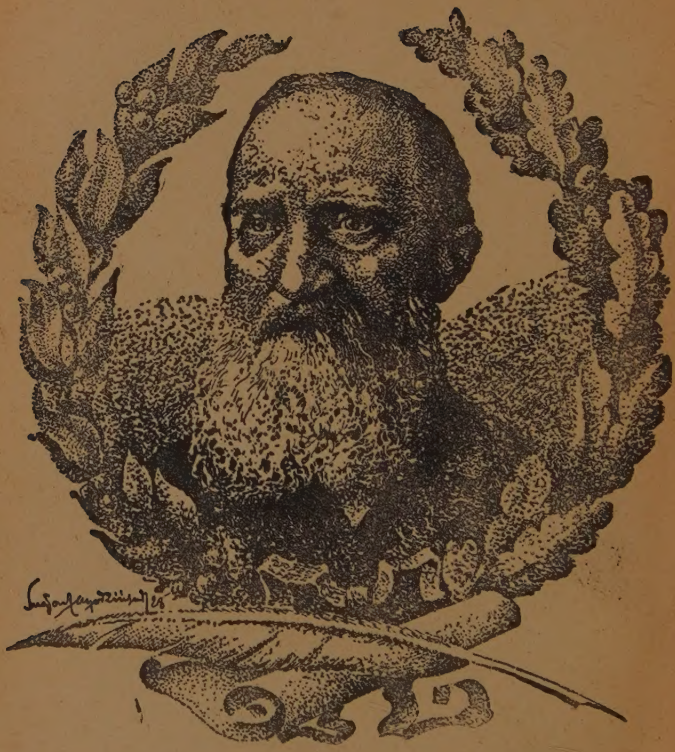

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ur. 1812 r. † 1887 r.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom IX

J. I. KRASZEWSKI

MASŁAWA

POWIEŚĆ Z XI WIEKU

CZĘŚĆ I

1928

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

PRINTED IN POLAND

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225.

I.

Smutny był to wieczór jesienny; słońce zakryte, którego spłowiałe blaski z za chmur gdzie niegdzie przeglądały, już się ku zachodowi skłoniło. Całe sklepienie niebios okrywały szare, podarte, kłębiące się, zbite nad widnokręgiem w ciemną, jednostajną zasłonę obłoki.

W powietrzu oczyma było można dojrzeć górą goniący wicher, który kiedy niekiedy tylko z chmur spadał na ziemię, sunął się po niej, uginając drzew wierzchołki, obłamując gałęzie i uciekał znów gdzieś w górne szlaki.

Ziemia, obleczona żałobą, szara, z zieloności odarta, wydawała się zmarłą, uśpioną, gdy ponad nią pędem leciały z zachodu poszarpane dziwnie, postrzępione, rozpływające się i zalewające obłoki, przybierające barwy różne, jakby je to gniew rumienił, to złość sinemi czyniła. Tam, gdzie czuć było słońce, gorzały żółtawe łuny, gdzie na chwilę obnażyło się niebo, jaśniało jakąś barwą zielonawą. Szare chmury wszystkie zdawały się śpieszyć na wschód, by tam stanąć, jak wojsko do boju, jedną groźną czarną lawą.

Dołem niewesoły też krajobraz przedstawiał się oku. Niska, błotnista dolina leżała wśród lasów, które ją czarnemi obejmowały ścianami. Gdzie niegdzie stało na niej osamotnione, napół zeschłe, czy zgorzałe drzewo prastare, z gałęźmi obnażonemi i jakby w rozpaczy podniesionemi do góry.

Resztę liści pożółkłych oberwały z nich wichry jesienne.

Wśród błota wiła się droga, na której świeże ślady wypisały jakieś straszne dzieje wczorajsze, niestarte jeszcze niczem i niespłókane, nieoschłe i niezarosłe.

Czytać było można z tej drogi, jak z księgi, co się tu wczoraj, dziś może dziać musiało. Przeszła po niej burza straszliwa; wydeptana była, wygnieciona, wybita, jakby nią mnogi lud i stada przeszły, koła ją poryły, drągi porozrzynały, tu i owdzie leżały drzewa, wozów połamanych szczęty, potargane powrozy. Znać było na niej resztki wielkiego obozowiska, czy olbrzymiej gromad wędrówki.

Na śliskiej powierzchni gdzie niegdzie bosych nóg ślady się wycisnęły, dziecięce obok starych, zwierzęce obok ludzkich; ówdzie leżącego ciała znamię, które padło i wlokło się, pasami porąc ziemię. Wśród kałuż błota były i czarne zastygłej posoki plamy.

Wojny to zdawały się być ślady nielitosne, co po sobie śmierć i spustoszenie zostawiły.

Na stratowanym gościńcu szczątkami życia karmiło się ptactwo, dziobiąc rozsypane ziarna, pijąc może krew rozlaną.

Wdali na pagórku widać było mury ogorzałe, niżej sterczące w dolinie belki czarne, powywracane budowy, szczątki jakiejś ludzkiej osady, w której nie było człowieka.

Ponad tą pustynią głuche panowało milczenie, z wiatrem tylko kiedy niekiedy dolatywało jakby żałośliwe psów wycie. Stado kruków i kawek zwijało się w powietrzu, to przypadając ku ziemi, to podnosząc się z wrzaskiem i krążąc nad opustoszoną doliną. Ptacy obejmowali tu panowanie, a zwierz z lasów poglądał, rychło mógł przyjść za niemi, po człowieku zagarnąć dziedzictwo. Nad błotem latały z krzykiem bolesnym, strwożonym czajki. Jedno życie się tu skończyło, zaczynać miało drugie.

Na ścieżynie, wiodącej do najbliższego cypla lasu, ukazał się jeździec na koniu. Wysunął się zwolna z za

gałęzi, stał i patrzał długo — nasłuchiwał bacznie, nim się dalej posunąć ośmielił.

Oko jego rozglądało się po okolicy, wśród której nie widać było żywej duszy, głosu, ni cienia człowieka.

Jeździec ów z ciemną brodą potarganą, lat średnich mężczyzna, był jakby świeżo wyrwany z boju i ocalały z walki — potłuczony cały i krwawy. Pancerz miał poszarpany od ciosów, co go ugodziły i na kawały na nim porozcinały. Szmaty jego wisiały nań, obnażając gdzie niegdzie pokaleczone ciało krwawe. Reszta pogiętego hełmu ledwie się trzymała na głowie, bujnym, ciemnym włosem okrytej, strzaskanego miecza głownia wisiała mu u pasa; w ręku miał kawał włóczni złamanej, w kilku miejscach zbroja i z pod niej przezierająca odzież rdzą brunatną, zaschłą krwią była zbroczona.

Koń pod nim posieczony i poraniony był także, szedł, nakuliwając z głową zwieszoną, a gdy mógł stanąć, wnet łeb spuszczał, szukając pod nogami wyschłej trawy, w kałużach wody.

Pomimo tej nędzy dzisiejszej na wojaku i jego wierzchowcu znać było dawne, lepsze czasy. Twarz biednego wybladłego zbiega rysy miała szlachetne i dumne, oko zamglone było smutkiem nie niewieścim, lecz mężną rycerską niedolą. Poszarpane suknie i zbroje niegdyś były kosztowne i piękne.

Westchnąwszy, gdy z konia obejrzał okolicę, zsiadł z niego wędrowiec, poklepał biedne zwierzę po szyi, uzdę wziął w rękę i podpierając się dzidą, powolnym krokiem począł iść ku pogorzelisku. Ranny w nogę, z posieczoną piersią, rozbitą głową, wlec się musiał powoli i często odpoczywać. Zdało się czasami, że, zachwiawszy się, padnie, że mu ochota odejdzie dalej się tak ciągnąć, aby nędzny żywot ocalić; stawał, opierał się na koniu, dyszał i znowu tak wlókł się ku pogorzelisku. Koń też, kulejąc i upadając prawie, szedł posłuszny, a raczej dawał mu się ciągnąć, skubiąc z głodu resztki traw, gdy je znajdował po drodze.

Tak ścieżką tą od lasów, znaną mu pewnie, zbliżał się wojak ów ku kopcowi naprzód, grodzisku otoczonemu wałami, na którem spalonego zamczyska widać było sczerniałe ściany.

Spustoszenie straszliwe jakieś, nieludzkie przeszło tędy niedawno jeszcze, nie zostawiwszy po sobie nic, nad kupę węgli i gruzu. Na okopach poopalane, połamane sterczały gdzie niegdzie ostrokoły, brama strzaskana, napół zgorzała leżała w błoto wciśnięta na ziemi.

Krokiem powolnym przybysz wsunął się w środek okopów. Miejsce to musiało mu być dobrze znane, szukał po niem oczyma w gruzach przeszłości, którą pamiętał.

Żadna budowa nie ostała się całą na grodzisku; gdzie niegdzie tylko sterczały ściany kamiennych murów grubych, napół poopalane, oparłszy się zniszczeniu. Obok ziemia nawet była poryta, jakby w niej czegoś szukano. Rozbitych naczyń skorupy, rozsypanych bodni klepki, kołki, belki, wyleżana słoma stara i pomięta, poogryzane kości białe plac prawie cały zalegały. Na boku leżały ścierwa koni, których żebra już napół obnażyły kruki.

Spłoszone, podniosły się, wrzeszcząc, i wnet obsiadły znowu swą pastwę.

Wszedłszy do środka, wzrokiem ponurym przejrzał dokoła wszystko człek nieznany, konia postawił u wnijścia, a sam krokiem powolnym począł przez łomy, zalegające grodzisko, wdzierać się w głąb jego. Szukał miejsc jakichś, śladów, jakby z nich odgadnąć chciał dzieje tego zniszczenia... Lecz gruzy je przysypały, zwaliska zatarły. Spodziewał się może znaleźć trupy, ale i tych tu widać nie było.

Kilka razy, rozpatrując się, schylił się ku ziemi, sięgnął ręką po łachman jakiś, dobył opalony szmat z pod drzewa i rzucił go z odrazą i gniewem. Minąwszy kupę rumowisk, szedł pod mur dalej, ale i tu znalazł to samo bezładne zniszczenie.

U muru tylko, jakby osypana i zapadła ziemia, czarną obnażyła pieczarę, w której głębiach nic nie wi-

dać było. Z ciemności gdzie niegdzie sterczały końce połamanych belek. Zajrzał tu przybysz, ręką się osłoniwszy, zginając z trudnością, patrzał długo i stał namarszczony.

Właśnie miał to cmentarzysko opuścić, gdy podrażniony słuch jego, wśród tej ciszy głuchej pochwycił jakby szmer jakiś, niby ostrożnego chodu ludzkiego echo.

Wstrzymał się, spoglądając ku wnijściu.

Tu nic widać nie było, koń tylko pasł się chciwie na wałach znalezioną odrobiną zieleni. Posunął się więc, krocząc znowu przez belki i rumowiska ku miejscu, gdzie były wrota zamkowe, gdy w tejże chwili ukazała się w nich ludzka postać.

Człowiek ten wchodził, wsuwał się raczej ostrożnie, wstrzymał na widok konia i stał wylękły, oczyma wodząc na wszystkie strony.

Zdaleka spostrzegłszy z ruin wychodzącego zbrojnego mężczyznę naprzeciw sobie, w pierwszej chwili rzucił się był do ucieczki — lecz za drugiem ku niemu spojrzeniem, w ręce klasnąwszy, zatrzymał się i kroków parę podbiegłszy, padł przed nim na kolana.

To niespodziane wśród ruin zjawisko było jakby do nich podobne; — podstarzały już mężczyzna, z głową odkrytą, włosami rozrzuconemi nie miał na sobie nic, oprócz na ciało nagie zarzuconej, zdartej połatanej siermięgi. Nogi jego okrywały spodnie z płótna grubego, poobwiązywane sznurami u dołu, które skórznie podarte utrzymywały. Twarz wynędzniała, żółta, z oczyma blademi, miejscami włosem porosła, podobniejszym go czyniła do trupa, wstającego z grobu, niż do żywego stworzenia. Padłszy na kolana, załamane ręce podniósł do góry.

— Wy żywi! — krzyknął.

Wojak, nie odpowiadając nic, ręką wskazał na wiszącą, kawałami porozdzieranemi zbroję, na poszarpane i poranione ciało.

— Żyw-em! — rzekł głosem bez dźwięku — żyw-

em, ale poco żywot, gdy wszyscy moi poginęli, gdy nam tylko grób został?...

I powiódł oczyma dokoła.

Klęczący powstał powoli i mówił ochrypły, drżący:

— Ja czwarty dzień tułam się po lesie, trawę gryzłem, liście ssałem, grzyby suche i korę jadłem, ledwie dusza w ciele.

— Dziękuj Bogu i za to — zamruczał uzbrojony— ja też nie wiem, czy żyję — nie wiem, jak żyję... a na co dziś życie się zdało?

W milczeniu ten, który powstał z ziemi, przysunął się i w rękę pocałował mówiącego. Stali oba, nie mogąc znaleźć słowa.

— Jakżeście ocaleli? — spytał potem cicho.

— Chcieliśmy się tam, za Szrodą opierać garści Czechów. Kupka nas była niewielka, ale mężna. Padli wszyscy i mnie za zabitego rzucono na pobojowisku, dopiero noc mnie ocuciła. Koń uszedł, a potem sam wrócił, gdziem leżał, jego oddech poczułem nad sobą, gdym oczy otworzył. Tułałem się i ja po lasach, oprócz wody nic nie mając, tu zdechnąć przyjdzie! Tu zdychać!

Zamilkł, opuściwszy głowę.

— Gdy Czechy nadciągały, jam był w lesie — począł drugi — wróciłem, aby patrzeć na pogorzelisko; nie było już wracać poco. Wszystką ludność, choć o mir i łaskę prosiła, poprowadzili, pognali ze sobą wszystkich, nie został nikt, prócz tych, co padli. Miasto złupione, domy złupione.

Popatrzał ku dolinie i jęknął boleśnie.

— A wasi? wasi? miłościwy panie — zapytał cicho.

— Nie mam ja już nikogo, nikogo — odparł pierwszy ponuro.

To mówiąc, wziął konia za uzdę i zwolna z grodziska schodzić zaczął. Za nim wlókł się człowiek w odartej siermiędze.

U stóp zamku jednem zgliszczem szerokiem leżała wielka osada.

Na czarnem pogorzelisku stały gdzie niegdzie żura-

wie studzien, resztki ścian, których ogień nie dojadł, słupy od bram, koły od płotów, wysokie kozły szop zwalonych.

W pośrodku murowanego kościołka, z głazów wzniesione boki sterczały tylko — dach spalony runął. Zbliżył się ku niemu — stanęli.

W głębi ołtarza widać było resztę ogorzałą i poobalane wielkie świeczniki drewniane. Wnijście do grobów pod kościołem stało w pośrodku rozdarte. I tam znać łupów szukano. Nie ocalało nic. Na jednej ścianie wisiał tylko krucyfiks czarny, a na nim wpół spalony Chrystus, jedną ręką trzymał się jeszcze. Płactwo, które się tu już na sen nocny tuliło, słysząc szelest, zerwało się, pierzchnęło, poczęło kołować z wrzaskiem i padać na ścian wierzchy.

Ostatnie promienie słońca, przedarłszy się przez chmury światłem pomarańczowem, jakby łuną pożarną nagle oblały ten obraz spustoszenia.

Z trwogą rozglądali się przybyli dokoła. Ślady życia jego gdzie niegdzie były widoczne. Pod ścianami chat walał się statek gospodarski, rozbite wiadra, rzucone kądziele, zapomniane dzieci kolebki, kamienie od żarn wywróconych

Wojak i zbiedzony człek w siermiędze, postawszy przed kościołem, wyszli dalej ku spalonej osadzie.

Nadchodziła noc, trzeba było szukać schronienia.

— Miłościwy panie, władyko Lasoto — jęczącym głosem ozwał się siermiężny, idący za nim — gdyby chleba choć okruszyna, możebym sił nabrał i szałas gdzie sklecił.

Na koniu, którego wiódł za sobą Lasota, wisiały próżne sakwy. Zwrócił się ku nim wojak i dobył z nich szczątek czegoś spleśniałego, czarnego, rozłamał i dał proszącemu.

Z chciwością niezmierną, zgłodniały porwał oburącz ten pokarm, zaiskrzyły mu się doń oczy, począł gryźć ze zwierzęcem łakomstwem, zapomniawszy o wszystkiem.

Lasota szedł dalej, nie patrząc nań, szukając znużonemi oczyma przytułku, ale chaty drewniane, chałupy z płotów i chróstów, klecie, — ogień pozjadał doszczętu, nie ocalało z nich nic nad węgły, grożące upadkiem, ledwie od wiatru mogące osłonić.

Nierychło dopiero, chleb spożywszy do kruszyny, siermiężny pogonił za błądzącym po pogorzelisku Lasotą. Po drodze zaglądał do studzien, chcąc wodą ugasić pragnienie, lecz nie było jej czem zaczerpnąć.

Lasota znalazł wreszcie w głębi gdzieś resztę dachu zwieszoną nad nędznemi ścianami dwiema. Tu konia w bliski ogród puściwszy, sam zwalił się na ziemię; — szedł, jakby już tylko miejsca szukał, gdzieby skonał, w obu dłoniach twarz zanurzył, oczy zasłonił i pozostał nieruchomy.

Tymczasem zeschły chleb, kropla wody odżywiły nieco wygłodzonego, który resztę sił i przytomności odzyskał.

Był to jeden z osadników tego zburzonego, a niedawno jeszcze znacznego i do głównych dzielnic królewskich należnego grodu, Gdecza, który najeźdźcy Czechy złupili, ludność z niego całą uprowadziwszy.

Człek ten zwał się Dębiec.

Lasota miał posiadłości rozległe pod Szrodą, często w mieście i na zamku przebywał. Dębiec kołodziej wysługiwał mu się we dworze, znali się zdawna. Możnego władykę i biednego rzemieślnika wojna i nędza zrównały teraz. Lasotów gródek był spustoszony, on sam nie miał gdzie przytulić głowy. Dębcowi zostało tylko pogorzelisko jego chaty.

Ku niej się skierował, przedzierając przez poobalane domostwa, spodziewając się może znaleźć coś ocalonego. Doszedłszy do miejsca, które trudno poznać było, stanął, jak wryty. Nie było nic, oprócz wielkiego węgla kupy.

Mrok padał. Przemógłszy się, Dębiec otarł oczy i wszedł na swe zgliszcza, poczynając się w nich rozglądać. Kijem, podniesionym z ziemi, zwolna rozgarniał popioły i żużle — szukał czegoś. Pod chatą był

w ziemi wilgotnej wygrzebany loszek, w którym coś czasem składano.

Pomyślał, czy w nim co nie ocalało. Co? sam nie wiedział. Garść mąki może, suszonego mięsa resztka, krup trochę, choćby spleśniałego chleba okrawek. Grzebiąc się, natrafił w istocie na niezgorzałe drzwi loszku, ukląkł i rękami je oczyściwszy z ziemi, począł z wielkiem wysileniem odwalać. Osłabłemu szło ciężko; dyszał, kładł się na ziemi i wstawał, aż kołkiem podważywszy, podnieść mu się drzwi udało. Kryjówka zdawała się nietknięta, nikt tam w ubogiej chacie łupu się nie spodziewał.

Głodny Dębiec, spuściwszy się, z okrzykiem radości spostrzegł tu śpiżarnię swą ubogą nienaruszoną.

Z niespokojnym pośpiechem począł w niej gospodarzyć, wyrzucając coraz coś wynalezionego, co dawniej pogardzone było, a dziś droższe nad złoto. Wkrótce jednak napowrót wydobył się z jamy, zabrał żywność lichą i pośpieszył szukać z nią tego, co go przed chwilą kawałkiem chleba obdarzył. Znalazł go pod ścianą, napół uśpionego ze znużenia, wpół zamarłego z głodu.

Noc coraz ciemniejsza zapadała.

— Panie miłościwy! — odezwał się Dębiec, przypadając. — Mam strawę! Znalazłem ją w jamie mojej. Widać ją tam ukryć chcieli! Rozpalę ognia trochę... jeść — będziemy, jeść.

Powtarzał ten wyraz, jakby w nim była wybawienia nadzieja. Lasota zwolna podniósł głowę.

— Ogień rozpalić! — mruknął — ogień! aby ściągnąć nim licho! ani mi się waż.

— Nikogo tu już ogień nie ściągnie — westchnął Dębiec — patrzajże panie miły i tam gdzie niegdzie węgle się jeszcze żarzą, dym czerwony się kurzy! Zbójce bezbożni, Czechy, odciągnęły, pusto dokoła, życie ratować trzeba. Głodem zemrzemy.

Lasota, znowu twarz w dłonie zanurzywszy, nic nie odpowiedział. Pragnienie więcej, niż głód go paliło, a było zarazem głodem i gorączką.

Nie zważając na zakaz, kołodziej począł ogień przysposabiać. O głownie niedogorzałe na zgliszczach łatwo było. Z chaty swej wyniósł garnek jakiś, który znalazł w lochu rzucony.

Tym więc czerepem, jedynym, jaki mieli, i wicią, znalezioną na pogorzelisku, pobiegł Dębiec zaczerpnąć u studni. Gdy wodę przyniósł Lasocie, pochwyciwszy garnek w drżące dłonie, stary wypił go do kropli.

Kołodziej poszedł zaczerpnąć znowu i zabierał się do uwarzenia wieczerzy, gdy wicher zadął i przyniósł z sobą wyraźny tętent koni.

Porwał się, choć osłabły, Lasota, wołając o zgaszenie ogniska, i natychmiast zalano je co prędzej.

Gęsty mrok był, który pochmurne niebo zwiększało. Tylko w miejscu, gdzie słońce zaszło, jarzyły się jeszcze niebiosa i ku nim patrząc, spostrzegli tu skryci zbiegowie na gościńcu, który przez środek osady prowadził — cienie dwu konnych ludzi, jadących powoli.

Jak czarne dwa widma malowali się im na zorzy zachodniej, i choć zdala, dobrze ich rozeznać było można.

Lasota i Dębiec z ciekawością i niepokojem im się przypatrywali.

Nie potrzebował długo czasu Lasota, aby w nich poznać, domyśleć się raczej, takich jak on sam był zbiegów, tułających się, uchodzących nocą przed czeskiemi mordami i łupieżą.

Ludzie byli orężni, bo nad głowami ich sterczały dzidy, które w rękach trzymali, a konie pod nimi były rosłe. Na głowach wiewały hełmów czuby. Lecz czy można było zaręczyć, że to nie Czesi wśród tego spustoszenia krążyli za jakąś zdobyczą?

Jezdni stanęli naprzeciw spalonego kościoła... Wiatr silniejszy ustał był nieco — i słychać było rozmawiających ze sobą. Lasota bacznie ucha nadstawiał, dochodziły go wyrazy urywane.

— Psie syny!

— Zwierzęta dzikie! Szatańskie plemię!

Po tych przekleństwach — swoich było można się domyśleć. Lasota złożył dłonie w trąbkę i choć osłabłym głosem, huknął ku nim.

Na ten odgłos konni zrazu rzucili się do ucieczki, potem wnet stanęli, rozglądając się dokoła.

— Swoi — zawołał Lasota — bywajcie tu! bywaj! bywaj!

Dębiec, który wprzódy jeszcze poznał w nich swoich, wstał z ziemi i pośpieszył na spotkanie. W gromadzie zawsze bezpieczniej wszystkim było.

Na widok z mroku wychodzącej mary tej jezdni stanęli w gotowości do obrony lub do ucieczki, ale kołodziej zbliżył się, poznał sąsiadów i począł wołać po nazwiskach...

Byli to dwaj bracia Doliwowie, ziemianie ze Szrody, o miedzę od Lasoty osiedli.

Wszebór i Mszczuj Doliwowie znużeni byli błąkaniem się o głodzie od dni kilku, dworce ich z ogniem poszły. Z koni pozsiadawszy, zwrócili się ku miejscu, przez Dębca im wskazanemu.

Kołodziej szedł uradowany przodem, wołając:

— To nasi z Doliwian, miłościwy panie, Wszebór i Mszczuj.

Dźwignął się nieco, na łokciu spierając, Lasota. Znów ognia niecić począł kołodziej.

Nie było powitania, bo czemże się pozdrawiać mieli? Chyba ocalonym żywotem nędznym, z którym nie wiedzieli co począć. Patrzali na się tylko smutnemi oczyma.

Gdy ogień błysnął żywiej, starszy z Doliwów, widząc zbroję podartą i krwawe ramiona, a twarz Lasoty wynędzniałą, nie mógł się wstrzymać od przekleństwa na wrogów.

— Ot, na co nam zeszło! — krzyknął — ot, co się z naszą ziemią stało! Przeklęty dzień i godzina, gdy nam Mieszko i Ryksa zapanowali!

Dębiec im konie poodbierał, puszczając spętane w pobliskie ogrody, gdzie się, choć nędznie, pożywić

mogły. Posiadali na ziemi. Zkolei narzekanie ze wszystkich ust się wyrwało.

— Z Poznania — począł Mszczuj — jeno gruzy też stoją. Czego Niemka Ryksa nie uwiozła, to Czesi zabrali! Poszła ona precz do swoich, do Niemców — za nią i syn Kazimierz uchodzić musiał. Pana nie mamy, otworem stoją rubieże, kraj bezpański łupi, kto chce. Złupili też Czesi Gniezno, obdarli kościół, wywieźli skarby drogie, pognali w łykach braci naszych, jak bydło. Popalone sioła — gdzie spojrzeć, pustynia!

— Sczezło marnie Bolesławowe królestwo — dodał Wszebór — rycerstwo nasze przepadło, wojuje kto chce, bośmy bezpańscy. Głowy niema!

— Tylko umierać nam, aby już oczy nie widziały końca — dołożył Lasota.

Mszczuj głową potrząsł.

— Kto ma siły, za Wisłę ciągnie do Masława, tam, mówią, pokój jeszcze, on jeden siłę ma. Co czynić? do siły się garnąć chyba? a nie, to życie potracim — mówił Wszebór. — My też sami nie wiemy; chybaby się do niego przekradać, aby żywot ocalić?

— Do Masława? — przerwał słabym głosem Lasota. — Co ci się śni? Człek ten niepoczciwy, przechera, wszystkich naszych nieszczęść przyczyną.

Mszczuj ramionami dźwignął.

— Prawda to! ano dziś będzie dobry kto bądź, byle życie zbawił.

— Lepiej umrzeć! — mruknął stary.

Gwarzyli tak urywanemi wyrazy, gdy Dębiec przerwał rozmowę, pytając, czy nie byli głodni.

— A kto dziś nie głodny! — zawołał Mszczuj.

— Co mam, tem się podzielę — rzekł kołodziej. — Niewiele tego jest — byle duszę w ciele utrzymać!

Począł tedy mięso wędzone i krupy uwarzone na skorupkach, które w gruzach poznajdywał, rozkładać przed nimi. Lichy to był posiłek, ale zdał się głodnym najsmaczniejszą w świecie potrawą. Dziękowali mu niezmiernemi wdzięczności wyrazy.

— Niech ci Bóg płaci! — wołali.

— Zapłaćcie wy mnie sami — odparł Dębiec. — Siedzieć tu nie będziecie, powleczecie się gdziekolwiek bądź, pozwólcie mi z sobą, bo tu zginę. Jutro dodnia pewnie ruszycie w lasy, dajcie mi się wlec za wami. Wezmę, co mam żywności, podzielimy się.

— Któż z nas wie, co pocznie jutro? — zawołał Lasota.

— W lasy trzeba i za Wisłę — dodał Mszczuj — innej dla nas rady niema. Masław przyjmuje wszystkich.

— Ani mówcie o tem, a sromajcie się myśli — przerwał stary Lasota — a któż tego chłopskiego syna nie znał na Mieszkowym dworze? Nie wiedzieć skąd i jak od chlewów się dobył ten parszywiec, liżąc nogi, pochlebstwem dobił się do podczaszostwa, Mieszkowi potem życie skrócił, królową panią wygnał zmowami swemi, Kazimierza pana swego wypędził. To jego sprawy!

— Pewnie tak; — odparł Mszczuj — ja go też ni kocham, ni bronię; psubrat jest, a no kto dziś panem, przy kim siła, albo trzeba gardło dać, lub iść mu służyć!

— A! tak — wtrącił zdala Dębiec — służyć już komu bądź, niech choć rudy pies panuje, byleśmy bezpańskimi nie byli.

Umilkli wszyscy, pospuszczawszy głowy; Lasota, orzeźwiwszy się nieco, podniósł się, sycząc, aby ciało pobite, rany i odzież potarganą opatrzeć. — Znać w nim było męża, który, nie jedno przebolawszy w życiu, cierpieć się nauczył; chłodno, śmiało, prawie nie jęknąwszy, począł się rozdziewać z przywrzałej do poranionego ciała zbroi i kaftana. Krew, która była przyschła, puściła się znowu z ran, więc bieliznę drąc, zakładał nią posieczone i pokłute ciało, a drudzy nań z podziwieniem patrzali. Był to znak przecie, że do życia chciał powrócić i o jakimś myślał ratunku. Czekali wszyscy, milcząc, aż stary dokończy, bo się im trzeba było naradzić wspólnie, co dalej czynić mieli, gdzie się schronić, dokąd uchodzić.

Gdy rany swe obwiązawszy, Lasota legł znowu na ziemi, a Dębiec siadł na uboczu, oba Doliwowie, spojrzawszy na siebie, pierwszą wznowili rozmowę.

— Cóż myślicie? — ozwał się Mszczuj. — Co czynić mamy? — mówcie! starszego posłuchamy radzi.

Lasota podniósł głowę, jakby się chciał przekonać, że mowa do niego była zwróconą.

— Pytacie mnie — rzekł. — Wiemże ja sam, co czynić? Wiem jeno, czego nie uczynię. Za Wisłę do Masława nie pójdę, srom to i hańba parobczakowi się kłaniać, gdy się namaszczonym królom służyło. Myśmy wszyscy stali przy panach naszych, stali przy Mieszkowej wdowie, potem przy Kazimierzu, mamy iść do tego, co nam ich odebrał? A gdybyśmy i poszli doń, chyba, ażeby mu zanieść głowy nasze, bo żywić nas nie będzie.

Zamilkli Doliwowie.

— Nie wiem, czy znacie Masława, jak ja go znam— dodał Lasota. — Patrzałem ja nań, jak rósł na dworze z pachołęcia przy psiarni, potem ręczniki i dzbanki nosił, sokoły huśtał, miód nalewał, a do ucha łask się wkradał powoli tak i do łańcucha na szyi, do pasa rycerskiego doszedł, na powiernika i doradcę. Dopiero go duma zdęła niepoczciwa.

Po śmierci Mieszka królową chciał zawładnąć, bodaj się z nią żenić i królować, a Kazimierza się pozbyć. Rozumna pani odepchnęła go, otaczając się swoimi ku obronie. Zaczęli na nią krzyczeć, że kraju i nas znać nie chce, a prześladowali ją tak, że skarby wielkie zabrawszy, uchodzić do swoich nad Ren musiała. Został Kazimierz, nad którym Masław chciał rozciągnąć opiekę, aby go zgubić; musiał i ten uciekać od niego. Pozbył się go prędko. Myśmy bezpańscy, jako stado bez pasterza zostali, a wilk nam się stręczy miasto niego. Kraj obcy ludzie łupią i drą! Czyjeż to sprawy, jeśli nie jego!

Myśmy się precz od zdrajcy ustąpili, uczynił się poganinem, aby sobie czerń pozyskał. Pogan też, ile ich jest — Prusaków i Pomorców ma za sobą. Cóż my tam

przy nim i z nim, ludzie chrzczeni i Chrystusa wyznający, czynić będziemy? Ciała nie ocalim, a dusze potracim!

Mówił tak, a Doliwowie milczeli.

— Alboż to prawda, co głoszą — rzekł powoli Mszczuj, — że się poganinem uczynił? Chyba na oko, bo nie wierzę, by nim był.

Wtem Dębiec, który, siedząc zdala, przysłuchiwał się, — zawołał:

— O! miłościwy panie! To jawna rzecz, że z pogany trzyma. Stare granice pochowane z ziemi i lasów dobyto; postawiono znów kamienie i słupy jak dawniej bywało. Wszystkie dawne świątki obchodzą o białym dniu. Księdza żadnego nie żywią, a którego gdzie dopadli — stracono. Masław mówi, że z księżmi przyszła niewola.

— Zły Masław — przerwał Wszebór — a gdzież i jak się schronić i ratować? W Czechach też pęta i łyka każdego czekają, na Ruś daleko, a tam i kto wie, jaka byłaby gościna? Błądzić po lasach i z głodu umrzeć, toć lepiej się odrazu obwiesić na gałęzi.

Dogasł ogień, przy którym siedzieli; Dębiec, kilka głowni zebrawszy, dorzucił i znowu go odżywił.

— Co czynić? co czynić? — powtarzali stroskani.

— Masława ja znam ze dworu dobrze — odezwał się Mszczuj po przestanku — zrazu my się drużyli. Człek śmiały do wściekłości, zuchwały do szaleństwa, a roi mu się po łbie panowanie, bo mu zamłodu wróżka jakaś przepowiadała, że dojdzie wysoko. I to pewna, że żadnegoby z nas nie oszczędził, byle mu się to na co zdało, ale co mu z tego przyjdzie, gdy nas pogubi.

Mówili jeszcze, gdy szelest słyszeć się dał w ciemnościach. Nic nie widać było o trzy kroki; przestraszeni ruszyli się wszyscy, oprócz Lasoty, nasłuchując bacznie, czy się konie, puszczone na paszę, nie ruszyły, zwierza uląkłszy i trwogi tej nie nabawiły.

Wtem płomię, które się podniosło, oświecając szerzej pogorzelisko, ukazało za węgłem stojącą postać ludzką.

Człowiek stary ręką wychudłą opierał się o kawał ściany, a dość nań było wejrzeć, aby się pozbyć obawy i poznać w nim nieszczęśliwą ofiarę, co się gdzieś z gruzów tych, głos ludzki zasłyszawszy, dobywała.

Mężczyzna był w podeszłym wieku, wynędzniały, twarzy bladej, w podartym i powalanym przyodziewku czarnym, z głową nisko postrzyżoną, na długiej, chudej, kościstej szyi sterczącą. Wiek już go był przygarbił, a wycieńczenie ledwie mu się na nogach utrzymać dozwalało. Zeschłe wargi miał otwarte, oczy osłupiałe, reszta życia już w nim tylko tlała.

Spoglądał na siedzących, jakby znajomych między nimi szukając twarzy, a z piersi znać trudno mu było dobyć głosu. Wtem porwał się z ziemi Mszczuj i podbiegł ku niemu, wołając.

— Wyż to jesteście, ojcze Janie? wy?

Starzec głową potrząsnął; spragnionemu, wygłodzonemu mówić było trudno, a zbliżyć się też nie mógł i ściany trzymał, by nie paść, drżąc cały.

Doliwa, podbiegłszy, rękę mu podał i przywiódł ku ogniowi.

Znany to był wszystkim proboszcz miejscowy. Trzy dni już w grobach pod kościołkiem schroniony, uszedłszy oka łupieżców, żył okruszynami chleba i kroplami wody, co po murach ściekała. Zasłyszawszy ludzkie głosy, poznawszy swoich, wydobył się sił ostatkiem z zakątka, w którym się na śmierć gotował.

Z całego mienia ocalił jeno najdroższe — książkę, którą w rękach trzymał i do piersi ją przyciskał.

Dębiec pośpieszył też na ratunek staremu. Posadzono go przy ognisku; — kołodziej przyniósł mu wody, Lasota oddał swój chleb szczerstwiały. Ze łzami w oczach ojciec Jan Opatrzności i im dziękował, ale długo, prócz urywanych wyrazów, nic z niego dobyć nie było można. Głos stracił z przerażenia i boleści, nie nad sobą płacząc, ale nad kościołem i losem owieczek.

Po długim spoczynku, gdy go woda i strawa do życia powróciła, począł jakby w gorączce mówić coraz silniejszym głosem.

— Patrzałem na upadek nasz — mówił, — a gdybym wieki żył, z oczów mi nie zejdzie widok ten straszny.

Spadli jak burza na nas łupieżcy, — za grzechy nasze. Miasto się bronić nie mogło, z okolicy tłumy się zbiegły na gród, rąk było nadto, oręża mało, a strachu więcej nad wszystko. Oprócz wojewody naszego i Żupana przyciągnęli ludzie ze Szrody, zbiegli się z gródków okolicznych... Było więcej, niż się pomieścić mogło, dusili się w okopach.

Nie pomogło czołem bicie. Lud wszystek popędzili w niewolę, miasto zniszczono i złupiono. Sądny był dzień gniewu pańskiego. Mnie na progu kościoła za włosy porwała dzicz, rzuciła na ziemię, tratując nogami. Bóg chciał, by ta kupa, skarbów szukając, wpadła do zakrystji i skarbca, a jam się miał czas schronić do grobów i skryć między płyty kamienne, które tam stoją.

Przyszli i tam zbóje, chodzili koło mnie, ocierali się niemal, czekałem tylko chwili, gdy mnie porwą i na śmierć pociągną — Bóg ich zaślepił. Poobalawszy trumny, powywlekawszy trupy, wyszli, zostawując mnie. Słyszałem nad głową moją płonący kościół — słyszałem jak padały belki, jak runął dach, którego krokwie spalone napół przez otwarte drzwi grobowe — aż do nóg moich się staczały.

Ja ocalałem! Na co Bóg chciał mi życie przedłużyć, albo wiem! — dodał starzec, — a pomyślawszy chwilkę, ciągnął dalej.

— Jeśli mi na co życie było dozwolone, chyba, abym wysłuchał narzekania wasze i przyniósł pociechę. Z nad mogiły, nad którą stoję, widzą moje oczy jasno. Nie trwóżcie się, że upadły krzyże i wróciło pogaństwo, ani myślcie Masławowi bić pokłony. Przejdzie dopust Boży, jako wicher i burza, połamawszy gałęzie, a pni nie obali... i zazielenią się z wiosną. Ale wam nie płakać i narzekać, ani ręce łamać trzeba i padać na ziemię, ale się gromadzić i stać murem, a bro-

nić. Niewiasty płaczą, a mężowie walczą. Bóg pomoże dzielnym, gdy serca podniosą ku niemu.

Rozbici jesteście, a skoro się zbijecie znowu, krzyż w ręce ująwszy, zwyciężycie. I pójdzie czerń po lasach wylękła, a zdrajcy pod miecz i stryczek szyje przyniosą.

Masławowi się kłaniać! — zawołał z zapałem starzec, toć jedno, co Boga się zaprzeć i chrztu świętego. Złym Bóg dopuszcza godziny zwycięstwa, ale im panowania nie daje. Idźcie, zbierajcie się, radźcie, pana szukajcie. Bóg będzie z wami.

Kościoła mi żal, lecz oczy moje widzą, jak się podniesie, jak się w nim ozwą hymny i chwała Pana sławić będzie! Nie dajcie sercom słabnąć, ufajcie Bogu! Bóg ocali.

To mówiąc, słabnął starzec, głosu mu nie stało, chylił się już, drżącą ręką na cztery strony krzyż zakreślił, błogosławiąc słuchaczom, którzy głowy skłonili i zamilkł, chyląc się ku ziemi. Nadbiegł Dębiec, niosąc garść słomy, którą był przysposobił dla siebie i na niej układł znużonego, który ręce na piersi złożył i powieki jak do snu zamknął. Milczeli wszyscy — ogień przygasł i reszta też do spoczynku się brała...

Słowa natchnionego starca serca trochę dodały; myśleli wszyscy, co już jutro poczynać, a choć się nie radzili, zgadzały się ich myśli. Swoich szukać trzeba było i do kupy zbijać, nadziei nie tracąc.

Trzem jezdnym przybywał ciężar nowy, osłabły starzec, którego na łup głodnej śmierci lub nieprzyjaciela porzucić się nie godziło. Lecz młodsi pieszo iść nie mogli, a Dębiec, też mający im towarzyszyć, pośpieszać bardzo nie dozwalał i siły koni zmuszały do powolnej jazdy. Rozmyślali o tem, nie śmiejąc się odzywać, siedzieli i drzemali u gasnącego ognia.

Ojciec Jan usnął widać znękany, bo oddechu jego nawet słychać nie było.

Lasota też zdawał się niewiele dbać o swój los, i obojętnie patrzeć na to, co go spotkać miało. Tak noc przetrwali całą.

Dniało, gdy Doliwowie zaczęli między sobą radzić, w którą się obrócić stronę. Nie mówili już o Masławie, ale ku Wiśle lasami zdążyć musieli, aby się, przebywszy ją, na Mazurach gdzie schronić, bo tam czerń jeszcze nie powstała.

Dniało, gdy jakby cudem ocalony gdzieś kogut, sam jeden na pogorzelisku, zaśpiewał na zaranie, oznajmiając pustkowiu początek dnia nowego. Głos ten usłyszawszy, ruszyli się wszyscy. Lepsze on czasy i spokojne dwory przypominał.

Jedyny teraz mieszkaniec spustoszałej osady, nie czując, co go otaczało, dobył z piersi może ostatni raz głosu, posłuszny nałogowi staremu... Głos ten, nawołujący do życia śmierć i popioły, zdał się strasznem urągowiskiem, a zarazem upomnieniem. Strwożeni jedni, drudzy odżywieni podnosić się zaczęli, jakby ich ów czujny stróż zawstydził.

— Tak nam też przystało, póki żyjemy, się obwoływać! — zawołał Lasota, podnieść się usiłując.

— W drogę!!

II.

Po nocy pogodnej i cichej ranek wstał chmurny znowu i wiatr, jakby przebudzony, zaczął nieść obłoki, jak wczora. Goniły z zachodu niby za wieczornemi spóźnione. Zrazu wybiegły zarumienione i drobne, przodowi wysłańcy, tuż za niemi cała czereda szarych, zwijających się w grube wały, poszarpanych na skrajach, i wnet całe niebiosa zaciągnęły się jakby smętną płótna oponą, po której kłębiły się, dymiły coraz nowe chmur gromady. Wiatr też ziemię zamiatać poczynał, i na pogorzeliskach obalał gdzie niegdzie chwiejących się dylów szczątki; padały na popieliska, a dym i kurzawa podnosiły się od nich i rozwlekały daleko.

Zimny powiew zachodni zmusił ruszyć się z ziemi. Pilno trzeba było myśleć o lepszem schronieniu.

W tej gdeckiej, błotnistej, zewsząd odkrytej nizinie lada napaść była niebezpieczną; ni się schronić tu, ni bronić nie było można. Blisko stojące lasy pewniejszem były przytuliskiem.

Pierwsi powstawali Doliwowie, myśląc o napojeniu koni, Dębiec też stał do posługi gotowy, zbierając się ognia rozłożyć trochę, aby ciepłą strawą jaką orzeźwić przynajmniej rannego Lasotę i skostniałego od zimna staruszka.

Mszczuj chciał, odchodząc, własną opończą okryć o. Jana, gdy schylając się nad nim, spostrzegł, że twarz miał trupio bladą, a zlekka do niej dłoń przyłożywszy, uczuł, że kapłan już żyć przestał. Skonać musiał spokojnie w nocy z modlitwą na ustach, ręce miał jakby do niej złożone i zaciśnięte na książce, którą ocalił z kościoła. Książka ta była jedyną po nim spuścizną.

Mszczuj ani się zdziwił, ni użalił tej śmierci: dla ojca Jana była ona dobrodziejstwem, dla podróżnych oswobodzeniem od ciężaru, któremu nie wiedzieli, jak podołają. Obaj z bratem poszeptawszy, gdy się przekonali, że o. Jan nie żył, a skostniał był zupełnie — zajęli się naprzód pogrzebem. Dzikiemu zwierzowi a krukom zwłok na pastwę niepodobna było zostawić; naradziwszy się więc, postanowili złożyć go w kościelnym grobie, z którego wyszedł do nich wczora.

Dębiec się ofiarował dopomóc im do tego pobożnego dzieła, ale go odesłali do koni, i sami we dwu, ująwszy zwłoki za głowę i nogi, o dnia brzasku skierowali się milczący ku zwaliskom niezbyt odległego kościołka.

Tu jakby na przyjęcie zwłok kapłana, stała właśnie otwarta trumna dębowa, z jednego kloca wyrobiona, z której trupa rabusie wywlekli... Do niej więc bracia włożyli pobożnie o. Jana i wiekiem przysłonili na spoczynek wieczny.

Zasunąwszy potem płytę kamienną, która wprzódy wnijście do grobów okrywała, otwór pod ziemią — wrócili do spalonej chaty.

Ranek, choć chmurny, coraz się jaśniejszym stawał, gdy Doliwowie do drogi już stali w gotowości. Lasota leżał jeszcze na rękach oparty.

— Ojcze — odezwał się Mszczuj do starego, nie zdającego się myśleć o podróży — jechać nam trzeba, a i wy z nami też musicie.

Potrząsnął głową Lasota.

— Dajcie mi tu tak spokojnie zamrzeć — rzekł ledwie dosłyszalnym głosem. — Poco się już męczyć, aby nędzne życie ocalić, gdy się ono na nic nie zdało nikomu. Gdybym ręce miał!

— Serce macie! — zawołał Mszczuj. — My was tu nie zostawimy.

— Księdzu Bóg oczy zamknął, da i mnie tu skończyć — rzekł stary.

— Bóg tego nie chce, gdy wam życie ocalił — dodał drugi.

Nie dopuścili Doliwowie, by się starzec dobrowolnie głodem zamorzył, niemal gwałtem, ująwszy go pod ręce, z ziemi podnieśli. Dębiec dopomagał, podprowadzono konia, którego rany popr sychały, wciągnięto go nań, i ruszyli wszyscy z nieszczęśliwego pogorzeliska, które już nigdy się do pierwszej swej możności i dawnego życia podnieść nie miało. Raz jeszcze przeciągając przez zwaliska te, napatrzeć się musieli strasznego obrazu spustoszenia.

Gdecz naówczas był wizerunkiem niemal całej Polski, leżącej w gruzach i popiołach, bezpańskiej, zniszczonej i pustej. Krajało się serce tym, co ją niedawno jeszcze pamiętali żywą, wesela pełną, z tłumami, przebiegającemi ulice, z grodami zasobnemi, z kościoły, śpiewy brzmiącemi. Dziś milczała, jak wielki cmentarz, krucy się unosili nad nią, szukając niedogniłych trupów, a oszalałe tłumy burzyły, co jeszcze stało.

W posępnem milczeniu, przejechawszy około zburzonego gródka, puścili się drogą ku lasom.

Okolica jak zajrzeć pustą była, bo kto się wyrwał z rąk Czechów, skrywał się po lasach i gęstwinach. Bezpieczniejszymi też uczuli się jadący, gdy się w po-

śród drzew znaleźli. Tu choć dosyć obeznanym z krajem, niełatwo się teraz pokierować było. Jedyna większa droga dla uchodzących służyć nie mogła; spotkać się na niej było łatwo z kupami zbrojnemi, albo z oddziałem Czechów, po całym rozsianych kraju. Gromady dziczy rycerstwu nie przepuszczały, a Czesi w niewolę brali. Rzucić się więc musieli w stronę bezdrożami, a Mszczuj, który myśliwym był, zapewniał, iż po korze drzew się kierując, manowcami ku Wiśle doprowadzi. Nie było bowiem innego schronienia, jak za Wisłą, choć ów pokój, co tam miał panować, pogłoską był tylko i słuchem — nic nie ręczyło za bezpieczeństwo, a czterej zbiegowie, z których jeden był bezbronnym, drugi pokaleczonym i wycieńczonym głodem — obronić się nie mogli napaści nawet małej garstki ludzi.

Zapasu żywności też, oprócz tej, jaką na plecach w worze niósł Dębiec i Doliwowie w sakwach jeszcze mieli potrosze, nie było żadnego, a długo starczyć go nie mogło. Trzeba się było zdać na opatrzne losy.

W głębi puszczy jesień jeszcze nie była tak widoczna, ocalało tu więcej liścia, trawy i zieleni, wiatr nie dojmował tak ostro. Przebywszy przerzedzony bór od skraju, gdy się w gąszcze dostali, jechali ostrożnie, nadsłuchując, niemal ubezpieczeni. Przodem postępował Mszczuj, prowadząc, za koniem jego szedł Dębiec, dalej wlókł się, koniowi cugle puściwszy, Lasota, istny trup żywy — a pochód zamykał Wszebór.

Dwa czy trzy razy zwierz im z pod nóg pierzchnął prawie, ale nikt się poń nie pokusił; gonić nie było sposobu, rzucić oszczepem za daleko. W kilka godzin dopiero udało się Mszczujowi młode spłoszone sarniątko, w chwili gdy przystanęło, nie wiedząc jeszcze gdzie pierzchnie — przeszyć dzidą rzuconą. Pobiegł za niem Dębiec i skaleczone pochwycił. Pożądana to była zdobycz, i gdy stanęli na łączce dla koni, mogli upiec kawał mięsa, którego dawno nie kosztowali.

Gdy konie popasły się na lepszej trawie, której tu poddostatkiem było, — napiły się w strumieniu i orzeźwiały, puścili się zaraz w drogę.

Wiodła ich ona prawie jednostajnie gąszczami, borem, zaroślami, w jednym kierunku, jak ich Mszczuj zapewniał, który już dnie i czas, gdy się nad Wisłę dostać mieli, obliczał. Nie sprzeciwiał mu się nikt, bo lepiej znał kraj, a swego pewnym się zdawał. Lasota milczał obojętny, dawał się prowadzić, nie pytając, nie patrząc prawie. Czynił, co mu wskazano; sam już, jakby woli się pozbywszy, nawet karmić się i poić dawał— i nie upominał o nic. Pamiętali o nim towarzysze podróży, nie dziwiąc się temu, bo wiedzieli, że rodzinę utracił, a w nim samym życia było niewiele.

Miało się już tego dnia ku wieczorowi, gdy jadąc tak powoli, Mszczuj, który oczyma naprzód sięgał daleko, aby nie wpaść w jakie niebezpieczeństwo, ręką dał znać jadącym za sobą, aby przystanęli. Zatrzymano wnet konie, uciszyli się wszyscy. Mszczuj, zlazłszy ze swego, począł skulony iść naprzód, aż przypadł i pełznął na brzuchu.

Z za gałęzi drzew, już z liści trochę obnażonych, widać było na małej łączce u pnia dębu starego coś, czego zaraz dobrze rozeznać nie mogli. Bielała jakby odzież jakaś, niby ludzi oznajmująca. Mszczuj się, tak skradając pocichu, przysunął do pnia starego drzewa, a tu, rozpatrzywszy się, wstał śmiało na nogi.

Jadący za nim domyślili się, iż obawiać się nie było czego. Skinął też na nich, aby się zbliżyli.

Widok, jaki mieli przed oczyma, zdumiał ich, litość, nie przestrach obudzając. U pnia dębu siedziało z włosami rozpuszczonemi śliczne dziewczę, zaledwie lat piętnaście mieć mogące. Kwiatek ten świeży zwarzył już jakiś podmuch ostry i na zbladłej twarzy widać było okrutną boleść wyrytą. Oczy miała zwrócone ku górze i siedziała tak nieruchoma, gdyby posąg jaki. Z dwojga oczu niebieskich ciekły dwa łez strumienie, ciekły i zaschły na twarzy, na której dwie tylko krople wezbrane, jak perły, się lśniły. Rączyny miała podłożone pod głowę, sparte na drzewie, a na kolanach jej spoczywała druga niewiasta, sukniami owinięta, z głową zakrytą, śpiąca, chora, czy zmęczona. Twarzy

jej widać nie było. Obok dwóch niewiast leżały rozsypane węzełki, suknie zrzucone, kosz z jadłem i sprzęt drobny.

Były same, we dwie tylko, — nikogo więcej z niemi. Po sukniach znać w nich było niewiasty majętnego rodu, żony żupanów lub władyków. Młodsza miała na sobie przyodziewek, futerkiem okładany, druga okryta była kosztowną suknią z ciężkiej tkaniny. Na szyi dzieweczki świeciły łańcuszki złote i wieszadła, kolce miała przy uszach, pierścienie na rękach białych wpośród włosów wyglądały.

Mszczuj, który ją pierwszy zobaczył, stanął jak wryty. Piękniejszej niewiasty nie widział w życiu swojem; zdawała mu się ona królewną, albo duchem zaczarowanym tych borów. Obie niewiasty były jakby skamieniałe, nie słyszały przybywających, nie poruszały się wcale. Domyślał się Mszczuj, że ta, która na kolanach dzieweczki spoczywała, uśpiona być musiała, a ona nie śmiała drgnąć, by jej snu nie przerywać.

Dopiero, gdy konie bliżej podeszły, a parsknęły i dał się słyszeć wyraźnie tętent, z krzykiem porwała się dzieweczka, budząc uśpioną... Przerażona do obłąkania prawie, nie wiedziała co czynić, bo nie mogła rychło do przytomności przywieść obudzonej.

Gdy się tamta podniosła, ujrzeli w niej starszą i poważniejszą niewiastę, twarzy jeszcze świeżej i wdzięcznej, rysów pięknych, z brwiami i oczyma czarnemi, wyrazu dumnego i pańskiego. Ciemnemi i rozrosłemi łuki brwi zwieszały się w półkola nad powiekami, przysłaniającemi źrenice wielkie i ogniste. Patrzała niemi strwożona, lecz gniewna zarazem. Dziewczę daleko mocniej przelękłe usiłowało, chwytając i ciągnąc ją, uprowadzić z sobą, gdy Mszczuj się pokazał i pośpieszył zawołać, by się nie lękały niczego.

Na ten głos, mowę swoją usłyszawszy niewiasty, choć strwożone jeszcze tuliły się do siebie, nabrały otuchy. Starsza się podniosła i wyprostowała dumnie, osłoniła się płaszczem, którym była przykryta, i dosyć śmiało poczęła się Doliwowi przyglądać. Młodsza skry-

ła się za nią i instynktem raczej, niż z rozmysłem, chwytała włosy rozsypane, których długie, jasne warkocze, całe jej ramiona okrywały, jakby płaszczem złocistym.

Mszczuj, choć znał dawniej na dworze, potem po grodach bywając, wszystkie niemal znaczniejsze rodziny, nie przypominał sobie tych dwu niewiast, które, gdyby je był raz widział w życiu, z pamięci wyjść nie mogły. Piękność tylko co rozkwitłego dziewczęcia tak była zachwycającą, że dość było na nią raz spojrzeć, aby na wieki o niej pamiętać. Twarz też starszej pani uderzającą była wdziękami i wyrazem, a przybrana powagą. Zdało się, jakby cudzoziemką była, bo i płeć miała śniadszą niż polskie niewiasty i na wierzchniej wardze czarny puszek porastał. Silna, wzrostu więcej niż miernego, pulchna i pełna, miała postawę królowej i wejrzenie do rozkazywania nawykłe.

Chociaż to spotkanie ich w głębi lasów i przestrach młodszej dowodziły, że obie były w położeniu rozpaczliwem, same jedne, opuszczone, uciekające zapewne przed tą tłuszczą, która nie szanowała ani kościoła, ani niewiast: twarz przecie starszej nie wydawała zbytniej trwogi. Brwi tylko czarne zbiegły się jej nad oczyma i dwie zmarszczki przecięły czoło. Patrzała długo na Mszczuja, badając go oczyma i czekając, aż się odezwie.

— Nie lękajcie się, miłościwy panie — rzekł przybywający — myśmy nie napastnicy, — sami uchodzim od napaści. Jest tu nas dwóch braci Doliwów, stary Lasota z pod Szrody i człek ze służby. Jedziemy ze spustoszonego kraju od Gdecza, gdzie już i żywej nie zostało duszy.

Gdy to mówił Mszczuj, nadciągnęli jego towarzysze, którym też starsza pani przypatrywała się bacznie, a z za niej kiedy niekiedy trwożliwie wyglądała ciekawa, kryjąca się za płaszczem, biała twarzyczka dziewczęcia.

Zatrzymali się wszyscy na widok tych niewiast samych jednych śród lasu, bezbronnych, aż litość nad

niemi brała. Walczyć z nieszczęściem wszelkiem — męską jest rzeczą i mężowi przystojną, lecz gdy niewieście bezbronnej, bezsilnej przyjdzie tak stanąć nad przepaścią na łasce dziczy, gdy niewiasta w kwiecie wieku ginie marnie, najtwardsze serce się ściska. Patrzali nadciągający, zdjęci litością wielką; nawet Lasota, któremu własna przypomniała się rodzina, oczy otworzył zagasłe i poruszył się na swym koniu.

— Bogu najwyższemu niech będą dzięki, co was tu ku nam sprowadził — ozwała się starsza niewiasta — Bogu niech będą dzięki. Oto już trzeci dzień jak tu siedzimy same, drżąc a płacząc. Ostatni sługa, co był z nami, poszedł się rozsłuchać po okolicy — i nie wraca. Na Poniec, gród nasz, napadły gromady srogie, — ludu ćma... Ledwieśmy z córką ujść zdążyły z jednym starym. I tego niema teraz, nie wraca, a nas tu głodna śmierć lub zwierza paszczęka czeka... Co z domem, co z mężem się stało, — Bóg jeden wie!

Zasłoniła ręką oczy, z których łzy pociekły, i zamilkła.

Wszyscy z koni zsiadali, przybliżając się nieco. Młode dziewczę, wciąż strwożone, za matkę się kryło.

Z nazwiska męża znano starszą niewiastę; była ona rodem z Rusi, greckiej matki dziecię, poślubił ją był możny władyka, Leliwa. Miała imię Marty.

Za wielkiego Bolesława czasów, gdy z Rusią były stosunki ściślejsze, a chwilami przyjaźniejsze, — swatali się książęta i żupany z Rusinkami, brali niekiedy Rusini żony ze dworu króla i po grodach.

Ani Marty Leliwowej, ani córki jej nikt z przybyłych nie znał z twarzy, ni je kiedy widział w życiu. Spicymierza, inaczej zwanego Spytkiem, który niedawno się był przeniósł na siedzibę do Ponieca, widywali nieraz Doliwowie i Lasota. Mąż to był podeszły już w latach, rycerski, odwagi niezmiernej, czego w wyprawach mnogie dawał dowody.

Nie śmiano domyślać się nawet, co się z nim stało, zmiarkowali wnet wszyscy, że gdy podczas napadu

czerni był doma, niżeliby miał uchodzić, raczej życie dał. Mógł żonie swej i córce do lasu kazać się schronić, ale sam pewnie kroku dostał.

Aby daremną mową nie rozżalać zbolałej niewiasty, nikt się nie odezwał z pytaniem o niego; ona sama, ręce łamiąc, mówić poczęła, bo się pohamować nie mogła, jak zwykle niewiasty w złej doli.

— Bóg jeden wie, co się z panem mym najmilszym stało — wołała. — Z ludźmi swoimi chciał się bronić do upadłego; a czy potrafił z tych gromad, co go osaczyły, choćby przebojem się wyrąbać?

Płacz i narzekania niewiast na nowo się rozpoczęły, pocieszać je było trudno, milczeli wszyscy. Tymczasem, że się na wieczór zbliżało, obozować tu postanowiono, nie chcąc opuszczać niewiast, które na sługę czekały. Któż wiedział, czy się go doczekać mogły?

Choć w tak srogiem utrapieniu, gdy życie na włosku wisi, nie czas myśleć o piękności niewieściej i w niej się rozmiłowywać — obaj jednak Doliwowie, ujrzawszy córkę Spytkową, jako byli młodzi, nie żonaci a gorącego serca, nie mogli się jej napatrzeć.

Dziewczę się kryło, jak mogło, za matkę, widząc, jak ją oczyma prześladowali; nie pomagało to wiele, bo Doliwowie pod pozorem posług różnych bliżej się cisnęli, aby popatrzeć na nią, a krasą się polubować. Rozdzielone były wprawdzie od siebie obozowiska, niewiasty się trzymały na uboczu trochę, ale młodym łatwo było wymyśleć sposoby przybliżenia się do nich.

Sługa ów Spytkowej, na którego czekała, aby jej wieści przyniósł o mężu i o grodzie ich — nie powracał. Coraz więcej prawdopodobniejszem się zdawało, że go gdzieś pochwycono, albo się obłąkał w lesie, lub padł pastwą dzikiego zwierza, choć miał to być człek wielce sprawny i z lasem po bartniczemu oswojony, że w nim był, jak w domu.

Jawnem to było dla Doliwów, że opuścić tak niewiast nieszczęśliwych nie godziło się. Koni nie miały, tabor, niemi zwiększony, jeszcze się wolniej musiał posuwać ku Wiśle, na większe będąc narażony niebezpie-

czeństwa. Lecz nikt na to nie sarkał. Doliwom obu podróż ze Spytkówną uśmiechała się, bo w niej na pierwsze wejrzenie się rozmiłowali, nie wiedząc wcale o sobie.

Już noc była prawie, gdy wśród ciszy leśnej popłoch znowu padł na obozujących, szczególniej na niewiasty lękliwe. Szelest dał się słyszeć między gałęźmi. Mszczuj i Wszebór wnet do koni i oszczepów skoczyli. Zbliżał się chód jakiś i po chwili z gąszczów wysunął się, rozglądając ostrożnie, człek o kiju idący z toporem za pasem i oszczepem. Był to ów wysłaniec Spytkowej, o którego powrocie zwątpiono.

Zobaczywszy go, rzuciły się zrazu niewiasty ku niemu, ale wpatrzywszy się weń baczniej, wnet się powstrzymały, nie śpiesząc z pytaniami.

Szedł on, a raczej wlókł się, zataczając ze znużenia, z twarzą zbiedzoną i posępną — łatwo było odgadnąć, że złe przynosił wieści.

Zbliżywszy się ku ogniu, stanął, popatrzył litościwie na panią swą, oparł się na kosturze i milczał długo, oczyma tylko mówił, że go o co pytać nie było. Spytkowa też badać już nie śmiała, woląc przedłużyć niepewność, niż dostać wiadomość, którą przeczuwała. Stary ów człowiek, choć męskiego serca człek, popatrzywszy na swe panie, płakać zaczął. Milczenie groźne, jak to, co burzę poprzedza, panowało przy ognisku. Lasota się ozwał pierwszy.

— Zginął Spytek? co z waszym grodem się stało?

Ręką w powietrzu zamachnąwszy, ku ziemi ją spuścił Sobek.

— Zdala tylko patrzałem — rzekł — jak dymiło gniazdo nasze — niema go już, nie został nikt, nic nie zostało. Ranny Żugwa, co się ze zgliszcz wywlókł do lasu, gdziem go konającego znalazł, powiedział mi tylko, że pan nasiekł dużą trupów górę, nim go dostali, a legł rycerską śmiercią. W kawały go rozsiekli zbóje.

Zaszły się od nowego płaczu niewiasty, popadawszy na ziemię; ani śmiał kto ich łzy tamować! Przybyły Sobek, więcej nie mówiąc, jak stał, zwalił się tuż

przy ogniu bo mu znużenie wielkie nogi podcięło. Odstąpili na stronę Doliwowie i Lasota, zostawując płaczące z ich bólem i losem, naradzając się z sobą, co dalej poczynać mieli.

Troje pieszych przybywało im do gromady, bo i Sobek do niej przyłączyć się musiał. Oba bracia się na to zgodzili, że niewiasty na konie posadzą, a sami pieszo pójdą. Lasoty z nędznej, wychudłej szkapy poranionej zsadzić się nie godziło, bo iśćby był nie mógł wcale. Pieszo tak idąc, wędrówka przeciągnąć się musiała.

Odeszli z sobą dla narady dwaj bracia, a choć zgodni, jakoś tak na się patrzali, jakby się pokąsać mieli i nieufnemi ku sobie spoglądali oczyma. Przyczyną tego było owo dziewczę, na które oba łakomie patrzali, i jeden drugiego oczy szpiegował; Mszczuj posądzał Wszebora, a Wszebór Mszczuja.

— Ja konia mojego dam dziewczynie — odezwał się Mszczuj, biorąc w bok — sam pójdę przy niej, aby się gdzie nie spłoszył lub nie padł.

— Dlaczego ty, a nie ja? — odezwał się Wszebór szydersko. — Toć i ja potrafię.

— A czemuż znowu tobie koniecznie ma przypaść dziewczyna? — ofuknął drugi.

Spojrzeli sobie ostro w oczy.

— Bo mi dziewczyna do smaku! — rozśmiał się Wszebór.

— I mnie toż samo! — odparł Mszczuj.

Poczęli rzucać coraz ostrzejszemi słowy, oczyma się mierząc, jakby się wyzywali. Żaden ustąpić nie chciał.

A jak byli oba zawsze gorący i łatwi do zadarcia, już im się na gniew zbierało. Dopiero, gdy wybuch był bliski, wstyd im się zrobiło ludzi i samych siebie.

Nocą trzeba było, liche skleciwszy szałasy, ognie pogasić, aby nie zdradziły, a jednemu stać na straży naprzemiany... Dobrze, że jesienne, chmurne niebo deszczem się tego dnia nie rozlało.

Jak tylko świt, sposobiono się do drogi. Tu znowu wczorajszy spór wszczął się, ale milczkiem. Obaj Doli-

wowie z końmi się parli, wyprzedzając, aby je podać niewiastom, niespokojni — komu się dziewczyna dostanie. Więc jeden drugiego popychał, oczyma zaognionemi mierząc, a żaden ustąpić nie myślał.

Zawczasu powiązano węzły i sakwy, które Sobek miał dźwigać na sobie, poodziewały się matka i córka, stały gotowe, gdy się przed niemi Doliwowie z końmi znaleźli. Dziękowała Marta Spytkowa, a popatrzywszy na nie, wybrała Wszeborowego konia, który był cięższy i silniejszy, chcąc za sobą córkę posadzić, aby się od niej nie rozdzielać, wtem Mszczuj się ozwał, że konie ich słabe były, podróż długa, więcej, jak po jednemu, sadzić na nie trudno.

Dziewczę się zawahało, samo od matki nie chcąc zostać, matka też porzucić ją nierada. Gotowe były iść pieszo. Doliwowie stali, a tu czas naglił.

— Miłościwa pani — rzekł Mszczuj — czasu niema co tracić na rozmysły. Siadajcie wy na jedną szkapę, dzieweczka na drugą, my przy was pójdziemy, a na oczach ją przecie mieć będziecie.

Dziewczę się do matki tuliło, Spytkowa wahała. Lasota, którego już wsadzono na konia, nawoływał.

— Niema się tu co drożyć, gdy o życie idzie!

Uścisnąwszy dziecko i poszeptawszy jej na ucho, choć od niej oderwać się było trudno, starsza pani wsiadła na Wszeborowego konia, Kasię dając Mszczujowi, który zwycięsko a szydersko na brata się oglądał.

Dziewczę miało imię Katarzyny, jednej z najpowszechniej czczonych naówczas patronek.

Ruszyli więc w imię Boże manowcami znowu i koń przed koń, tak, że dziewczę za matką zostać z Mszczujem musiało, ale się zaraz otuliło i osłoniło tak, że ani oczów nawet jej widzieć nie mógł.

Umyślnie wiedziono najdzikszemi puszczy odstępami, w których nie było śladów ludzkiej stopy. Lasy w tę stronę nieprzerwane ciągnęły, a jak sobie Doliwa pochlebiał, miały ich aż do Wisły doprowadzić, boć cały kraj naówczas nie czem innem był, tylko ogrom-

nym lasem, tu i owdzie poprzerąbywanym, wykarczowanym kawałami.

Gdzie się kolwiek człek obrócił, bliżej lub dalej — las widział przed sobą, i choć się trafiła polana albo łąka, tuż za nią bór się znowu zaczynał. Jechali tak długo, gdy z południa już rzadnąć począł bór i ze strachem niemałym, wybiegłszy naprzód, Mszczuj postrzegł, że stali nad rozległą płaską, odkrytą równiną.

Wprawdzie na drugim jej krańcu znowu widać było bory gęste, lecz tak daleko, iż powoli jadąc, niemal dnia potrzebowali, nimby się tam dostali. Właśnie w tej stronie kędyś i ta Wisła, za którą się schronić mieli, znajdować się powinna. Należało więc coś obmyśleć, aby długo na widoku nie stać w przerzedzonym lesie.

Sobek się ofiarował, sakwy rzuciwszy, wypełznąć ostrożnie dla rozpoznania okolicy.

Zdala już gdzie niegdzie nad ziemią podnoszące się dymy oznajmywały, że dolina całkiem opustoszoną nie była.

Sobek, który bartnikiem niegdyś bywał, wdrapawszy się na drzewo, dojrzał wdali spalony gródek, mury kościołka napół obalone, a co gorsza — zdało mu się dojrzeć też ogromne obozowisko ludzi pieszych i konnych, z szeroko porozkładanemi ogniami, około których pasły się stada, leżały bydło i konie, i kupy jakieś nagromadzone sterczały...

Domyślał się, iż trafili nieszczęściem na jedną z tych gromad, które, ciągnąc z osady do osady, dwory, grody, klasztory i kościoły pustoszyły, równając z ziemią. Był-li to lud z okolicy, Prusacy czy Masławowe wojsko — trudno się kto mógł domyśleć, a dla zbiegów równem to było.

Potrwożyły się, chcąc nazad w puszczę, niewiasty, choć obóz leżał w bardzo wielkiem oddaleniu; godzili się wszyscy dalej w lewo brnąć, w stronę, w którą się lasy zataczały i niemi okrążyć dolinę.

Śmielszy od innych Sobek radził w gąszczy przystanąć i czekać, sam się ofiarując iść na zwiady.

Choć Lasota mu to odradzał, a niewiasty lękały się

stracić sługę, nie było dla podróżnych obojętnem dowiedzieć się, co się działo w tej stronie, ku której dążyli.

Niedługo się spierano; bartnik tak siebie pewnym był, a ochoczo się brał do tego, iż mu się wybrać dozwolono. Doświadczony bywalec umiał się wygadać jak było potrzeba, przybrać postać różną, udawać kogo chciał, a spodziewał się, że w mnogim tłumie czerni nikt go przecie poznać nie może. Im większe były gromady, tem mu się zdało bezpieczniej, bo wszyscy się tam znać nie mogli. Mowa i odzież prosta łatwo mu się wkraść dozwalała.

Od kraju lasu do obozowiska przestrzeń była znaczna, musiał Sobek tak się przekradać, aby nie wiedziano, że z puszczy wychodził.

Doliną nieco dalej przepływał strumień, którego brzegi gęste wierzby i łozy zarastały. A do brzegu jego Sobek, położywszy się na ziemi, ostrożnie pełznąć musiał po łące i roli.

Ze zręcznością dzikiego człowieka, którego instynkt i wprawa wiedzie jak zwierzę, wszył się w łozy Sobek. Zdala chyba oko myśliwca mogło dostrzec zlekka drgające gałęzie, tam, gdzie przedzierając się ostrożnie, poruszał niemi. Baczył i na to, trzymając się wody, gdy było można.

Dosyć mu też czasu zabrało to przekradanie się nad rzeczułką, gdy usłyszał wreszcie rżenie koni, ryk bydła i szmer a gwar ogromnej kupy ludzi. Był już około pastwiska.

Śmiały również jak zręczny, Sobek, topór zostawiwszy w łozach, sam się z nich dobył, niosąc pęk nałamanych dopiero wici, które, idąc po drodze, plótł a kręcił na pęta.

Nikt też na niego oczów nie zwrócił i z łozami pod pachą wsunął się w stado pasących się koni, rozpierzchłych szeroko.

Stąd już widzieć mógł, iż nie na wojsko żadne trafił, ani na Czechów lub Prusaków, ale na tę zbójecką czerń, która z żagwiami i kołami od dworu do dworu ciągnęła.

Biesiadowano około pobranych łupów ze śmiechem

i krzykami. Dalej w środku obozu, powiązane w łyka, leżały pokotem pobrane niewiasty i wyrostki.

Za obóz wyrzuconych walało się kilka trupów, około których, psy, warcząc, chodziły. Namiotów ani szałasów nie klecili najeźdźcy, leżąc pod gołem niebem. Paliły się ogromne ognie, a przy nich piekły barany i porznięte bydło. Stały beczki poodbijane, z których, kto chciał, czerpał. Na ziemi dostrzegł Sobek kupy wszelkiego bogactwa, sprzętu dworskiego i kościelnego. Ponad gromadami sterczały starym obyczajem stanice z bożyszczami różnemi. A że dawnych, poniszczonych nie stawało, w większej części rzezane były ladajako, nieforemne z drzewa.

Pieśni pogańskie i swawolne rozlegały się dokoła, bo gromady były podpiłe, a ochota wielka.

Sobek stał tak, patrząc pośród koni, nie wiedząc, czy iść ma dalej, gdy opiły parobczak, który z biczyskiem stada pilnował, przystąpił doń i zaczął mu się przypatrywać. Nie ulękły stary plótł dalej wić, wzajem mu też w oczy zaglądając.

— Pasza zła! — zamruczał, poczynając rozmowę chłopak.

— Ta! dla koni — rzekł Sobek — a dla nas jest jej poddostatkiem. Cóżeś to ty głodny? — zaśmiał się.

— Ja nie! ano mi march szkoda.

— Licho ich nie pobierze. Darmoć one przyszły, bośmy je po dworach zganiali, choćby który i zdechł! Przecie i krukom się coś należy — mówił Sobek spokojnie.

— Na! na! — mruknął parobczak — jużby dosyć tej włóczęgi... Dwór się na okolicę pono i jeden nie ostał, ani klasztor, ani kościelisko, — a za chatą tęskno.

— Hę? cóżeś to w niej zostawił? — pytał Sobek — dziewczynę?

— A pewnie, jak nie dwie! — odparł parobczak. — Gołowąs nie jestem, toć mi się należy.

Obrócił się głową ku obozowisku.

— E! tam ich jest kilka, tam! a no sobie starszyzna pobierze, nam chyba ino baby zostaną!

— Wrócicie do swojej to i lepiej. Niema tam komu bałamucić, kiedy wszyscy wyszli — mówił Sobek.

— E! e! — mruknął pastuch. — Wszyscy albo i nie.

Ziewnął i westchnął zarazem, a nabrawszy fantazji, z bicza trzasł, że aż konie się spłoszyły, czem sobie śmiechu narobiło pacholę.

Toć już pewnie wrócimy teraz, kiedy niema co dalej robić, bo nic nie zostało! — odezwał się Sobek. — A i mnie do chałupy markotno.

— Zjesz licha! — rzekł pastuch. — Zostałoć Horodyszcze Olszowe. Władyki się na niem zamknęły, z nimi są skarby wielkie i dziewuch siła, a tych ani dostać. Toć musimy borsuki z jamy wykurzyć!

— Gdzie? jakie Olszowe Horodyszcze? — wtrącił stary — jam nie słyszał.

— Boś stary i głuchy! — śmiał się parobczak — a gdzieżeś był, gdy my tam chodzili!

— Ja? — odparł Sobek — jam trzodę pasł. Nie wiem nic.

— Toć tam ludzi nam nabito i musieli precz odejść — ale ich głodem weźmiemy.

To mówiąc, pastuch świstać począł i do rozmowy nie miał ochoty.

Sobkowi też wić się rwała, klął, wołając, że po lepszą łozę musi iść. Nikt nań nie zważał. Powlókł się znowu w gąszcz nad rzeczkę. Zaszył się w nie, postał, popatrzał, przyczaił, dopadł zostawionego topora, wetknął go za pas i zobaczywszy, że pastuch znowu na ziemi legł, wcale za nim nie patrząc, napowrót począł z tą samą ostrożnością przedzierać się zaroślami ku lasowi.

Szybkim krokiem, trzymając się brzegu, doszedł do cypla lasu, wypełzł z zarośli i dobiegł do puszczy niespostrzeżony. Tu, na wilgotnej ziemi dobrze dla jego oczów znaczne ślady koni poprowadziły go do miejsca, gdzie nań niecierpliwie oczekiwano.

Nie bez obawy myślano tam, czy mu się uda dostać

języka, choć Spytkowa ręczyła za niego, iż człek był przebiegły i zręczny, jakiego drugiego nie znano, dlaczego i nieboszczyk mąż dał go jej i córce w usługi. Wrócił bartnik wcześniej, niż się go spodziewano. Postrzegłszy idącego zdala, wszyscy się doń cisnąć zaczęli.

— Cóżeś widział? co za ludzie są? — pytała Spytkowa.

— Czerń taż sama pewnie, która i u nas była w Poniecu — rzekł Sobek. — Nietylkom ją na oczy oglądał, ale między nich prawie wszedłem i z pastuchem gadałem. Niedługo pono pójdą po chatach odpoczywać, łup podzieliwszy, bo się już przed nimi nic nie zostało, krom jednego Olszowskiego Horodyszcza. Tam się władyki bronią, ludzi im nabili i chyba ich głodem będą brać, bo inaczej nie mogą.

— Ho! ho! — przerwał Lasota — niedoczekanie. Na Horodyszczu siedzi stary Belina ze swoimi, ten się zawczasu zasposobił, nie da się, choćby mu się i rok przyszło bronić. Belinę znam. Śmiali się z niego ongi ludzie, że w bezpiecznem miejscu siedząc, zawsze się tak zbroił, opasywał, zboże zasypywał, jakby się oblężenia spodziewał. Jednak on jeden rozum miał.

Za Bolesława myśleli wszyscy, że się już wszystko skończyło, tylko on w nawrócenie nie wierzył, a wróżył wciąż, że poganie kiedyś kościoły wywrócą, a nas chrześcijan wymordują. On ci jeden widział i wiedział, co się stać miało! — dodał, wzdychając, Lasota.

— A czemużby my, miłościwy panie — odezwał się, do nóg mu się kłaniając, Sobek — zamiast za tę Wisłę, do której się dobrać trudno, nie pociągnęli na Olszowe Horodyszcze! Jabym poprowadził!

Zamilkli wszyscy.

— Wieszże ty drogę? — spytał Lasota.

— Znajdę ją — głaskając się po głowie i potrząsając nią, odezwał się stary.

— A przyjmąż nas tam? — dodał starszy Doliwa.

— Jak odepchnąć mogą! — zawołał Lasota — oni mi plemiennicy, ona mi krewna. Belina nigdy chrze-

ścijańskiego a rycerskiego człowieka nie odepchnął od proga.

— Nie objemy go bardzo — dodała Spytkowa, której ta myśl wydała się ratunkiem jedynym.

Doliwowie się nie sprzeciwiali, nie opierał się nikt tak szczęśliwej myśli — szło tylko o to, jak i którędy dostać się do Belinów. Wedle powieści Sobka, półtora albo dwa dni drogi, a do gródka docierać musiano ostrożnie, bo choć czerń od niego odstąpiła, czaty i straże dokoła, na które wpaść było łatwo.

Mszczuj to przypomniał, a Lasota pochwalił.

Czerń się pewnie zdobyczy nie wyrzekła i Horodyszcza zupełnie opuścić nie mogła.

Na przednie zwiady znowu się Sobek ofiarował ochoczo. Jedyny był człek, że go wszyscy pokochać musieli, bo znużonym nigdy nie był, gotów do posługi zawsze, jadła mało potrzebował, snu niewiele, do rady chętny, a gdy o nim zapomniano, pół dnia milczał, nie zaczepiając nikogo. Przed wieczorem jeszcze pociągnięto głębiej w puszczę dla bezpieczeństwa i żeby czasu nie tracić, Doliwowie zdali na bartnika prowadzenie. Następny dzień zostawał jeszcze cały na powolny pochód ku Horodyszczu. W niewiasty wstąpiło trochę ducha z nadzieją, że między swych miały się dostać, a nie gdzieś w ostępie obozować, obawiając się ciągle Masława napadu i niewoli.

III.

Dodnia o słocie wyruszono z noclegu. Nocą jeszcze wzięło się na deszcz jesienny, spokojny, powolny, do gęstej mgły podobny, który się, jak Sobek mówił, kręcąc głową, na długo obiecywał. Oślizły wnet drogi leśne, obmokli wkrótce podróżni, a niewiasty, choć się poosłaniały od zimna i wilgoci, przemarzłe jechały i zmoczone. Spytkowej, gdy tylko mówić z przewodnikiem przestała, a mówiła rada, na płacz się zbierało.

Mszczuj ani wczora, ani dnia tego wiele nie zyskał na dziewczęciu, przy którem ciągle się być starał, konia wiodąc i gałęzie łamiąc, aby nie trąciła o nie. Kasia wciąż unikała spojrzenia na niego, a deszcz dozwalał się jej tak osłaniać, że wcale nie mógł dojrzeć oczu dziewczęcia.

Starsza pani Wszebora trzymała przy sobie rada, z żalami przed nim rozwodząc nieskończonemi.

A że macierzy się zalecać musi, kto chce córki dostać, Wszebór rachował, że co straci, nie będąc przy Kasi, to odzyska przy pani matce. I śmiał się z Mszczuja w duchu. Mszczuj i tak był markotny, bo mu Spytkówna często, gdy ją zagadnął, nie odpowiadała.

Dziewczę było płochliwe, skromne, milczące na podziw, jakby w sobie młodości nie czuło. Żal i boleść może je takiem uczyniły. Słowa się nie mógł dopytać Doliwa, a jeśli co szepnęła, to tak prędko i cicho, że pochwycić było trudno.

Zato pani matka mówiła za dwoje. Od tej czego chciał i nie chciał, mógł się Wszebór dowiedzieć. Młodość swoją, spędzoną na Rusi, pierwsze swaty, wesele, przybycie do Polan, pożycie z małżonkiem, przygody swe i jego aż do ostatnich wypadków po kilkakroć mu, coraz coś nowego wtrącając, opowiadała Marta Spytkowa. Mówiąc płakała i śmiała się czasami, gdy zapomniała o smutku, śmiech się łzami przeplatał, płacz z uśmiechem, niekiedy i czarnemi oczyma zagrała, jakby jeszcze młodą była.

Mówiła o sobie, o mężu, o córce, o wielu, co się gotowi byli rozmiłować w niej, gdyby tylko dozwoliła, o wszystkiem, co na pamięć przyszło.

Wszebór mało jej przerywał — dość było jednego słowa, by dalej popędzić nieustającą opowieść.

W przeciągu jednego dnia on z panią matką tak już był poufale a dobrze, jakby się znali oddawna.

A że w owych czasach ludzie wogóle szczersi byli, mógł naprowadzić wprędce rozmowę na córkę i chwalić ją począwszy, dał do zrozumienia, że mu do serca przylgnęła.

— A toć to jeszcze dziecina! — niedojrzała a słaba — odparła chmurno Spytkowa — daleko to temu, aby ją mężczyźnie dać. Gołębiami się jej zabawiać i piosenki śpiewać; pociechy z niejby nie miał gospodarz, bo rączyny ma słabe. Gdzie! gdzie! daleko do tego!

I głową potrząsała. Nie nalegał Wszebór, rad może będąc, że Spytkowa dziewczęcia łatwo się pozbyć nie ma ochoty.

Dzień ten mimo wszelkich ostrożności nie obył się bez strachu.

Wśród lasu Sobek naprzód poczuł zgorzeliznę, ale zaręczał, że ognisko wygasłe być musiało dawno i dym tylko tak przywrzał do wilgoci. Rozpatrując się bacznie, spostrzegł w gąszczy z gałęzi narzuconą kupę, która widocznie ręką ludzką była sklecona i za szałas służyć musiała. Zbliżywszy się ostrożnie, znaleźli tu śpiącego człowieka, który zbudzony nagle, postrzegłszy ich, wyrwał się, chcąc uchodzić. Bliżej stojący Sobek z Dębcem rzucili się nań i obalili na ziemię, lękając się, aby o nich nie oznajmił, bo nie wiedzieli, kto był.

Sobek broniącemu się byłby narazie głowę rozbił toporem, gdyby wczas nie obaczył, że to zbieg był, chowający się w lesie, a nie żaden z czerni włóczęga. Straszno było wejrzeć na niego, a choć młody i silny, od dni wielu kryjąc się bez żywności, utrzymując życie wodą, liśćmi, korzonkami, wychudł był i wysechł straszliwie, a głodowa gorączka i obłąkanie go opanowało. Sił miał mało, wejrzenie straszne, jakby mu się wewnątrz paliło, a płomię lało oczyma.

Gdy ze strachu ochłonąwszy, ludzie poznali kto był, litość ich wzięła nad nieszczęśliwym. Podniesiono go z ziemi, a gdy inni nadjechali, Spytkowa dała mu chleba suchego, który on, schwyciwszy, zapamiętale, nie patrząc, nie słysząc nic, jeść począł. W tej pierwszej chwili nic się też od niego dopytać, nic dowiedzieć nie było można. Zaspokajał głód, pozbywał się trwogi, której doznał, będąc zbudzony nagle ze snu gorączkowego.

Lasota, litując się chętnie tym, co, jak on, nieszczę-

śliwi byli, pilno się w zmienione lice począł wpatrywać. Mimo strasznie wychudłej i poczerniałej twarzy zdało mu się, jakoby go gdzieś, kędyś widywał.

Zbieg też popatrzywszy nań, zamruczał pierwsze słowo, co mu się z ust wyrwało.

— Lasota!

— Boże miłosierny! Toś ty nie kto inny, tylko Bohdaś Toporczyk! — krzyknął stary, ręce łamiąc. — Ale cóż to w lesie robisz sam? Przecieżeś przy Kaźmirzu był i myśleliśmy, żeś z nim zagranicę do Niemców uszedł, takeście się z nim trzymali. Królewicz cię lubił, nie powinien był opuścić.

Dopiero się usta Toporczykowi otwarły.

— On też mnie nie opuścił — rzekł — nadto to dobry i bogobojny pan, choć z nim ludzie sobie niedobrze, niepoczciwie poczęli! Odbiłem się ja przypadkiem od dworu jego, nim ujechał do matki. Potem już wracać nie było do kogo i gonić nie miałem sposobu. Chwyciła burza i ot co się stało ze mną.

Mówiąc, Bohdaś jęczał, stali nad nim wszyscy, z miłosierdziem wielkiem mu się przypatrując. Znowu tedy jednym biednym człowiekiem pomnażała się owa gromadka, a nim go odżywiono i naradzono się, co poczynać dalej, wieczór się zbliżył.

Obradować musiano, będąc nieopodal już od Horodyszcza, jak się dostać do niego, czy nocą dobijać, czy nazajutrz stać i spoczywać do wieczora, by potem, dnia unikając, przybyć o mroku.

Starsza pani o pośpiech nalegała mocno, trwożną będąc i zmęczoną, — drudzy się wahali. Bohdasia Toporczyka ni myśleć by porzucić, a wszystkim po głowie chodziło, że im więcej ich przytułku miało szukać na grodzisku, tem trudniej z tylu gębami znaleźć mogli przyjęcie. Już ich się teraz ośmioro zebrało, a żywić w głodny czas ludzi tylu nie było łatwo oblężonym. Choć Belinowie znani byli, jako ludzie chrześcijańscy i miłosierni, przecież naprzód o los i przeżywienie rodziny własnej dbać musieli.

Nikt nie mówił nic, — frasowali się wszyscy. Sobek

spytany, radził tegoż wieczora, korzystając z mroku, jechać dalej.

Więc choć ciemność nadchodziła, że słota trochę nad zachodem ustała, wszyscy się do dalszego uszykowali pochodu.

Sobek z Dębcem szli przodem, za nim jechał Lasota, dwie niewiasty, przy których szli Doliwowie i przybysz ostatni. Tego Mszczuj pod rękę wiódł, bo niewiele jeszcze siły miał do chodu.

Spytany przez jejmość starszą, Lasota mógł poświadczyć o Toporczyku, iż był na dworze królowej Ryksy, przy królewiczu Kaźmirzu wychowany, któremu go do zabaw dawano, jako starego i możnego rodu dziecię. Spodziewano się po nim wiele, bo i księża benedyktyni go uczyli i sam dwór głowę otwierał, a pojętny był we wszystkiem i choć nauki miał więcej niż inni, rycerskiego ducha w sobie zachował.

Gdy tak szli, zagadł go wkrótce Lasota, pozywając ku sobie, aby się już więcej dowiedzieć, jak popadł w to nieszczęście, z którego cudem ocalał. Lecz o tem niechętnie mówił Toporczyk, winę zwalając na nieostrożność własną, a domyśleć się tylko było można, że wyprawiony został, aby królewiczowi, już zagrożonemu wygnaniem z kraju za matką, posiłki przywołać.

Dla niego się poświęciwszy, ścigany, odcięty od Kaźmirza, zmuszony błąkać się, gdy kraj cały wojna i pożoga objęła, tułał się już, byle życie ocalić.

Na wspomnienie o Masławie Bohdaś cały się wstrząsł, zawrzał, pięści mu się same ścisnęły, jak do bójki i w gniewie okrutnym zawołał, że wolałby z głodu umrzeć lub od czerni ginąć, niż łaską jego żyć...

— Psiego syna tego imienia wymówić nie mogę, bo mnie dławi! — mówił. — On sprawca, on winowajca, on zdrajca! Wszystka krew nasza na jego głowę! Nie może to być, żeby go Bóg nie ukarał. Królowę naprzód, która nim pogardzała, jak zasłużył, prześladował i wygnał, królewicza zamordować chciał, gdyby mu nie uszedł, sam panowania zapragnąwszy! Wiedział przechera, że gdy krew się poleje i pustynią kraj

stanie, ludzie zawołają na ratunek choćby zbója! Ależ lepiej ginąć niż u niego łaski żądać!

I wedle obyczaju wieku Toporczyk kląć i bezcześcić począł Masława, za którym też nikt się nie ujmował.

— Psa niewart — przerwał Lasota — toć pewna, a skoro siłę będzie miał, pokłonią mu się ludzie, komu życie miłe!

— Nie doczeka zbój tego, nie doczeka, póki nas choć garść została! — począł Bohdaś. — Albo nazad nie możemy powołać do nas wnuka Bolesławowego? Uszedł od nas, ale gdy doń ręce wyciągniemy, — przyjdzie i panować nam będzie, nie jako ojciec, ale jako dziad, bo mąż rycerski jest rozumny i bogobojny, do boju i do rady. Czyż już nas doszczętu, jak pszczoły, wybito? Choćby garść została, cesarz mu pomoc da, by Czechy zawojowaniem ziemi naszej nie urosły do zbytku. Iść trzeba prosić, wołać!

— Toć to syn Ryksy! — szepnął cicho jeden z Doliwów.

— Wiem ci ja — gorąco począł Toporczyk, — że królowej matki nikt u nas nie lubił, że jej wszystko złe przypisywano. Jam patrzał tam, jam żył. Nie tak było, nie tak! Królowa pani pobożna i rozumna, surowa była dla ludzi, przeto jej nie lubili, ale sprawiedliwa i miłosierna. Prawili na nią, że naszych nie cierpiała, a Niemcy się otaczała; — prawda i to, bo nikt się do niej nie garnął, obyczaj nasz stary pogański zrażał i zniechęcał. Bała się ludzi naszych, wolała z pobożnymi i mądrymi obcować, o świętych sprawach słuchać. Rady ich zasięgała, bo skądinąd wziąć nie mogła. Nasi na nią koso patrzyli.

Gdy tak rozpowiadał, a wszyscy go słuchali ciekawie po długim i nużącym pochodzie, już w głęboką noc Sobek kazał się naprzód jadącym uciszyć, potem stanąć, bo się las przerzedzać zaczynał i zdało się jakby się już zbliżali ku dolinie, wśród której stało Olszowe Horodyszcze.

Trochę się jaśniej też na niebie zrobiło, bo resztka księżyca weszła była i choć z za obłoków przyświecała.

Sobek poszedł znowu przodem, skradając się, by wypatrzeć, czy dokoła gródka kupy jakie, oblegające go lub strzegące nie stały. Wszyscy więc nieruchomie w gąszczach się zatrzymali, a bartnik, przygarbiwszy się, pod krzaki się wsunął i puścił na zwiady.

W istocie dolina, którą mieli przed sobą, była ową Olszową, a pośród niej nad rzeczką Olszanką i moczarami, ją otaczającemi, wznosiło się Horodyszcze, na kopcu dość wysokim i obwarowanym.

Wały i ostrokoły wysokie całe je niemal osłaniały tak, że ledwo gdzie niegdzie z za nich dachy wyglądały.

W dolinie Sobek nie dojrzał nigdzie żywej duszy, nad rzeczułką tylko były świeże jeszcze ślady ogromnego zbiegowiska wydeptane, wyleżane, wypalone miejscami. Głownie zgasłe, koły, przy których konie stawiono, jamy na ogniska pokopane w ziemi, reszty poobalanych szałasów, kupy kości białych zalegały dokoła.

Na gródku też, do którego Sobek zbliżyć się usiłował, cisza była, jakby wszyscy wymarli, — ani światła, ani głosu. Dobrze się dopiero wsłuchawszy, po szmerze i chodzie rozpoznał, iż na wałach stróże czuwali i chodzili.

Opatrzywszy jeszcze, z której strony wnijścia do wrót szukać było trzeba, powrócił pośpiesznie nazad, aby natychmiast gromadkę swą prowadzić, póki dokoła cicho i bezpiecznie było.

Zaledwie z lasu się wysunęli w dolinę, gdy na gródku posłyszeli nawoływanie: znać ludzie czujni, postrzegłszy ich, zaraz się ruszyć musieli. Sobek, który po nocy, jak kot dobrze widział, dostrzegł, iż ponad ostrokołami ludzie wyglądali tu i owdzie. Im się ku gródkowi bardziej zbliżali, tem ruch silniejszy się stawał. Do wrót wiodła droga stroma, pozawalana umyślnie kamieniami i belkami, w kilku miejscach poprze-

kopywana; po nocy z wielkim trudem i niebezpieczeństwem przyszło ją przebywać.

Zostawując za sobą towarzyszów, jakby rozbudzony, ruszył przodem pierwszy stary Lasota. Czatowano już nań u wrót, bo gdy huknął i nawoływać zaczął: Belina! — wnet mu się odezwano.

— Kto i skąd?

— Ranni, nieszczęśliwi, sieroty, dwie niewiasty i kilku niedobitków, — zawołał stary — miłosierdzia waszego prosimy. Ratujcie, kto w Boga wierzy, przytułek dajcie!

Na to pierwsze wołanie czy się naradzano, czy wahano, długo nie było żadnej odpowiedzi. Lasota zniecierpliwiony, do samego Beliny odzywać się począł, aby ku niemu wyszedł.

— Belina stary! bywaj do mnie, na miłosierdzie Boże!

Znów tedy czekano długo, a za ostrokołami szmer tylko i tupotanie słychać było. Aż w górze na pomoście pokazała się postać jakaś ciemna, mężczyzna w wysokiej czapce na głowie, z kijem białym w ręku.

— Podwórca i gród nasz, jak nabił, pełne, chleba omal nie mamy. Choćby dusza rada, jak przyjmować! My się tu sami ledwie przekarmić możemy...

— Dajcież nam choć bez chleba w spokoju u was głodem pomrzeć raczej, niżbyśmy w ręce zbójów i niewolę haniebną wpadli — krzyknął Mszczuj.

Milczano długo. Głos z góry spytał.

— Kto wy?

Lasota pierwszy się wymienił, bo był im znany i pokrewny, powiedziano potem o Spytkowej z córką, dalej o dwóch Doliwach, wreszcie wymieniono Toporczyka i sług dwóch.

— Osiem dusz, osiem gąb! — z góry wołać poczęto. — Nie może być, tu na trzech miejsca niema.

— Niewiasty weźmiemy! — zakrzyczał głos drugi.

— Belino stary — przerwał Lasota, siląc się na głos doniosły, w którym gniew czuć było. — Chcesz, byśmy ci tu legli pod wrotami, srom czyniąc, żeś chrześcijań-

skiego serca nie miał. Dobrze... Legniem, niech nas tu wilcy jedzą pod oczyma waszemi!

Na pomoście wszczął się gwar i swary, słychać było żwawą sprzeczkę. Jedni chcieli uczynić miłosierdzie, drudzy się wzbraniali. Lasota i Doliwowie nie mówili nic. Toporczyk milczał, siadłszy na ziemi. Spytkowa, ręce łamiąc, lamentowała głośno, dziewczę płakało pocichu.

— Gdyby już nas choć puścili — wołała Spytkowa — rzucę się im do nóg, nie może być, żebym nie wyprosiła dla was schronienia.

Po przestanku, ktoś z za ostrokołu się pochylił ku dołowi.

— Bohdaś Toporczyk? Toś ty? — zapytał.

— Jam ci, albo cień mój, bom ledwie żyw — rzekł, podnosząc głowę, Bohdaś. — Byłbym już umarłym, gdyby nie miłosierdzie tych ludzi.

— Niewiast dwie, Lasota i Toporczyk! — zawołał z góry — więcej nikogo. Dziej się wola Boża!...

Stało się milczenie; Spytkowa poczęła się przebijać ku wrotom, aż Bohdaś wstał i postąpił.

— Niewiasty puszczajcie — rzekł — ja nie pójdę bez drugich, zostanę z nimi. Gdyby najmniejszy ze sług za wrotami miał zostać, ja także. Albo wszyscy, albo nikt. Pójdziemy dać gardło Masławowi.

Osłabły Bohdaś tak głos podniósł nagle, że się inni postraszyli, życie mu wracało z całym ogniem młodości.

Znów tedy na górze się swarzono i rozprawiano, a wrota stały zaparte. Bohdaś wpadł w gorączkę.

— Puszczajcie niewiasty! — wołał. — Choć to się należy, aby dzicz ich nie zbezcześciła i nie znęcała się nad niemi. A nie chcecie ocalić braci, chrześcijan ubogich, żeby z nimi kawałka chleba nie dzielić, kat was porwij! Godniście, aby was dobyto i wyrzezano, lub popędzono w niewolę.

Śmiałe te wyrazy nie wywołały odpowiedzi, wszystko zamilkło. Potem podniósł się jeden strofujący głos, a inne zamilczały. Wśród tej ciszy słychać było szlochanie Spytkowej i gniewne przekleństwa Mszczuja.

Zmęczeni podróżą posiadali u wrót na kłodach i kamieniach. Miłosierdzia prosić już nikt nie chciał, wszystkich gniew okrutny burzył.

Czas jakiś tak upłynął, ale nie można było wiedzieć, co się stanie, gdy za wrotami światło się ukazało, stąpanie zbliżyło, drągi i zapory, któremi była zawalona furta, zaczęto, hałasując, odrzucać.

Nikt się już nie odzywał, ani prosił. Po długiej i mozolnej robocie około wrót, z ciężkością się one rozwarły i sam stary Belina, mąż poważny, otyły, silny, wzrostu wielkiego z długą bladą twarzą, lat średnich, ukazał się w nich na mieczu oparty.

— Chodźcie wszyscy — rzekł chmurno — chodźcie, a nie mówcie nic, aż oczyma własnemi ujrzycie, co się tu u nas dzieje.

Wstąpiła tedy śpiesznie pierwsza Spytkowa, córkę za sobą wiodąc, i ledwie próg przeszedłszy, padła na kolana, Bogu i gospodarzowi dziękując, który stał, nie ruszywszy głową, w myślach pogrążony.

Wszedł potem Lasota, Toporczyk, Doliwowie i słudzy, którzy konie za sobą wiedli. Dwóch pachołków u wrót trzymało smolne pochodnie, gdy w pierwsze podwórce wchodzili, a tuż za nimi znowu furtę poczęto zabijać i umacniać, jak była...

Belina milczący, przodem idąc, prowadził, — na witanie czasu nie było.

Podwórza w grodzisku w istocie widok przedstawiały dziwny i straszny, litość mogący obudzić. Jak okiem zajrzeć, jednym pomostem na gołej ziemi, na słomie, w błocie leżeli ludzie tak ściśnięci, iż ścieżki pomiędzy nimi do przejścia nie było.

Naród to był wszelkiego stanu i wieku, matki z dziećmi na rękach, wyrostki, tulące się przy kolanach starców, wojacy w poszarpanych pancerzach skórzanych, z których żelazne łuski się sypały, zgrzybiali mężowie bez okrycia głowy, z obnażonemi piersiami, napół nadzy.

Kto lec nie mógł, siedział sparty o częstokół, o ścianę, o plecy sąsiada, o nogi jego. Niektórzy ze znużenia,

może z głodu, spali tak głęboko, że ich ani światło, ani głosy, ani potrącenie nogami przechodzących obudzić nie mogło. Drudzy, których sen nie brał, siedzieli popodpierani na rękach, z włosy rozpuszczonemi w nieładzie. Inni zrywali się jeszcze przestraszeni, nie wiedząc, co się stało, myśląc, że nieprzyjaciel nadchodził, oszczepów szukając i krzycząc...

U szop, pod budynkami, w sieniach, wszędzie tę nawałę ludu nieszczęśliwego widać było. Twarze zbladłe, żółte, wynędzniałe dowodziły, że i tu ledwie czem było życie utrzymać. Nowi przybysze, wpuszczeni w ten tłok, musieli sobie za Beliną drogę torować, wśród tych pokotów, nieraz następując leżącym na ręce i nogi. Belina więc naprawdę mógł tylko ukazać, co się u niego działo, aby się uniewinnić, że przybyłych zrazu wpuścić nie chciał.

Przez szopę i drugie wrota weszli w wewnętrzne podwórze, gdzie stał dworzec. Znaleźli w nim kilka rozbitych namiotów i poklecone z chróstu chiżyny, ale i tu tłok był też niezmierny, wszystkie kąty zapełnione ludźmi, końmi, bydłem i owcami. Trzody musiano schronić pod szopy a dozorować, aby zgłodniali ludzie, jak to się już trafiało, nocami nie zabijali tajemnie dla odżywienia się.

Tu pod namiotami chroniło się, co było przedniejszego rycerstwa i ziemian. Niewiasty ich z żoną Beliny, dzieci i co słabsze pod dachami mieszkało.

Stary gospodarz z posępną twarzą wwiódł ich naprzód na dół do wielkiej świetlicy, gdzie za lepszych czasów była izba gościnna — stołowa. Gmach to był długi, na słupach dębowych oparty, w którym oprócz stołów, ław i ogniska ogromnego, kamieniem obłożonego, nic więcej nie było. Ściany okrywały od góry do dołu porozwieszane odzienie i zbroje tak, że ich nawet widać nie było. Tu też mostem leżeli ludzie na ziemi, na ławach, na stołach, pootulani w płaszcze i opończe, niektórzy ledwie nie w kominie samym, na którego kraju spało kilku razem ściśniętych.

— Patrzajcież — rzekł, odwracając się, gospo-

darz — patrzajcież, a nie winujcie mnie. Zdawna już nie mamy nic prócz trochy solonego mięsiwa, kaszy i mąki. Warzymy z niej polewę, aby życie utrzymać.

Ręką na podłogę wskazał.

Potem, że już słowa zbytnie były, mruknął tylko.

— Mieśćcie się sobie gdzie i jak możecie. Niewiasty do moich zawiodę. Co Bóg da, to da!

Leżący na podłodze, stołach i ławach przebudzeni światłem i głosem tu i owdzie, przecierając oczy, podnieśli głowy, przypatrywali się stojącym jeszcze przybyszom.

Z kilku kątów odezwały się wołania.

— Lasota! Mszczuj! Wszebór!

Bohdasia Toporczyka chwycił już był syn gospodarza, młody Belina, z którym na dworze królowej i królewicza byli w drużbie serdecznej, chwycił go i ściskał, wołając:

— Nie wiń nas, bracie, nie wiń, a patrz.

Zaledwie światło zagasło, pospali się znowu wszyscy, a kto nie usnął, dyszał cicho, aby drugich nie budzić.

Sobek i Dębiec w pierwszem podwórcu razem z końmi zostać musieli. Tak się skończyła owa wędrówka niebezpieczeństw pełna, szczęśliwiej, niżby się kto mógł spodziewać.

Nazajutrz rano, ledwie świt, ruszać się poczęli niektórzy i wychodzić z zaduchu na wały, gdzie już słychać było i lud wszystek rozbudzony gwarzący, płaczące dzieci, nucące niewiasty, spierających się ludzi, wrzawę niemałą dokoła.

Obraz ten po dniu prawie straszniejszym był, niż nocą, która nie dawała lica ludzkiego dopatrzeć, a snem ból skrępowała. Teraz się to wszystko rozbudzone poruszało i w słowach a jękach skarżyło na niedolę swoją. Matkom, co dzieci przy piersiach miały, pokarmu brakło, kilkoro niemowląt poumierało nocą z chłodu i głodu. Zawodziły z płaczem wielkim niewiasty, obstępując żółte, zsiniałe zwłoki. Jęczeli chorzy, wołali

o pokarm głodni, a co żwawsze było, wodę nosiło, niemocnym służyło.

Starszyzna, powyznaczana przez Belinę, z kijami chodziła, czyniąc porządek i nakazując milczenie. Żadna noc tu nie przeszła, żeby kilku ofiar nie wzięła. I z tej też kilku ludzi starszych, co chorzy byli i dzieci kilkoro umarło.

Krzątano się około pogrzebów, których na gródku nie było gdzie sprawiać. Musiano furtę odmykać i ludzie z łopatami szli, niosąc zwłoki do bliskiego lasu, aby je tam pogrzebać. A śpieszyć było trzeba i oglądać się, żeby czatująca czerń nie napadła.

To był pierwszy widok, który oczy przybyłych uderzył, gdy z rana wyszli, aby się z wałów rozpatrzeć dokoła. Nim z nich zeszli, wołano na mszę świętą w drugie podwórze, na górnym ganku; codzień rano o. benedyktyn, Gedeon, człowiek wielce świątobliwy, ocalony z Trzemeszeńskiego klasztoru, odprawiał ją, aby ducha i męstwa nieszczęśliwym dodawać.

On tu jeden wśród tej strasznej powodzi i zniszczenia, gdy wszyscy o miłosierdziu Bożem zwątpili, rozpaczy się poddając, spokojnym umysłem swym umiał natchnąć odwagą i nadzieją. Ażeby ów mnogi lud mógł się modlić w czasie Świętej Ofiary, ustawiono ołtarz na górnym pomoście, który zdala widać było. Kto chciał, ten i z drugiego podwórca przez wrota szerokie kapłana mógł widzieć i modlić się z nim razem.

Widok był piękny, choć smutny, gdy co żyło cisnąć się poczęło, mężczyźni i niewiasty, aby się do tego Boga modlić, w którym jednym nadzieję ratunku pokładano.

Cicho się stało w podwórcach, tylko płacz niewiast i westchnienia przerywały milczenie. Było ich tu wiele osieroconych, jak Spytkowa i jej córka, których mężowie, ojcowie i bracia poginęli w walkach, zabłąkali się bez wieści. Większa ich część w białych zasłonach, czepcach i namitkach siedziała, stała, klęczała na uboczu, tak że twarzy ich dojrzeć nie było można. A że ścisk ludu był wielki, z rozkazu o. Gedeona była ustawiona oddzielnie płeć biała, oddzielnie mężczyźni.

Wszyscy prawie ci zbiegowie, choć, jak Lasota, niegdyś się do najmajętniejszych liczyli, teraz odzieży całej nie mieli, stali w porwanych opończach, w siermięgach pożyczanych, w kaftanach zabłoconych, jak kto przyszedł, w łachmanach prawie.

Nad starym Lasotą, który pokaleczony był, a nic prócz porąbanego kaftana i poprutego pancerza nie miał, ulitowawszy się Belina, nazajutrz z rana przyniósł mu szmaty do poobwiązywania ran i opończę dostatnią. Pancerz rzucić musiano w kąt, a kaftan też krwią pobroczony na nic się nie zdał. Sobek, który i do tego był sprawny, poobmywał mu i opatrzył rany. Tak samo Tomko Belina przyodział Toporczyka, którego dawna odzież od wilgoci się popadała i niemal na nim pogniła. Ale Bohdaś tego dnia wstać o swej sile nie mógł, i gdy przyszła godzina roznoszenia strawy, musiano mu ją przynieść do tego kąta, w którym leżał.

Strawa to była licha, chleba już oddawna piec nie mogli, wszyscy więc zarówno — mężowie, niewiasty i dzieci, obchodzili się polewką z mąki, rzadko mięsa kawałkiem, lub trochą tłustości okraszoną.

Nikt się na głód uskarżać nie śmiał, troszczono się tylko, czy na tyle głów stanie długo strawy, nim się rzeczy na lepsze obrócą. Stary Belina sam w zasieki i bodnie codzień zaglądał, oczyma je mierząc, na jak długo w nich życia było.

Chociaż czerń, która oblegała gródek, ustąpiła od niego, widziano, że to nie był pokój trwały, że na głód rachowano, co poddać się przymusi.

Nieraz też już tu mowa była, czy nie iśćby przebojem na Wisłę. Lecz tam trzeba się było albo poddać Masławowi, albo z nim do walki wystąpić. Znaczniejsza część, albo raczej wszystko rycerstwo zamknięte na Olszowem Horodyszczu, brzydziło się Masławem i pogaństwem, nawet ocalenia nie chcąc szukać u niego.

Radzono codzień i nic uradzić nie umiano, a gdy spory i rozprawy kończyły się, o. Gedeon zamykał je jednemi zawsze słowy:

— Módlmy się, w Bogu ufność miejmy, Bóg pomoże!

Tylko młodość w takim ucisku szczęśliwą jest, że na chwilę o niem zapomnieć może. Któżby się domyślił, że nazajutrz rano pierwszą troską obu Doliwów było dośledzić, gdzie się niebieskie oczy Kasi podziały. Wstali natychmiast, zabiegając i kręcąc się, a dowiadując, gdzie córka lub matka być mogła.

Już w drodze z powodu dziewczęcia tak się z sobą jakoś, nie mówiąc o co, poważnili, iż unikali nawet rozmowy, i jeden od drugiego głowę odwracał. Wszebór sobie panią matkę tak pozyskał w ciągu drogi, że już jej dla siebie pewnym był, ale nie obrachował tego, że żwawa i raźna jeszcze niewiasta nie dla córki, a dla siebie samej na niego okiem rzucała. We wdowieńskim stanie, bez opieki, mówiła sobie, trudno pozostać było... Chciała niby nie sobie męża, — ale dziewczynie dać ojca i dla niej się poświęcić.

Wszeborowi co innego się śniło.

Mszczuj, który czasu podróży nie mógł się zbliżyć do trwożliwej Kasi, dlatego może jeszcze goręcej się w niej rozmiłował. Myśleli teraz oba ino o tem, jakby dalej serdeczne zamysły prowadzić.

W obu jedna krew była gorąca, lecz jak się to w rodzinach zdarza, inaczej ona u Wszebora, inaczej w Mszczuju grała. Zapalczywi oba, — każdy po swojemu do celu zmierzali. Na łowach Wszebór się rad zasadzał na zwierza, a Mszczuj gonił i ubijał; pierwszy dzień cały gotów był strawić w szałasie na przesmyku, byle się zwierza doczekał, drugi wolał ścigać i walczyć. Tak samo i we wszystkiem czynili. Wszebór milczkiem a zręcznością, Mszczuj — gorącem sercem i gotową zawsze dłonią.

Na Olszowem Horodyszczu w pośród tego natłoku, gdzie mężczyźni musieli być oddzieleni, trudno było kogo zobaczyć i dostąpić do niewiast. Trzymały się one osobno w kilku izbach, pod opieką Belinowej, mało i która wyjrzeć śmiała dla samego sromu, bo nie było

kątka, skądby oczów bez miary nie patrzało i uszu nie podsłuchiwało.

Więc choć oba rozmiłowani błądzili po podwórzach, głowy zadzierając, jakby wróblów pod strzechą upatrywali, nie postrzegli nigdzie tych, za któremi gonili. A tu im przybył i trzeci, młody Belina, który z rana do leżącego Toporczyka przyszedłszy, gorąco go się jął rozpytywać o Kasię Spytkównę, bo mu się srodze najrzane liczko podobało. Widział je i Toporczyk zdala, ale ten zbolały był tak i strapiony, że go nawet krasa niewieścia nie mogła rozbudzić.

— Daj ty mi spokój z dziewczyną! — odparł spytany. — Ani znam, ani wiem, co są za niewiasty. Spotkałem na drodze, gdym ledwo żyw był, starsza mi pić dała, za co niech jej Bóg stokrotnie płaci. Pytaj Doliwów, jeśli co powiedzieć zechcą, bo mi się widzi, że oni oba zęby ostrzą na owego wyrostka. Mnie to nie w głowie.

— Dzieweczka, jak malina — rzekł Belina.

— Choćby była, jak anioł, co ich w kościołach stawią, niepora o dziewczętach myśleć, gdy na gardło nieprzyjaciel następuje — rzekł Toporczyk.

Rozśmiał się Belina i zamilkł, ale znać mu grzeszna myśl z głowy nie wyleciała, bo gdy Doliwowie napróżno się nabłądziwszy po dziedzińcach, jeden za drugim powrócili do izby, do nich przystał, pytając, co były za niewiasty. Ci też w słowach skąpi, niewiele mu powiedzieć chcieli. Kolnęło ich to, że już i więcej ktoś począł myśleć o dziewczęciu.

Gospodarskiemu synowi, Tomkowi Belinie, który do matki i niewiast przy niej będących, przystęp miał łatwiejszy, prędzej się trafić mogło spojrzeć choć zdala na piękne dziewczę. Doliwowie o zbliżeniu się do niej i myśleć nie mogli.

Z południa jakoś starsza pani Spytkowa sama wyszła się dowiedzieć o tego, co jej w podróży tak dobrze posługiwał, a tak pilno słuchał. Zobaczywszy ją zdala, oba się wnet ku niej rzucili. Pamiętna przyjaźni Wszebora, wdowa pod chustą mu wyniosła coś ze swojego

zapasu podróżnego, aby podkarmić opiekuna, a zobaczywszy brata z nim, datek swój na dwu rozdzieliła.

Poczęli się oba pytać o nią i o córkę.

— Bogu dziękować — wzdychając, odparła pani Marta — żeśmy się tu dostali. Przynajmniej między ludźmi jesteśmy, a co drugim to i nam! Tu ginąć byłoby raźniej. Obieśmy zdrowe, choć długo tę drogę i nasze nieszczęście czuć będziemy.

Tak rozpocząwszy Spytkowa, choć na niedolę się skarżyła, twarzą wesołą zwróciła się do Wszebora, białe ząbki wyszczerzywszy.

I już jej się usta nie zamknęły, tyle znów do opowiadania miała, czego Mszczuj jeszcze nie słyszał, o dostatkach swych dawnych, o mieniu i wielmożności, o miłości nieboszczyka dla siebie, o wszystkiem, co przeżyła. Frasowała się już teraz tylko, jakby się na Ruś do swoich dostać mogła, gdzie była pewną opieki, pomocy i rychłego nawet zamążpójścia, bo tam za nią niejeden wzdychał.

Trzymała ich tak obu długo stojących przed sobą w milczeniu, to ku jednemu, to ku drugiemu czarnemi oczyma poglądając, to śmiejąc się, to łzy ocierając, to ręce łamiąc, to niemi rzucając i wywijając, bo była niewiasta żywa i mówna, a wiedziała pewnie, że mężczyznom się podobać może. Drudzy też, obcy, schodzili się słuchać i patrzeć, a im więcej ich było, tem się weselszą zdawała, tak, że gdy żegnać się przyszło i do córki wracać, łzy jej zupełnie poosychały.

IV.

Jesiennego poranku dwóch ludzi w proste siermięgi przyodzianych, na lichych szkapach, których siedzenie z podesłanego, grubego płótna się składało, podjeżdżali zwolna ku dosyć szeroko rozlanej Wiśle, która od jesiennych słot wezbrała.

Zdala już na wysoko podniesionym brzegu jej widać było zamczysko i stare miasto, u stóp jego rozłożone.

W mieście i okolicy ludu i ruchu dosyć było. Około zamczyska, opasanego wałami, z poza których malutki kościołek bez krzyża, niegdyś benedyktyński, wyglądał (bo ich tu Bolesław w roku 1015 osadził), roiło się jakby wojsko jakie, kupami poustawiane. Gdzie niegdzie ponad niemi dostrzec było można stanice, na wysokich żerdziach, powbijane w ziemię i chorągwie czerwone.

Dwaj jadący spojrzeli na siebie. Jeden z nich opalony, pomarszczony, zestarzały, choć jeszcze żywy, z oczyma bystro patrzącemi, był to bartnik Sobek, wierny Spytkowej sługa, drugi pokaźniejszy, młodszy, mimo prostej siermięgi do wojaka podobniejszy, niż do kmiecia lub prostego osadnika, był Wszebór Doliwa. Wysłano ich obu na zwiady z Olszowego Horodyszcza, choćby do Masława dotrzeć przyszło, aby wiedzieć, co tuszyć i jak sobie radzić.

Choć niebardzo chętliwie ważył się na to Doliwa, bo nie chciało mu się od Spytkowej i jej córki, ale nastali nań wszyscy, gdyż się sam chlubił z tego, iż na dworze Mieszka komornikiem był razem z Masławem i najlepszym jego powiernikiem. Dziś ten Masław, niepoczciwie urosły z lichego pacholika, kneziem się płockim nazywać kazał i o zawojowaniu całego spustoszonego kraju zamyślał.

Trzeba było wiedzieć zamkniętym na gródku, jak rzeczy stoją i czy się godzi, od czerni życie ratując, na Masława rachować; Wszeborowi nic się stać nie mogło, a na przebiegłość swą wiele liczył.

Sobek, jako prosty człek, niczego się tu nie lękał. Wolałby był Doliwa nie stykać się z Masławem, ale mus był wielki. Na Horodyszczu prędko żywności zabraknąć mogło; dostać się w ręce czerni jedno znaczyło, co głowę na pień położyć, musiano więc próbować, ażali się ocalić lub okupić nie da.

Wszebór, który zrazu bardzo zuchwale prawił o spotkaniu się z Masławem, a w przyjaźń jego wielce był ufny, teraz dopiero, gdy ujrzał przed sobą miasto i przyszła chwila stanąć przed nim, zadumał się mocno.

Wątpliwość się w nim zrodziła, jak go przyjmie i czy na dawną drużbę zechce pamiętać? Od czasu, gdy się na dworze widzieli, dużo się rzeczy zmieniło, a z tego, co o Masławie prawiono, trudno było dobrze wróżyć. Ale i wracać nie była pora.

Sobek mu w oczy patrzał milczący i ku rzece wskazywał.

Wszebór rozmyślał teraz, czyby nielepiej już było, poznać się nie dając, zdala wszystko podpatrzeć, a Masława uniknąć. Ludu było dosyć, w który się wmieszać mogli niepostrzeżeni. Co miał czynić, sam nie wiedział. Jechali nie śpiesząc się wcale, a Doliwa trochę konia powstrzymał. Mówili wprzódy z Sobkiem, któremu się oświadczył, że wprost do Masława się uda, teraz mu się to niebezpiecznem i niełacnem zdawało.

— Ej! słuchajcie! — rzekł zcicha do towarzysza Wszebór. — Czyby nielepiej było lichu nie leźć w oczy, a zdala mu się przypatrzeć! Kto tu nas pozna?

— Jak postanowicie, tak będzie — odparł Sobek. — Cóż ja wiem?

— Jak się wam zda? — spytał Doliwa.

Zamiast odpowiedzi Sobek ręką ku Wiśle ukazał. Stali w miejscu odkrytem na łące.

Stąd jak na dłoni widać było niedaleko na rzece związane dwie wielkie łodzie, wiosłami ku brzegowi, na którym stali, pędzone.

W łodziach pełno było koni i ludzi.

Zdala poznał Wszebór, iż zbrojni byli i rycerscy. A niepośledni być musieli, bo na nich zbroje jakieś błyszczały, a na głowie jeden z nich miał czub kraśny, na ramionach płaszcz bramowany i dużo oręża lśniącego przy sobie. Za nim stojący chłopak trzymał ptaka na ręku, drugi też krogulca podlatującego ściągał ku sobie, inny na sznurku psy wiózł.

Twarzy jeszcze rozeznać było trudno.

Mężczyzna z czubem na czapce przodem stał, za nim poniżej kilku, jakby dwór i służba. Jechali widać na brzeg Wiślany na łowy z ptaki.

Ktoby to mógł być tam, gdzie swobodnie myśli-

stwem się zabawiać jeden tylko człowiek miał wolność? — odgadnąć nie było trudno!

Traf więc szczęśliwy czy zły, właśnie w chwili, gdy ważył i rozmyślał, niósł Wszeborowi gotowe rozwiązanie.

Uniknąć spotkania było niepodobna, uciekać niebezpiecznie, musiał czoło stawić odważnie.

Tak sobie w duchu rzekł Doliwa.

Konia nie wstrzymując, podjeżdżał spokojnie, a tymczasem i czółna do brzegu dobijały i coraz wyraźniej widać było tych, co się na nich przeprawiali.

Poznał Wszebór Masława, choć się teraz z owego dworaka, chłopięcia swawolnego a zuchwałego, wielce odmienił. Wyglądał, albo raczej chciał mieć pańską postać, patrzał tak, jak mu po książęcemu trzeba było.

Wszebór i towarzysz jego nędznie poodziewani, ledwie na siebie oczy zwracali — rozglądał się Masław po okolicy, wzrok wodząc dumny. Obie ręce miał w boki wciśnięte, głowę do góry i nogę jedną na kraju czółna, jakby mu wyskoczyć pilno było.

Mężczyzna był dorodny i bardzo zręczny, choć jak od siekiery wyciosany. Kmieca w nim krew przez powłokę pańską przeglądała. Twarz rumiana, pospolita, zaogniona, oczy maleńkie, bystre, usta czerwone i wydęte, mała bródka ruda nic w sobie kniaziowskiego nie miały; ale parobek był tęgi i butny, a że mu się szczęściło, zuchwały snać i noszący się wysoko. Zgóry patrzał na ludzi, brwi ruchawe ciągle mu się marszczyły, milcząc nawet, żuć się zdawał rozkazy, aby na chwilę nie znijść z tego stopnia, na który mu się wedrzeć udało. Można i przebiegłą zarazem znać w nim było naturę, co się na wszystko ważyła.

Gdy się czółno do brzegu, a jeźdźcy ku niemu zbliżyli, spojrzawszy na siermięgi, chciał Masław pogardliwie oczy odwrócić, ale go coś w twarzy Wszebora uderzyło. Nie poznał go zrazu, brwi nachmurzywszy, srogo się począł wpatrywać. Wtem Wszebór zwolna szłyka uchylił.

Było to w chwili, gdy Masław, odziany nie jak na łowy, ale jakby miał posłów na dworze przyjmować w pasie rycerskim, którego teraz nigdy nie zrzucał, miał już na ląd wysiadać.

Za nim kilku jego przybocznych cisnęło się, również niedorzecznie, jak on, postrojonych w czuby, pasy i płaszcze krasne. Wszeborowiby się było na śmiech zebrało na widok tej okazałości w polu straconej, gdyby nie musiał myśleć, co z sobą pocznie.

Wtem Masław drgnął i zdawało się, jakby chciał, do ludzi się zwracając, dać rozkaz pochwycenia Wszebora, gdy ten, pozdrawiając go, półgłosem się odezwał:

— Do waszej miłości jadę właśnie, więc pozwolicie pozdrowić.

Nie wątpił już Masław, że dawnego znajomego miał przed sobą. Zawahał się nowo stworzony przez siebie kneź, jak go ma przyjąć, widać to było z twarzy. Myślał chwilę, zaciął usta, postąpił kroków parę, przypatrując się Wszeborowi. Niepewien był, w jakiej myśli przybywa, czego chce.

Mierzył go tak niedowierzająco oczyma, gdy Doliwa, dorozumiewając się obawy, siermięgę rozpiął i pokazał, że krom małego mieczyka, nic nie miał. Toporek został przy koniu, z którego zsiadłszy, oddał go do trzymania Sobkowi.

— Cóż was tu prowadzi? skąd? czego chcecie? — przemówił wreszcie Masław głosem, któremu starał się nadać wyraz groźny i srogi. — Mów a raźno, u mnie czasu niema!

Mówiąc, nastąpił blisko na Wszebora, niby mu okazując, że się go nie lęka, a gdy ten nie zaraz się odezwał, począł iść do swych ludzi, ciągnąc go za sobą.

— Miłościwy panie — począł Wszebór — nie tak to łatwo w dwóch słowach powiedzieć, z czem człowiek jedzie. Wy wiecie, co się dzieje dziś, wy tylko możecie powiedzieć, co z nami będzie jutro. Do was trzeba iść pytać, co robić.

Masławowi pochlebiło widocznie, że przyznano mu

panowanie nad przyszłością. Twarzy męskiej i energicznej, samej przez się wyrażającej siłę zwierzęcą, — nadał wnet większy jeszcze wyraz potęgi i dumy i rzekł bez gniewu:

— Co robić? kto chce głowę ocalić, służyć mi musi! Siły tu nie ma nikt i nie będzie mieć, tylko ja. Jutro wszystko się z niemieckiego, z czeskiego jarzma wykuje — a ja będę panował.

Wszebór milczał, spuściwszy głowę. Masław uderzył ręką po mieczu, który wisiał u pasa.

— Pytaj się, jakiem ja prawem będę panował — dodał. — Ot, prawo moje! Kto ma siłę, ten ma panowanie, a kto ma rozum, ten ma siłę — a kto rozumu nie ma, ten, choćby mu siłę dano, to ją straci, tak jak oni! (wskazywał ręką ku zachodowi). Niedołężne plemię, zniemczałe, trzeba było precz za drzwi wyrzucić, starą swobodę przywrócić kmieciom i wiarę dawną. Nam swojem życiem żyć, nie cudzem. Nie potrzebujemy cudzych bogów, ani cudzych panów. Piasty nas sprzedawały cesarzom i papieżom. Z niemieckich matek, poniemczałe rodziły się dzieci — pokurcze. Kazimierz, którego matka na mniszkę się zdała, niech u wuja w Kolnie śpiewa w chórze — to jego miejsce, a nie tu nam panować. My nie mnichy!

Mówiąc tak, szedł, a coraz na Doliwę spoglądał i rozgrzewał się własnemi wyrazy.

— Ja mam w ręku Mazury moje, ze mną pójdą Prusaki i Letuwiszki, wszyscy, co do swojej starej wiary są przywiązani. Nas ćma, a was garść, wkrótce i nic nie zostanie. Ziemie bezpańskie weźmie, kto ma siłę — ja siłę mam! mam!

Z coraz większą gorączką kończył, spoglądając wciąż na Wszebora. Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, stanął i natarczywie zapytał:

— Gadaj ty mi zaraz, kto cię przysłał?

Doliwa miał czas wobec niebezpieczeństwa męstwo i zimną krew odzyskać. Ruszył ramionami obojętnie.

— Jestże u nas komu wysłać! — rzekł powoli. — Ze starego rycerstwa, ziemian i władyków ledwie gdzie

który ocalał wilkom na paszę. Nas dwóch braci uratowaliśmy żywot od Czechów i czerni. Znajdzie się może kilku, tułających się po lasach. Któż miał mnie posłać? Przecież dawniej byliście dla mnie druhem, dziś możecie przyjąć choć za sługę! Moim żywotem niewiele się pożywicie, a zdałbym się może.

Masław się zadumał, patrząc. Przemowa była zręczna, pochlebiała mu.

— O! ja was znam — rzekł szydersko. — Bylebyście mnie mogli osaczyć, oddalibyście w ręce Kazimierza, albo nowemu jakiemu Bezprymowi. Jeszcze się tam takich kilku po Niemczech włóczy. Z was, coście się pochrzcili, co inne czasy pamiętacie, — pociechy nie będzie.

— Wyż to ochrzczeni nie byliście? — zapytał śmiało Wszebór.

Zarumienił się chwilowym gniewem Masław, spojrzał wtył na swoich, czy nie słyszeli, co Doliwa powiedział. Ci stali zdala, dojść ich to nie mogło. Zmilczał, namyślając się.

— Słuchaj, Doliwo — przerywając milczenie i biorąc się pod boki, odezwał się, kilka kroków uszedłszy. — Prawda, byłem z tobą na tym psim dworze druhem — chcę ci być dobrym panem, ale głowy pilnuj na karku, bo ona tobie potrzebniejsza, niż mnie. Ciebie jednego wezmę, brata nie chcę, nikogo innego — niech ich czerń wytłucze do nogi. Ja sobie władyków moich z kmieci porobię, co mi wdzięczni będą, a obawiać się ich nie potrzebuję. Chcesz mi służyć, wezmę cię!

Wszebór skłonił się, podniósł głowy i w oczy mu spojrzał śmiało.

— Dlaczegóżbym ci służyć nie miał, z głodu mrąc i przytułku nie mając? Cóż będzie z bratem?

— Gdzieżeś ty go zostawił? — spytał Masław.

— W lesie na polanie, dwa dni drogi stąd, zachorzał.

— Niech go tam wilcy zjedzą! — śmiejąc się i kle-

piąc po ramieniu Wszebora, odparł nowy kneź. — Ty u mnie zostaniesz, więcej ja nikogo znać nie chcę.

Wszebór milczał, nie nalegając. Mówiąc o bracie, chciał sobie do ujścia zostawić pozór, boby po niego niby mógł od Masława się wyprawić. Spodziewał się w inny sposób z pomocą Sobka się wymknąć.

Masław, jakby mu nie dowierzał, ciągle niespokojnemi oczyma go badał, ale twarz mu się rozjaśniała.

— Nieźle się to udaje — odezwał się — bo mnie trzeba dwór sobie urządzić. Ochmistrzem cię zrobię. Te moje chłopiska do wszystkiego dobre, ale obyczaju pańskiego i królewskiego nie znają nic. Ja dwór muszę mieć, jak wszyscy na świecie króle i kneziowie. Ty mi ludzi dobierzesz i nauczysz, chcę, by u mnie było tak, jak bywało za starego Mieszka i Bolka.

Wszebór, godząc się pozornie z tą myślą, nie okazując wstrętu, podchwycił poufnie.

— Pewnie! pewnie! Ano niełacno to przyjdzie, póki się ludzi nie nauczy.

— Łacno! — zaprzeczył Masław, brwi marszcząc. — Ja prędko uczyć umiem. Grozy trzeba, wszystko będzie.

I poklepał go znów po ramieniu.

— Biorę cię — powtórzył — pamiętaj, ze mnie dobry pan, szczodrobliwy, ale groźny.

Doliwa wrócił do Sobka, który z końmi stał na uboczu. Ocalić głowy i zbliska się przypatrzeć Masławowi inaczej nie mógł, tylko przyjmując, co mu nowy kneź tak łaskawie ofiarować raczył.

Myśliwi odciągali, a Wszebór się do starego bartnika zbliżył, który rad był mu z oczów wyczytać, co przynosił z sobą.

— Jedziemy na dwór — rzekł cicho Doliwa. — W dobrom jeszcze chwilę przyszedł, że głowę mam całą. Zostaniemy tu do czasu, ano i wy i konie dobrze, by zawsze były wpogotowiu, aby się stąd wyrwać, gdy przyjdzie pora.

Sobek głową kręcił.

— Wyrwać się stąd nie będzie trudno — odpowiedział. — Nie pilnują się oni tak bardzo, są bezpieczni. Butny pan, butny! — dodał cicho bartnik.

Siedli tedy spoczywać, a konie paść się poczęły. Niedługo jednak Masław łowami się zabawiał — ludziom kazawszy się z sokołami przejść, sam powrócił, oczyma szukając Wszebora.

Ten wstał, podchodząc ku niemu.

Zdało się, że nowy panek potrzebował mówić o sobie z kim innym, jak ta poprzebierana czerń, co go otaczała, — Wszebór go ciągnął ku sobie.

Zbliżył się do niego, już zdala poczynając. Wskazywał na miasto, które stąd na wzgórzu widać było.

— To będzie mój Poznań — rzekł z uśmiechem. — Rozumiesz! Stąd ja nad obiema brzegami Wisły panować będę.

I rękę wyciągnąwszy, zatoczył nią dokoła.

— Prusaków i Letuwiszków przyłączę. Czechów won przegnamy i pobijemy, Niemców i nogi nie puścim za Łabę. Dalej ich wyżeniem! Wszystko, co chrześcijan nienawidzi, pójdzie ze mną.

Oglądał się wciąż na Wszebora, jakby pochwały i potwierdzenia żądał.

— Cóż ty na to?

— Ha no! byleście wojsko mieli!

— Mam i mieć będę i wyćwiczyć potrafię — gwałtownie dodał Masław. — Ja sam, choć dworakiem, ale wojakiem razem byłem i jestem. Prusaki naród dzielny. Ci to sami, co Wojtaszka zabili, co go Bolko wykupił i w Gnieźnie położył, a teraz go sobie Czechy wywiozły! Ci sami, co się staremu Bolkowi nie dali. No — a ja z nimi brat, swat!

Począł się śmiać, zacierając ręce.

— Cóż ty na to, hę? Masław też niegłupi! Zobaczysz sam, dziś tu od nich przyjdą posłowie. A wiesz, czemu ja to winien? Oto temu, że poganinem jestem i żem powywracał krzyże. Wszystek lud ze mną. Guślarze w ręce klaskają, do nóg mi padają: stare sta-

nice popodnosili ludzie, wołają: Ładol Ot siła moja! No — co wy na to? co? — powtórzył, śmiejąc się.

— Dziwię się tylko — odparł Doliwa powoli — a powiem wam, żebyście dobrze obliczyli siły przeciw chrześcijanom. Dużo was, tamtych też sporo. Pochlebiać wam nie będę. Na Rusi krzyże stoją, Czechy ochrzczone, Uhry też, Niemcy wszystkie. Jest tego siła.

Masław głową dał znak potakujący, stanął, obejrzał się dokoła i, przystąpiwszy do Wszebora, oczy w niego wlepił, szepcąc cicho.

— Nie rozumiesz ty nic. Który Bóg mocniejszy będzie, temu się i ja pokłonię. A mnie co? Teraz stara wiara górą, jak jutro wypadnie, czy ja wiem? Kneziowie i królowie wszak ci się chrzczą, kiedy przyjdzie na nich godzina. Będę i ja takim, jakim zechcę, aby panować; a teraz — teraz tak musi być, jak jest. Z krzyżem precz i z Niemcem precz, co go przyniósł. Rozumiesz?

Zaśmiał się, ściskając usta, Masław, oczy mu się zaiskrzyły. Nie podobało mu się to w nowym słudze, że mu się ani dziwił, ani pochlebiał, ni potakiwał nawet.

— Ty człecze jakiś — zawołał, głos podniósłszy — ty może myślisz, że mi się śni moja siła? No to ja ci w żywe oczy pokażę. Zobaczysz i uwierzysz.

Popatrzał wdal na psy i sokoły. Dwa psy puszczone wietrzyły, chodząc po moczarze, ale czas jesienny nie był dobry do łowów, — ani czapli, ani żadnego ptaka nie spotkały dotąd. Masław na najbliższego sługę skinął.

— Hej Didko, przewietrzcie mi sokoły i powracajcie sami z niemi. Huba ze mną pojedzie, niema tu stać czego.

Ręką wskazał na czółna, ku którym iść począł żywo.

Sobek oczyma Wszeborowi dał znać, aby się o niego wcale nie troszczył, szedł więc Doliwa za kneziem;— Masławowi, jakby teraz pilno było powracać, szybkim

krokiem ku przewozowi dążył, wskoczył do łodzi, konia dla siebie i Huby zabrać kazawszy.

Wtem popatrzał na Wszebora nędznie odzianego, który stał przed nim, rozkazów oczekując.

— Ty tak, w tej siermiędze ze mną iść nie możesz — zawołał — zostaniesz w czółnie. Pójdziesz osobno na zamek piechotą. Huba, gdy powrócim, ze skarbca ci wydać każe odzież, jaka mojemu ochmistrzowi przystała. — Nie bój się — dodał z uśmiechem — i łańcuch będzie i wszystko! Mam ja tego poddostatkiem. Chcę, by ludzie, na mój dwór patrząc, dziwili się, nie naśmiewali.

Skinął na Hubę i szepnął mu coś do ucha, wskazując Wszebora. Tymczasem łodzie, do których pędzenia było kilku Mazurów z wiosłami i drągami, szybko poczęły rzekę przerzynać. Na głębinach wszyscy się do wioseł brali. Na mieliznach odpierano drągami. Ludzie pracowali żywo, nawzajem się napędzając, jakby czuli, że pan ich czekać nie lubi.

Masław, stojąc w łodzi, na zamek spoglądał dumnie. W istocie poważnie rozsiadało się zamczysko na wyniosłości brzegu, a na okopach widać było mnogi lud, który ku przybywającemu spoglądał. Gdy łódź do lądu przybyła i z niej konie wyprowadzono, Masław, skinieniem Doliwę pożegnawszy, konia swojego, wspaniale przystrojonego, dosiadł i z Hubą ku zamkowi pojechał, z głową podniesioną, ze spojrzeniem ostrem, z grozą na czole... Widać było z dołu, jak lud, zobaczywszy go, poruszył się, a w chwilę potem na okopach dał się słyszeć ogromny krzyk; huczały okrzyki na powitanie.

Zadumany, posępny, powoli powlókł się za nim Wszebór. Przypomniał sobie może, jak Masława tego, który teraz do takiej doszedł siły, widział małym i pokornym wobec królowej, która mu wzgardę okazywała.

Dalej idąc, było też na co patrzeć i Doliwa pilnie zwrócił oko na to, co Masława otaczało... Ludu było wszędzie mnogo, a choć już się sprzągł w pułki i sotnie, otargany był nieco strojem i twarzą jeszcze napół dziki

się wydawał. Uzbrojenie też jego różne było i nie u wszystkich równe. Starszyzny od pospolitego człeka trudno było rozeznać. Samopas to wszystko stało, chodziło, krzyczało i ujadało się z sobą.

Przy dworcu pańskim drewnianym tłum stał u drzwi, kręciła się służba mnoga nowego księcia, cudacko, pstro poodziewana.

Chciano ich postroić wspaniale, a nie umiano; więc nawieszał każdy na siebie, co pochwycił, byle świeciło. Dziko to wyglądało. Na niewielu tylko znać było odzież połowiczną niemiecką, gdzieś na dworcu królewskim złupioną.

Kilku poważniejszych urzędników dworu, choć w sukniach i kożuchach drogich, choć w łańcuchach i przy pasach złocistych, choć poczesanych i umytych, na prostych pastuchów wyglądało. Ładu tam na tym dworze, wprędce zebranym z lada czego, nie było.

Swary tu i owdzie powstawały nagle, wybuchała wrzawa, słychać było uderzenia kijów i szamotania się.

Wszeborowi nie łatwo się było przecisnąć; nikt też nań ani spojrzał, popychano go tylko i nie wiedział, gdzie się obrócić, gdy wychodzący ze dworca Huba spostrzegł go, rozepchnął tłum i wnijść za sobą kazał.

Wnet zawołano starego człeka i Doliwa w ręce jego się dostał. Wskazał mu Huba, by szedł za nim. W sieniach dworca także pełno było, choć się tu ciszej sprawowano. Przebywszy ciemne zakamarki i szyje, podwórko jedno, gdzie czeladź się krzątała, dostali się z przewodnikiem do napół ciemnej izby. Maleńkie jej okienka, pozasuwane od wnętrza, zaledwie cokolwiek światła wpuszczały przez szczeliny. Skład to był jakiś czy skarbiec pański, od stropu do podłogi, po ścianach, na ziemi, na drągach od wyżek, — wszędzie leżało, wisiało odzieży, zbroi, wszelkiego zapasu i łupu poddostatkiem. Tu co wojna dała i grabieże, składał Masław, a na zbiorowisku tem znać było świeże ślady pochodzenia.

Kupami leżała zdobycz wszelaka, każda z innego dworu, od innego pana, z wszelakiego świata, wartości

nierównej, jedna do drugiej niepodobna. Ręce, co ją zrzuciły, nie umiały rozróżnić nawet, co więcej, a co mniej było warte. Najdroższe rzeczy obok lichych leżały, jedne z drugiemi i na drugich, jak w szopie nawiezione zboże i siano.

— Hej! — zawołał stary, drzwi otwierając. — Zabierajcie co chcecie! Takie rozkazanie pańskie! Nie żałujcie! — Rękami na kupy i półki wskazywał.

— Hej! co dusza zapragnie! Widzicie, jest u nas w czem wybierać. I uśmiechnął się stary, gładząc głowę.

Na policy leżały osobno pozłociste i złote łańcuchy na kupie. Ku tym podszedł stary, jeden i drugi na ręku ważył, popatrzał i ciężki jeden łańcuch wybrawszy, chciał go już podać Wszeborowi, gdy na nim przyschłej krwi dostrzegł ślady, zaburczał coś pod nosem, ku drzwiom poszedł, gdzie stał kubeł z wodą, zanurzył w nim i połą wycierać zaczął.

Ze wstrętem wziął się do odziewania Doliwa, ale mus był. Pomagał mu do tego ochoczo stary, ciągle powtarzając, aby sobie co najlepsze wybierał, a nie tracił czasu.

Szło mu o to, aby rozkaz pański spełnił jak najlepiej.

— Ino śpieszcie! — mówił. — Jego miłość czekać nie lubi, a chce was mieć przy stole. Wielki czas...

Z różnych kątów powywlekano: pas z mieczem, czapkę futrzaną, zwierzchnią suknię bramowaną, słowem co było potrzeba, by Wszebór nowemu panu nie uczynił wstydu. Na ostatku przygotowany łańcuch stary mu na szyję zarzucił i uśmiechnął się, popatrzywszy, ku drzwiom go poprzedzając.

Ze skarbca do izby stołowej znowu iść było potrzeba ciemnemi kąty. Wnijście do niej zdala gwarem się zwiastowało. Nie był wielce wspaniałym stary dworzec płocki, okopcony wewnątrz od dymu, — sprzęt miał prosty siekierą wyciosany. Jak niegdyś od wieków był, tak i teraz pozostał z grubych desek, z ławami ogromnemi, a mało co go przybrać umiano, skórami

i suknem powyścieławszy. W dalszych izbach podłóg nie było, tylko ubite toki, które w lecie posypywano liśćmi, zimą słomą i jedliną.

W stołowej komorze, dosyć obszernej, ludu poodziewanego, jak na święto dosyć było. Dla knezia zgotowano siedzenie na podwyższeniu, obwieszone suknem czerwonem. Około niego, łacni do poznania, cisnęli się dziko wyglądający, zbrojni w topory, oszczepy, nabijane krzemieniem, kostury, łuki i proce, w szłykach futrzanych — Prusacy.

Przodawał im Kunigas, poufale obchodzący się z Masławem, który dowody jego miłości rad nierad znosić musiał.

Mąż był nie rosły, barczysty, gruby, z oczyma, które z pod brwi ledwie widać było, śmiały, a nie baczący wcale na dostojność, w jaką się Masław przybierał. Narówni z nim chciał stać i z pychą też a dumnie mu odpowiadał. Nowy kneź potrzebować go musiał, bo choć mu się czasem twarz krzywiła i drgała, znosił to obejście się z nim cierpliwie.

Niekiedy oczyma rozglądał się po swym dworze. Szło mu o to, aby się on w oczach Prusaków pańskim wydawał, wszyscy też, jak na uroczystość strojni byli i zbrojni.

Niewiast starym obyczajem w izbie nie było.

W końcu stołu usadowiwszy się, Masław posadził przy sobie Kunigasa, czerwone mu też sukno podesławszy. Przed nimi dwoma postawiono misy srebrne, a że ich na inne stoły nie starczyło, glinianemi się i drewnianemi przy nich posługiwano.

Wszeborowi Masław u drugiego stołu miejsce naznaczył, aby tam gospodarzył.

Krom Prusaków, którzy, głos podnosząc, jeść i pić poczęli swobodnie, reszta dworu Masławowskiego, wedle przykazania pańskiego pewnie, zachowywała trwożliwe milczenie. A że do tego nie byli przywykli, tu i owdzie wyrwał się okrzyk, to śmiech dziki groźnem wejrzeniem zahamowany.

Nieraźne szła posługa, plątali się ludzie i popy-

chali, za drzwiami wybuchały groźby, hałasy i jęki; lecz byłaby uczta przystojnie się skończyła, gdyby się nie przeciągnęła przy kubkach. Miód rozwiązywał języki ludziom niezwykłym do wstrzymania się z wybuchami gniewu i wesela. Ku końcowi już nic wrzawy powstrzymać nie mogło i nie myślał nikt o tem, choć się kneziowskie oblicze zasępiło. Psów też moc dworskich i obcych zebrała się pod stołami, gdzie kości rzucano, i coraz warczeniem i ujadaniem powiększały wrzawę

Przyczyniało się do niej i to, że starym obyczajem pod koniec wszyscy gęślarze i śpiewacy z pod chramu przywlekli się do izby biesiadnej. Wpadli kupą i prawie przebojem, rozsiedli się wnet na ławach pod ścianami, a kto miejsca nie znalazł, na ziemi; zaczęli w gęśle brząkać, wreszcie i śpiewy krzykliwe zawodzić.

Tych też szanować musiał Masław, bo oni lud wiedli za sobą; stawiano im piwo i miód, dawano ucha, niektórzy też ze współbiesiadników, już podochoceni, od stołów poczęli im wtórować, w ręce poklaskiwać.

Nie na książęcą wyglądało to gospodę — ano inaczej pono już być nie mogło.

Już się uczta, dosyć długo przeciągnięta, ku końcowi miała, bo ze stołów jadło poznikało i tylko dzbany stały, gdy nagle drzwiami od wnętrza dworca prowadzącemi, które się z trzaskiem otworzyły, wpadła nieproszona dziwna jakaś postać. Prusacy na widok jej, przerażeni, z ław się pozrywali, Masław, jak trup, pobladł.

Było się czego przestraszyć zaprawdę!

Niewiasta to była stara, wychudła, wysokiego wzrostu, z siwemi włosami rozplecionemi, które jej na ramiona spadały, w grubej bieliźnie, zaledwie zeschłe jej okrywające ciało, bosa, bez pasa i jakby z więzienia, czy z rąk oprawców wyrwana. Blada twarz jej pomarszczona, oczy siwe zaognione, gniewne, których białka krwią zaszły i powieki nabrzękły od płaczu, usta śliną okryte — rozpacz jakąś i niemal obłąkanie wyrażały. Biegła, wołając głosem, którego zrozumieć nie

było można, strwożona, gniewna, szalona, oglądając się, jakby ją goniono.

Wpadła tak, rękami odpychając tych, co stali na drodze, przed sam stół, i stanęła, jak wryta, naprzeciw Masława, mierząc go oczyma.

Kneź zerwał się z siedzenia blady, nie mogąc słowa rzec, rękami tylko wskazując dworskim na to widmo, które do izby wpuszczono. Prusacy z przestrachu jakiegoś do nożów się brali, inni z miejsc powstawali, popłoch i zamieszanie ogromne w izbie się wszczęło. Ruszył się i Wszebór od stołu.

Wtem ludzie, co za babą tą biegli, chwycili ją za ręce, ale ta, wyrywając się im, padła na ziemię, prawie u stóp kneziowskiego siedzenia. Masław cofnął się wylękły.

Powstał krzyk przerażający i szamotanie się przez chwilę, potem na ręce wziąwszy obłąkaną, ludzie dworscy śpiesznie za drzwi ją wynieśli.

Słychać tylko jeszcze było krzyk jej bolesny, wybuchający gwałtownie, tłumiony i coraz ciszej, jak jęk daleki ginący gdzieś w głębiach dworu.

Masław z oczyma dzikiemi, starając się uśmiechać, padł na siedzenie swoje. Kunigasowi, który go pytał, odpowiedział zimno, iż to była biedna stara obłąkana, kubek podniósł do ust, wypił go duszkiem, lecz choć obojętnego udawał, drżał cały.

Część gęślarzy wyniosła się, mrucząc, za drzwi, po tym gwarze cisza dziwna zapanowała w stołowej izbie; kneź skinął, aby miód podawano, lecz i ten nie pomógł do wesela, tak wszyscy widokiem nieszczęśliwej niewiasty strwożeni byli i pomieszani. Umilkło wszystko, a z tych, co więcej pili, kilku, na stołach głowy pokładłszy, chrapać zaczęło. Wreszcie i Masław, gości swych rozkazawszy prowadzić do izb dla nich przeznaczonych do spoczynku, sam ruszył się krokiem chwiejnym z siedzenia, i otoczony komornikami, miecz przed sobą nieść rozkazując — powoli z komory się wysunął. Inni, oprócz uśpionych, których nikt budzić nie myślał, rozchodzić się zaczęli.

Wszebór, który nie wiedział, jakie dalej miał pełnić obowiązki, sam prawie tu pozostał. Widok straszliwej baby, która ucztę ukazaniem się swym popsuła, nie mógł mu wyjść z pamięci. Skąd się ona na dworze tym wziąć mogła? kto była? czego chciała? domyśleć się było trudno, choć z ruchów, krzyku i wyrazów kilku można się było dorozumieć, iż prośbę jakąś do Masława miała.

Kneź też raczej widokiem jej zdawał się przerażony niż gniewny, żadne przekleństwo z ust mu się nie wyrwało, słowa nawet przemówić nie miał siły, on, co tyle miał odwagi i surowym był do okrucieństwa!

Myślał nad tem Wszebór, przechadzając się po izbie, gdy do niej wszedł Huba.

Na twarzach dworaków ten sam niemal wyraz zostawiło to zjawisko, co na Masławie. Huba był chmurny i zafrasowany.

— Co to była za niewiasta? — zapytał go Wszebór.

Huba zmierzył go oczyma, ramionami ruszając.

— Stara baba, nie wiem, — rzekł, choć widać było, że wiedział więcej, niż chciał powiedzieć. — Unikając dalszych pytań, oddalił się natychmiast.

Wtem wpadł wyrostek, szukając Wszebora, ażeby do pana śpieszył.

Komnata książęca, do której mu wskazano drogę, była wzorem dworu Mieszkowego przyozdobiona tak, aby na ludziach, do niej wpuszczonych, pańskiego dostatku czyniła wrażenie. Nagromadził w niej Masław do zbytku naczyń i opon, umyślnie je na okaz wystawując. Wszebór, wchodząc, zastał go napół leżącym na pościeli; ujrzawszy go, kneź zerwał się.

Twarz miał zmienioną i straszną. Zszedł z niej rumieniec, usta były sine, oczy dzikie, policzki i czoło marszczyły się wyrazem tłumionego gniewu. Wpatrzył się we Wszebora, jakby chciał poznać po nim, z czem on przychodził.

— Widzieliście — zawołał — ucztę mi popsuto. Czeladź niesforna, u drzwi nie było straży

Wszebór milczał.

— Szalona stara wiedźma! — mówił Masław dalej. — Przez litość jej dano przytułek. Napadają na nią takie chwile, męczą ją duchy, sama nie wie wówczas, co robi i plecie.

I chodził z głową spuszczoną po izbie.

— Zamknąć ją kazałem dawno!

Burzył się i walczył z sobą widocznie, potem, jakby się chciał przemóc, z twarzą napozór rozpogodzoną, z pod której jeszcze widać było wewnętrzne wzruszenie, począł do Wszebora.

— Widzisz! posły do mnie ślą, o przymierze mnie proszą ci, którym Bolko nie dał rady! Na ich zawołanie, ruszą mi się w pomoc tysiące, wygnam precz Niemców.

Wszebór, słuchając, milczał, a on przystąpił do niego.

— Co ty na to? co?

— Przypatruję się i dziwię sile waszej — odezwał się Doliwa — dostatek też widać wszędzie. Winszuję wam.

— Myślisz może — dodał prędko Masław — że ja do tego nie miałem prawa? Słyszałeś te baśnie, o których pletli na dworze? Kłamstwo wszystko, ja mam starych mazurskich kneziów krew w sobie. Jak Leszkom, tak i nam Piastowie dziedzictwo wydarli, wracamy do niego. Krew moja warta Piastowskiej.

To mówiąc, padł przed ognie na posłanie, okryte skórą i podparł się na ręku zamyślony.

— Piasty nie powrócą nigdy, — począł jakby sam do siebie. — Kazimierzowi się nie chce łba nastawić. Nikt się nie ujmie za jego sprawą. Z Czechami...

— Cóż z Czechami poczynać myślicie? — odezwał się wreszcie, zmuszony coś powiedzieć, Wszebór.

— Na Czechów mam Prusaków i Mazurów, wkońcu podzielę się z nimi.

— Brzetysław dzielić się nie zechce.

— Zechce! — sprzeciwił się Masław. — Dam mu Szląsk, niech bierze Kraków i razem z nim pójdę na cesarza.

Wszystko to, co mówił przerywanemi wyrazy, podobniejszem było do gorączkowego marzenia, niż odpowiedzi na pytanie; zdawał się na własne wątpliwości, rodzące się w nim samym, rzucać te myśli, które je odegnać miały.

— Ogłoszę się królem — mówił dalej — korony Ryksa powywoziła, ja tych nie potrzebuję, niech cesarz je trzyma! Ukują mi nową, droższą i piękniejszą, a nie ksiądz mi ją na głowę włoży, ale ja sam! ja sam!

Rozśmiał się, błyskając oczyma, i wnet zasępił, oglądając trwożliwie. Zdaleka jakby jakiś krzyk doszedł do komnaty. Masław drgnął, począł się przysłuchiwać; cisza panowała znowu, odetchnął swobodniej. Myśl dalej snuła się po głowie.

— Choćby mi nawet Czesi i Niemcy wydarli kraj za Wisłą, tu u siebie zostanę panem. Stąd mnie nikt nie wyżenie, jam tu w domu. Prusaków obok mam, co ze mną pójdą krok w krok. Na własnych śmieciach silni jesteśmy. Czemubym pruskiego Kunigasa dziewki nie wziął za żonę? Albożby mi jej odmówił? Da i kawał ziemi za nią, jak należy. Starą wiarę wszędzie trzymać będziemy! Ochrzczona Ruś! ochrzczone Polany! ochrzczone Czechy! — mówią. Kłamstwo! ochrzczono ich strachem i grozą. Lud z nami trzymać będzie, bo mu stare bogi oddamy. Kościoły poobalamy, czarnych wypędzimy precz!

Znowu ten sam krzyk dał się słyszeć zdala — i ucichło. Masław zbladł, obejrzał się osowiałemi oczyma i zamilkł. Wszebór też nie śmiał się odezwać.

Nagle kneź doń się odwrócił.

— Tyś chrześcijanin? — odezwał się głosem drżącym.

— Jestem nim — rzekł Doliwa — wiecie o tem najlepiej, boście razem ze mną do kościoła i spowiedzi chadzali. Prawda to — dodał — nieochrzczonych ludzi dużo jeszcze po świecie, i takich co, pochrzciwszy się, starą wiarę trzymają tajemnie, musi być niemało, lecz i chrześcijan moc ogromna, a gdy idzie o wiarę, o krzyż, — wszyscy idą razem.

— I żelaza dobrego mają dużo! — wyrwało się zamyślonemu Masławowi. — U nas rąk nie zabraknie, ino mieczów.

Potarł czoło, jakby myśli spędzał z niego, zbliżył się do Doliwy i pocichu poufnie szepnął:

— Oni umieją robić cuda!

— Chrześcijanie? — spytał Wszebór.

— Ci czarni księża ich — mówił Masław tajemniczo. — Nie wiem, czasem moc jakąś mają.

— Mają! — potwierdził krótko Doliwa.

— A tych księży ocalało dużo — rzekł Masław — jak? — niewiadomo! Nie przebaczono żadnemu, kazano wszystkich mordować, mało który nie ocalał. Jak? — czary!

Jakby trwogą wewnętrzną zdjęty, wstrząsnął się Masław.

— To baśnie głupich ludzi — szepnął, sam się poprawując. — Baśnie, trwogi, kłamstwa!

Spojrzał na Wszebora i przystąpił do niego, biorąc koniec łańcucha, który miał na szyi zawieszony.

— Ty sobie trzymaj jako chcesz, byleś mnie wierny był — rzekł — ale się ze swojem chrześcijaństwem nie chwal. My tu tej wiary znać nie chcemy! A jutro — dodał — wybierz mi ludzi, chłop w chłopa, odziać ich każ jednako, żebym przecie kneziowską drużynę miał, jak mi należy. Starszym nad nią będziesz i ochmistrzem w moim dworze. Rozumiesz!

Wszebór, milcząc, skłonił się i wyszedł.

V.

Znalazłszy się sam jeden w sieni, Doliwa gorzko się uśmiechnął sam do siebie. Naco mu przyszło! Sługą być i ochmistrzem u chłopskiego syna, którego widział pacholikiem pokornym. To, co tu widział, zdumiewało go i oburzało, pozostać nie myślał długo, ale się przypatrzeć było potrzeba, aby wiedzieć, jak stały sprawy Masławowe. Kosztowało go to, kłamać musiał, ale,

wpadłszy w to osie gniazdo, trzeba się było zachować cicho. Nie wiedział jeszcze gdzie się obrócić, co z sobą począć, gdy go Sobek, stojący na czatach, pozdrowił milcząco.

Dwór już napół uśpiony, ludzi niewielu snuło się jeszcze po zakamarkach ciemnych, któremi przeciskać się musieli. Tak wyszli na drugie podwórze, a tu Sobek, jakby się od podsłuchania bezpieczniejszym czuł, zwróciwszy się ku Doliwie, rzekł mu:

— Izbę wam dali lichą, a co robić? dwór dziś pełny Prusaków i Pomorców... Chciałem dla was osobnej, abyście spocząć mogli, ledwie się komórka znalazła. Kleć mi chcieli dać, gdzie nawet ognia nie można było zapalić.

To mówiąc, wprowadził Wszebora do budynku, w którym jeszcze gwar niewieści słychać było z jednej strony, z drugiej czereda Prusaków pilnowała progu swych panów. Z wąskiego wnijścia weszli do małej komory, w której Sobek już był ognia rozpalił. Wąska, osmolona, brudna, widać, że była tylko co opróżnioną dla pańskiego ochmistrza. Ławę miała jedną, w kącie trochę siana, pokrytego skórą, a na ścianach mnóstwo powbijanych kołków pozostało od dawnych mieszkańców, którzy na nich odzież wieszali.

Sobek, wwiódłszy go tu, choć miał ochotę o coś spytać, coś może powiedzieć, wstrzymał się, palce sobie położywszy na ustach. Budynek był zamieszkany i swobodnie się rozmówić niebezpiecznie było. Z twarzy tylko starego bartnika poznać mógł Doliwa, że mu ten dwór nie był do smaku. Sobek oznajmił, że odchodzi do koni, a Wszebór, zawarowawszy się drewnianą zasuwą na noc, przed ogniem siadł zamyślony.

Wszystko, co tu widział, dziką ale wielką jakąś siłę wyrażało, z którą rozbite rycerstwo piastowskie mierzyć się nie mogło liczbą, choćby jej męstwem sprostało.

Jeszcze miał w uszach wrzawę biesiadną, wykrzyki, przypomniał sobie, co słyszał od Masława i trwoga a smutek serce mu ściskały. Mieliż się poddać tej sile

zwierzęcej człowieka, co się wiary wypierał i do dawnej dzikości naród chciał prowadzić?

Przyszło mu na myśl i Olszowe Horodyszcze, i garstka w niem schroniona, którą zguba czekała, bo nie było środka jej ratować.

Myślał tak, gdy jękliwe jakieś głosy obok, niedaleko słyszeć się dały. Uciszył się Wszebór, nie śmiejąc poruszyć, aby podsłuchać. Ściany izby drewnianej cienkie były i z sąsiedniej dochodziła go jakby przerywana rozmowa. Poznał w niej głos niewieści. Zbliżył się więc pocichu ku przegrodzie, która go oddzielała od komór pobliskich, i ucha nadstawił... Wyraźniej teraz mógł pochwycić jękliwy głos niewiasty i drugi który ją zagłuszał, ciągle przerywając.

Przysunąwszy się do ściany, Wszebór postrzegł dopiero, iż był w niej otwór nakształt okna dawniej wyciosany, który z sobą łączył dwie izby. Drewniana okiennica zasuwana zasłaniała go tylko. Z ostrożnością Doliwa spróbował nieco odsłonić tę zaporę, która łatwo się dała popchnąć, bo była wyschła i ledwie się trzymała. Tyle tylko odsunął jej, aby oko mogło do komory sięgnąć i obaczyć, co się tam działo.

Z początku nie widział nic w pomroce, która panowała w szerokiej izbie, małym ogniem dogorywającym słabo oświeconej. Wpatrzywszy się nieco, rozeznać mógł dwie postacie w bieli, z których jedna na ziemi siedziała, druga stała nad nią. W pierwszej z nich poznał Wszebór ową starą obłąkaną, która wpadła czasu uczty, lecz zmienioną teraz, uspokojoną, z załamanemi na kolanach rękami, siedzącą na słomie. Na twarz jej zeschłą, pomarszczoną padało drgające światło z ogniska. Wszeborowi zdało się, że widział w oczach jej płynące łzy. W grubej koszuli, z bosemi nogami, na pół prawie obnażona siedziała, wzrok wlepiwszy w ogień i głową poruszała ciągle, jak płaczki, gdy nad umarłym zawodzą.

Stojąca nad nią druga, młoda i strojna niewiasta hoża, smukła, twarz miała jakąś znudzoną i obojętną

Nie było na niej boleści, ani współczucia, raczej zniecierpliwienie i dąsy.

— Słuchaj ty, stara Wygoniowa — mówiła, pochylając się do niej — ty się swojem szaleństwem dorobisz i doigrasz, że cię do jamy rzucą i głodem zamorzą. Co tobie się śni? co tobie chodzi po głowie?

Stara ani się obróciła ku mówiącej, potrząsała ciągle siwą głową, na ogień patrzała, i słyszeć się nie zdawała.

— Że dziś ci sto łóz nie dali, powinnaś mnie do nóg padłszy, dziękować! Kneź był wściekły!

Dopiero na wspomnienie knezia stara nieco zwróciła głowę.

— Co mówił? — spytała.

— Sto łóz starej wiedźmie! — zawołała młoda, poprawiając włosy na główce... — Sto łóz szalonej babie!

— On tak mówił? on? — powoli odparła stara Wygoniowa.

Tak, to ja go karmiła, ot temi, temi piersiami zeschłemi — dodała, koszulę rozdzierając gwałtownie — a teraz! na gałąź starą sukę! sto łóz wiedźmie! hej! hej! Jakże urósł szczęśliwie!...

Podparła się na ręku.

— To co, żeście go karmili? choćby tak i było — poczęła młoda, nogą bijąc o ziemię. — Czy to jedna mamka cudze dziecko do piersi bierze, gdy matki nie stanie.

— Mamka!!! — krzyknęła stara, podnosząc oczy groźne... — ty, ty jakaś, jak ty mnie śmiesz mamką nazywać? Mamką ja nie była! Ty, choć żoną nie jesteś, możesz się dać całować... na to ty się urodziła, a do mojej piersi tylko własne dziecko usta mogło przycisnąć... Ty, latawico jakaś!

Młoda kobieta gniewnie odskoczyła.

— Wiedźmo ty stara! jędzo przeklęta! a tobie co do mnie? Widziałaś, jak mnie całował?

— Kto nie chce, to zobaczy, bo ty masz napisane na liczku — zawołała stara, rozgarniając siwe włosy.—

Patrzże na moją twarz, czy tam stoi, żebym ja cudzym dzieciom matką była?

— Tam stoi — rozśmiała się młoda, — że didko ci rozum wziął i do sakwy schował. Ot co! ale ty się doigrasz stara, że cię powieszą...

— A no! wiatr mi tedy łzy osuszy! — zamruczała Wygoniowa.

Zamilkła i głowa jej znowu z ramienia na ramię smutnym jakimś rytmem przechylać się zaczęła... Młoda stała nad nią nadąsana, zła, z brwią zmarszczoną.

— Mnie tu do was przysłali — odezwała się — ostatni raz, będziecie mieć rozum, czy nie? Siedźcie spokojnie, dożyjecie tak wieku, a nic wam braknąć nie będzie... Chodzić i tak siły nie macie. Co wam, źle w izbie? Jeść, pić, czego dusza zapragnie? Macie len do kądzieli, ile prząść zdążycie. Nie zimno, nie głodno!... jeszcze wam czego potrzeba! Siedzielibyście cicho.

— Jakby tak wam, Zynio, toby i dosyć było, byleby jeszcze chłopak przychodził! — zawołała stara. — Ja zamknięta, bez słonka i powietrza nie wyżyję... Nie!...

— Pewnie — przerwała Zynia — jakby wam drzwi otwarto, tak jak dziś, co przypadkiem chłopak zapomniał zasunąć, poszlibyście ludzi straszyć i kneziowi w oczy leźć.

— Bo ja mam prawo, słyszysz, ty, latawico, bezczesna! — krzyknęła stara. — Mam prawo tam być, gdzie i on, siedzieć, gdzie on siedzi, chodzić, gdzie on pójdzie... Rozumiesz!

Życzę tobie, latawico, więcej nic, więcej nic, tylko mego losu i starości mojej!

Zynia mimowolnie krzyknęła... Wyrazy te, wymówione jak przekleństwo, przeraziły ją.

— Za co mnie tak życzycie, za co przeklinacie — odrzekła — czy to ja swoją wolę mówię... Niosę, co mi kazano.

— Milczałabyś lepiej, milczała... — odparła stara.

Zynia odstąpiła kilka kroków i zaczęła się po izbie przecbadzać. Wygoniowa ani spojrzała na nią. Kilka

razy młoda wzrokiem ją wyzywała bojaźliwym i nie wymogła ani rzutu oka, ani wyrazu. Staruszka w swym bólu pogrążona, karmić się nim zdawała. Łzy, które przestały ciec, puściły się znowu.

Obawiano się wówczas wiedźm starych i ich czarów; tem się tłumaczyć chyba mogło, że Zynia, przekleństwo usłyszawszy, chciała się teraz wkręcić w łaski Wygoniowej, aby na nią jakiego nie rzuciła uroku...

Pokrążywszy po izbie, Zynia przysiadła obok starej na ziemi, zmienionym głosem poczynając.

— No, nie gniewajcie bo się na mnie. Co ja wam winna! Mnie posyłają, ja iść muszę. Źle wam nie życzę, a co mówię, dla dobra waszego. Wy sobie sami życie trujecie. Siedźcie bo spokojnie, będziecie szczęśliwą.

Odwróciła głowę Wygoniowa.

— Szczęśliwą! — powtórzyła — ja? szczęśliwą? koło mnie szczęście drogi zapomniało. Nie pleć pleciuchu, milczałabyś lepiej.

Ręką ku niej machnęła, aż Zynia, uląkłszy się, odsunęła.

Ogień przygasał na kamieniach, młoda rada była, że do niego mogła wstać i parę szczepek przyłożyć, nie mówiła już nic, chodziła, oczyma na starą spoglądając z obawą.

— Wody wam dać? — spytała.

Wygoniowa głową potrzęsła...

— Miodu?

— Daj ty mi trucizny, — szepnęła stara — a takiej, coby prędko ubiła, nie męczyła długo; duru mi przynieś, blekotu zgotuj!... Za to ci podziękuję!

— Skręciła się stara — mruknęła cicho Zynia.

Jakiś czas cicho było, a że w podwórcach i we dworze wszystko się pospało, najmniejszy szelest łatwo chwycić mogło ucho. Wszebór, który ciekawie wpatrywał się i nasłuchiwał, poczuwszy około budynku chód szybki i niecierpliwy, strwożył się nieco, czy nie ku jego drzwiom kto się zbliżał...

W tej samej chwili szeroko się otwarły te, które

prowadziły do izby kobiet, — ktoś wszedł i prędko za sobą zasuwę zaparł. Stara Wygoniowa wlepiła oczy; młoda, jakby przestraszona w kąt uciekła, rumieniec jej na lice wystąpił.

Przybyłego nie widać jeszcze było, gdyż stał w mroku. Nagle wysunął się na światło i stanął przed starą, która, ręce podniósłszy, krzyknęła, padając twarzą na ziemię. Był to Masław, prostą opończą okryty, z twarzą od gniewu zapaloną i niespokojną.

Stał, z początku, nie mogąc przemówić słowa; oczyma powiódł po kątach, dał znak Zyni, aby precz szła, i dziewczę, pod ścianami się sunąc, cicho dobiegłszy wyjścia, wymknęło się niem i znikło.

Stara patrzała płaczącemi oczyma na Masława. W twarzy jej mieszały się uczucia dziwne: radość, gniew, rozpacz i szczęście. Masław stał groźny, lecz strwożony razem...

— Słuchaj ty, stara! — począł głosem, jakby ochrypłym. — Ja ci sam raz jeszcze przyszedłem powiedzieć, — życia swojego strzeż! Masław cierpliwy do czasu, a w gniewie od wilka wściekłego sroższy... Zasiec każe, zabić każe.

— Gadaj — szepnęła stara. — Niechaj choć głos słyszę... gadaj! Ja tobie życie dałam, ty mnie za to śmierć!

— Oszalała baba! — krzyknął Masław. — Jak ty śmiesz, stara szalenico, nazywać mnie, kneziowskie dziecko, synem swoim! ty!

— Gadaj, synku, gadaj! — rzekła Wygoniowa — mnie głosu twego słuchać miło... Ja zawsze, zawsze mówiłam nad kolebką twoją, że ty godny kneziom być, królować!

Wyciągnęła ręce.

— Królem ja cię nazywała, ja, ja stara wiedźma szalona! Pamiętasz — mówiła cicho. — Pamiętasz... Pomacaj się na czole, z prawej strony masz bliznę... Byłeś mały, padłeś na kamień i rozbiłeś głowę, jam ci ranę, jak pies, lizała... ugryzłeś, a to była przepowiedź

tego, co się ze mną i z tobą miało stać... Ja nogi liżę, ty mnie depczesz nogami!

Zakryła rękami oczy i zaszła się od płaczu. Masław stał. Wszebór widział, jak bladł, jak mu się twarz mieniła, jak naprzemiany słabł i mężniał.

— Plecisz duby smalone, stara! — zawołał. — Na czole żadnej nie mam blizny, nie znam ciebie! Mam tylko litość nad tobą... Siedź cicho, chcesz-li być całą, a milcz! Stul gębę i nie śmiej mówić, żebyś ty mi matką być miała.

Wygoniowa zadumała się.

— Puśćcie mnie stąd — odpowiedziała smutnie — pójdę i będę milczeć. Nie powiem nikomu, żeś synem moim, króluj sobie! Ale puśćcie mnie z tej niewoli... hen! do starej chaty! puśćcie! puśćcie! Niechaj oczy się nie patrzą, serce się nie krwawi... Nie powiem nikomu, puśćcie mnie tylko.

Uklękła, składając ręce. Masław brwi ściągał i rudawą brodę szarpał.

— Co ci tu źle! ptasiego mleka chyba brak? Pójdziesz na czarny chleb i nędzę czarną, a usta nie strzymają, będziesz pleść duby swoje... Nie... nie!!

— To mnie zabić każ! — mówiła stara. — Tak, prędko, jak twoi ludzie umieją... Głowa się ledwie trzyma. Ja w niewoli oszaleję, ja do niej nie przywykłam... Ja ci życie dałam, ty moje weź.

Płacząc, upadła na ziemię, ale prędko podniosła oczy i poczęła chciwie wpatrywać się w Masława, jakaś myśl jej przyszła nagle, usiłowała powstać. Kneź się cofnął nieco, stara podniosła się z trudnością i oczy wlepiła w niego: jakby o sobie zapomniała. Wzrok jej piekł widać knezia, bo się począł cofać niespokojny.

— Stój! — odezwała się — już ja ciebie o nic nie proszę, niech popatrzę tylko! Tak dawnom ciebie nie widziała. A! a! co się z niego zrobiło! Jak to ciało wybielało... jak dziecina urosła, jaki pan z mego syna... Myślałamże ja, piastując cię na rękach, że bohatera wykołysam!

Powoli zbliżała się ku niemu, twarz jej z gniewnej

przechodziła w rozrzewnioną, klękła i pochwyciła go za nogi, całując je... Masław drżał cały...

— Kneziu mój! gołąbku mój, czy ci sępy serce wyjadły, czy ci krucy oczy wydłubały... nie znasz że ty matki swojej! O, złoty mój! nie chcę nic od ciebie, puść starą na swobodę; mnie tu duszą te ściany, mnie wyjść kroku nie dają, głosu podnieść nie wolno... nic! Zlituj się ty nade mną!

Kończyła te słowa, gdy kneź szybko się cofnął aż za drzwi. W progu już stojąc, odwrócił się ku niej.

— Miejcie rozum, kiedy całą chcecie być! To ja wam mówię ostatni raz! Siedźcie, gdzie przykazano, słyszycie?

Odryglowano drzwi i Masław wyszedł, stara, jak leżała u nóg jego na ziemi, została w miejscu, twarz ukrywszy w dłonie, rozciągnięta na toku.

Leżała tak, płacząc, gdy znowu weszła, ale już nie Zynia, lecz stara, w ubogiej, zgrzebnej bieliźnie, baba silna, z rękami obnażonemi, z włosami rozrzuconemi, które chusta brudna zaledwie napół osłaniała. Patrzała na leżącą, namarszczywszy się.

— Hej! słyszysz! — zawołała głośno — a na barłóg, wiedźmo stara! dosyć tego!

To mówiąc, pochwyciła ją wpół rękami silnemi, i niebroniącą się nawet, na posłanie w kącie zaniósłszy, rzuciła. Z kółka zdjęła siermięgę, nakryła ją, popatrzała i poszła ogień przygasić.

Wkrótce Wszebór, nic już dojrzeć nie mogąc i nie słysząc nic, oprócz głuchego jęku i chrapania, zasunął okienniczkę. Uląkł się, aby nazajutrz nie domyślano się, że był na podsłuchach i suknię na niej zawiesiwszy, sam też legł na posłanie.

Nazajutrz jak świt zaskrobano do drzwi, poszedł je otworzyć; był to Sobek, który chciał ogień rozniecić. We dworcu się już ruszać poczęto. Dzień naówczas wszędzie po chatach i grodach zaczynał się ze światłem i z niem kończył. Gdy Wszebór, wstawszy, okienniczkę od podwórza odsunął, zobaczył już Masława na koniu pod oknami, który ludzi swych ustawiał, dobierał,

broń opatrywał, tarcze przerzucał, jezdnym konie próbować kazał.

Wojsko to, zbierana drużyna, niesforna i dzika, zdawała się mężną i dzielną. Masław do jakiejś przyszłej walki, którą przeczuwał, gotować się zdawał. Z okna widać było, jak pułki nowe objeżdżając, kneź to się z ludźmi po książęcemu obchodził, to, zapomniawszy kim się mienił, stawał się w gniewie prostym człowiekiem, sam własnemi rękami rwąc się do niesfornych.

Wszebór, a za nim stojący Sobek, zdala patrząc, głowami potrząsali; staremu bartnikowi to uśmiech się kręcił po ustach, to brwi się marszczyły. Niekiedy aż tu dolatywał głos groźny i krzykliwy.

Milcząc tak, stali chwilę, aż bartnik odwiódł na stronę Doliwę.

— Nie mamy tu czego długo przesiadywać — rzekł cicho — obejrzyjcie się... uchodźmy... Widzieliście co ma... więcej nam nie trzeba.

— Siłę ma, wielką siłę, a my żadnej — odparł Wszebór, wzdychając.

— Już ci nie przystaniemy do niego — szepnął bartnik. — Na oczyśmy widzieli to, o czem słuchy tylko dochodziły... nie popasajmy tu długo.

Wszebór głową tylko kiwnął...

Zaskrobano do drzwi i z pokłonem wszedł Huba.

— W podwórzu stoją ludzie, których do drużyny pańskiej wybierać macie — odezwał się. — Skarbiec też otworem. Kneź przykazał posłuszeństwo. Czekają na was.

Ruszył się rad nierad Doliwa za wiodącym go Hubą. W podwórcu stała spora gromada pokaźnej młodzieży chłop w chłopa, z wesołemi twarzami, butni i raźni. Wszystko to było od pługa i siekiery spędzone, nie otargane, jak dzikie konie ze stada wzięte... Doliwa obchodzić ich naprzód począł, potem wybierać. Cisnęli mu się jedni, uciekali drudzy, ale Huba stał tuż z kijem w ręku i sprzeciwiać się nikt nie śmiał.

Wprędce złożyła się przyszła drużyna pańska i z nią

szli do wczorajszego skarbca, gdzie na nich czekał stary dozorca... Nie zbywało na odzieży i na orężu, tylko dobrać jednostajnych nie było podobieństwa. Łupy na kupę pozrzucane, z różnych pochodzące dworów, niełacno się dały pościągać tak, by jednostajnie przybrać było można drużynę. Mozolili się nad tem jeszcze, gdy już ochmistrza nowego do pańskiego stołu powołano. Tu znów zasiadali Prusacy, których hałaśliwiej jeszcze, niż wczora, żegnano, bijąc w dłonie na wiekuiste przymierze!

Zdala świadkiem był Wszebór, jak je zapijano i głośno się zmawiano, ile Kunigas ludzi miał postawić i gdzie z nimi pójść mieli. Masław tajemnicy nie czynił z tego, do czego się przysposabiał.

— Z Piastami nie koniec mnie jeszcze — mówił, pijąc do Kunigasa. — Niema już ich w kraju, wygnaliśmy precz, ale z Niemcami trzymają, a z Niemcami wrócić mogą. Czerń rycerstwo wytłukła, dwory popaliła, ano się to plugastwo rozbiegło tylko, a jak do przytomności przyjdzie, skupi się znowu... Nie koniec to jeszcze, nie koniec! Stoją jeszcze gródki całe, i nie wszystkie głowy z karków pospadały...

Miód szumiał i wrzawa się powiększała, a trwało to tak aż do odjazdu Kunigasa, którego Masław i dwór odprowadzili na podwórzec do koni... Tu jeszcze napełniono rogi, spijając na zagładę chrześcijaństwa, a gdy Prusacy, na konie siadłszy, wyjeżdżali z zamku, mnogi lud i gęślarze prowadzili ich z okrzykami za okopy.

Wszebór stał, wpatrując się w to i przysłuchując, gdy Masław nań skinął, aby mu do izby ową wybraną drużynę na okaz przyprowadził. Ruszył się więc spełnić rozkaz, ale w tej chwili drzwiami, któremi miał wychodzić, weszło poselstwo nowe i kneź oczyma go zatrzymał.

Jeszcze to dziwniej wyglądało, niż dzikiej, ale wojennej postaci posłowie pruscy. Kupa była ludzi z za Wisły przybyłych od owej czerni, która tam kraj pustoszyła... Odziani w kożuchy pokrwawione i siermięgi pobroczone, z twarzami miodem i piwem już zagrza-

nemi, z hałasem i śmiechem wtłoczyli się, niewiele okazując poszanowania zbóje.

Starszy z nich, drab przechodzący innych głową, z ogromnemi włosami, długo mu na ramiona spadającemi, zdjął czapkę baranią, przystąpiwszy dopiero ku Masławowi i nieco mu się ręką do kolan uniżył. I on, i ci, co mu towarzyszyli, wesołe mieli oblicza, najmniejszego strachu, patrząc na kneziowski majestat... Plondrowanie po kraju nauczyło ich nic nie szanować, — silni się czuli...

— No, my do was przyszli, kneziu nasz — zawołał starszy — poradzić się i pocieszyć. Ty nasz! ty nasz!

Gromada cała podniosła czapki wesoło, wtórując okrzykiem. Masław marszczył się milczący.

— Tam za Wisłą my już tak dobrze, jak skończyli, kraj tobie oczyścili. Idź i pilnuj... Stare chramy staw, stare bogi wróć, Niemcom i ich bogom na zgubę!

Znów się wzniósł okrzyk i czapki podniosły do góry. Mówca brodę pogładził, rozglądał się wkoło.

— Rycerstwa i niemieckich księdzów niema już, gródków mało co stoi, — te głodem weźmiemy, albo i na oszczepach rozniesiemy...

Tu, wpobliżu tylko jednemu sami może rady nie damy. Gdybyś nam ludzi wojennych i pomoc dał, łatwiejby poszło.

— Któryż to? — odezwał się Masław.

Gromada cała, tłocząc się, poczęła wołać:

— Olszowe Horodyszcze!

Wszeborowi krew wystąpiła na twarz.

— Okopali się tam, psie syny — ciągnął dalej mówca — ostrokołami otkali i pilnują, a bronią tak, że ich trudno wziąć. Głód ich zmorzy, to prawda, a co potem? niewiast tam dosyć jest, coby się przydały nam, — pochudną; co jest zapasu — wyjedzą, a nuż Czechy przyjdą i złupią? Bogactwa tam wielkie — szkoda stracić.

— Olszowe Horodyszcze? — mruknął Masław, pytając.

Poseł ręką wskazał w stronę, w której leżało.

— Dajcie nam ludzi! — rzekł. — Jak się rzucim na wały razem ze wszystkich stron, nie obronią się... Skarbami choćbyśmy po połowie się podzielili, — dosyć ich dla wszystkich będzie. Pozwozili ich tam moc zewsząd wielką, a i stary Belina sam zasobny był... Trzeba to gniazdo wywrócić ze szczętem...

Masław mruczał coś niewyraźnie; poselstwu od czerni piwo niesiono i częstować je zaczęto. Wzięli się tedy do kubków wszyscy, kłaniając panu, co ich przyjmował, a pan był twarzy posępnej czegoś. Zbytnia poufałość ludu prostego w smak mu nie szła.

W gwarze, który się wszczął przy piwie, trudno co było usłyszeć. Z przybyłej gromady, głusząc mówcę, wyrywały się głosy różne i jedne drugim przerywały opowiadanie. To tylko mógł pochwycić Wszebór, iż chciwość Masława opisami skarbów i łupów podżegano, a kneź więcej niż o zdobycz — o położenie gródka i siły jego się dowiadywał.

Te siły jedni podnosili bez miary, bo przed niemi ustąpić musieli, drudzy starali się okazać nie tak znacznemi — zgody nie było na nic. Jednomyślnie tylko bili w to wszyscy, iż rycerstwa wiele się pochroniło na Horodyszczu i dla tego samego wziąć je trzeba było koniecznie, aby niebezpieczni ludzie przebojem się nie ocalili.

Dla Masława też więcej znaczyło pozbyć się tych, których za najstraszniejszych swych wrogów uważał, niż obłowić zdobyczą.

Gromada, pokłoniwszy się, nahałasowawszy, odeszła wreszcie, odprawiona łaskawie. Masław znużony upadł na ławę, a Wszebór, gdy już wieczór się zbliżał, pod pozorem koni wysunął się ku szopom szukać Sobka.

Jak niegdyś u Bolesława — zamek i podwórze rycerstwa we dnie i w nocy pełne były, tak dziś u Masława gmin je zalewał mnogi, który karmić i poić musiano. Przecisnąć się było trudno wśród szałasów, bud, kletek i porozkładanych ognisk. Śmiechy i śpiewy rozle-

gały się wszędzie. Gdzie niegdzie kupczono i mieniano pokrwawioną jeszcze odzież i kosztowne opony, po dworach złupione.

Wszebór, mijając te kupy, dostał się do szopy, przed którą dostrzegł zdala Sobka, ale i tu zwijała się czeladź i parobcy od stad i koni; rozmówić się trudno było.

Skinąwszy więc na bartnika, uprowadził go Doliwa za sobą ku tej stronie, gdzie wał prawie był pusty i z ludu ogołocony.

— Wasza prawda, mój stary — rzekł do Sobka, odwiódłszy go na miejsce bezpieczne — wasza prawda. Śpieszyć nam potrzeba zpowrotem. Tylko co przybyła gromada żąda od Masława posiłków na Olszowe Horodyszcze; trzeba nam i o niebezpieczeństwie oznajmić i samym stanąć w pomoc. Być może, iż przebojem lepiej będzie wyjść zawczasu.

Sobek uderzył w dłonie.

— Jak się stąd wydobyć? — spytał Doliwa. — Wpaść było niełatwo, — uciec trudniej jeszcze.

Poruszył się stary bartnik trochę niespokojnie.

— Mnie się stąd wykraść łatwo — rzekł — kiedy zechcę, wyjdę, nikt nie spyta; gorzej wam.

Pokręcił głową.

— Dlatego was właśnie pytam o radę — dodał Wszebór.

— Myślcie tylko, jak się dostać za Wisłę do lasu — rzekł Sobek — dalej już moja rzecz cało was poprowadzić. Noc mamy przed sobą.

Doliwa podumał trochę.

— Tej nocy? — spytał.

— A pocóż czekać mamy, aż powezmą jakie podejrzenie?

Naradzali się tak jeszcze, aż mrok zapadł i Wszebór musiał na zamek powrócić, aby się Masławowi ukazać. Uradzono pocichu nocną tegoż dnia ucieczkę.

Wpuszczony do knezia po rozkazy, Doliwa zastał go wpółuśpionym po miodzie i piwie, niechętnym do rozmowy, dał mu tylko znak, aby spoczynku nie prze-

rywał. Wyszedł więc natychmiast zamiast do izby swej, nazad puszczając się w podwórce.

Nikt tego wieczora ani go nie potrzebował szukać, ani zaglądał do jego komory.

Nazajutrz rano kneź ruszył się do swoich ludzi przeglądać rynsztunek i konie, a wróciwszy, ochmistrza wołać kazał. Czekano też nań, aby wczorajszą drużynę opatrzył, ale go nigdzie nie znaleziono. Izba z wygasłem dawno ogniskiem stała otworem; nikt wchodzącego nie widział.

Rozbiegli się szukać dworacy, a naprzód do szopy koni zajrzeli; Sobka i koni nie było.

Na wieść, iż Wszebór zniknął, Masław porwał się wściekły; wnet najsprawniejszych ludzi i konie najrączsze w pogoń za zbiegiem puszczono. Kneź klął się, iż nikomu z rycerstwa, choćby mu u nóg leżał, życia nie daruje.

Dziwny jakiś strach go ogarnął. Dzień cały spędził na okopach, czatując ażali ci, których wysłał, nie przyprowadzą schwytanych. Wystawiona szubienica już na nich od południa czekała...

Pod noc dopiero, na zmęczonych koniach, zwolna ściągać zaczęli wysłani, przynosząc wieści, iż nigdzie śladu Wszebora nie znaleźli. Przewoźnicy na Wiśle przysięgali, iż wieczorem ani z rana nie przewozili nikogo nieznanego, w okolicy nikt zbiegów konnych nie widział. Po obu brzegach rzeki tropiono ich kilka dni napróżno...

Huba chodził do wieszczbiarzy pod chram, aby wróżyli mu i opowiedzieli, gdzie szukać trzeba zdrajców. Każdy z nich wskazywał inną stronę.

Nie uspokoiło się w Płocku tak rychło; lecz nowe gromady, posłowie, narady i przygotowania zatarły pamięć po Wszeborze. Sposobił się oddział na Olszowe Horodyszcze, który z kupą ludu okolicznego połączony, miał napaść na gródek i, osaczywszy go, zdobyć się spodziewał.

VI.

Gdy w Płocku Masław na samo wspomnienie Wszebora Doliwy pięściami tłukł w stoły i ławy, odgrażając się, szydząc i bezczeszcząc dawnego towarzysza, a łając ziemian, co nań nasłali zdrajcę, aby jego tajemnicę podpatrzył — Wszebór nocą się z Sobkiem na upatrzonym brodzie wpław przeprawiwszy za Wisłę, razem z nim manowcami darł w głąb puszczy, jak zwierz, który chce psy zbić z tropu, przerzucając się w prawo i w lewo, koniom nie dając odpoczynku, dopóki się od pogoni bezpieczniejszym nie czuł. Stary bartnik wielką mu był pomocą, bo miał instynkt leśnego mieszkańca, który go nigdy nie mylił. Kora drzew, kierunek wiatru, gwiazdy przeświecające na niebie, wszystko mu do wytknięcia sobie drogi służyło.

Jednakże dla zmylenia pogoni, nieustannie zwracając się i wyszukując miejsc niedostępnych, Sobek nawet wkońcu znalazł się w jakimś ostępie zupełnie sobie nieznanym. Nie obawiał się zbłądzić, lecz przybycie do Olszowego Horodyszcza zwlec się przez to musiało.

Coraz późniejsza jesień wyżywienie koni trudniejszem czyniła, tak, iż niekiedy młodemi gałązkami karmić się musiały. Tego pierwszego dnia, który za stracony uważać było można, tyle tylko zyskali, że się wpędzili na błota i gęstwiny, w których bezpiecznymi się czuli. Nocleg przeszedł na łące, między drzewy, a szałasu nawet sklecić nie było czasu i ochoty; pokładli się, ściągnąwszy z koni sukno i czaty pilne sprawując, dotrwali do ranka.

O świcie Sobek konie napoił i począł się krzątać, jakby z tych ostępów się dobyć ku znajomszej okolicy. Inaczej, jak za kierunkiem, wskazanym przez korę na drzewach, iść nie było można. Jechał przodem bartnik, wybierając łatwiejsze przesmyki, a rozpatrując się w lesie, w którym najmniejsza poszlaka za wskazówkę służyć mogła.

Już było około południa i gęsta puszcza zdawała się przerzedzać nieco, zwiastując polanę i strumień; zjeżdżali ze wzgórza małego, gdy Sobek konia wstrzymywać zaczął, a wkońcu znak milczenia dając, stanął. Od strony, w której las się kończy, słychać było gwar niewyraźny, lecz dosyć znaczne zbiorowisko ludzi oznajmujący.

Przestrach ogarnął starego, bo nie kto inny mógł kupą chodzić, tylko Czesi, najeźdźcy jacyś lub czerń, co się po kraju za łupem włóczyła. Wpaść w jej ręce, uniknąwszy Masława, było zgubą; na twarz bartnika też trupia wystąpiła bladość; w pierwszej chwili nie wiedział już co począć, wsłuchiwał się przerażony.

W miejscu, w którem stali, olbrzymie pnie i gąszcz, las podszywająca, zakrywała jeszcze ich, ale najmniejszy szelest mógł zdradzić. Sobek zsunął się ze szkapy swej, którą do młodej drzewiny przywiązał, za przykładem jego poszedł Wszebór, bo z koniem tu niebezpieczniej było, niż pieszo. Oba razem pocichu skradać się poczęli ku miejscu, z którego gwar coraz wyraźniejszy ich dochodził. Wzgórze, na którem stali w drzewach **ukryci, oberwane** przez wody rzeczułki, płynącej dołem, [illegible] w dolinę. Spostrzegli wśród niej obozowisko z dosyć licznego złożone ludu. Kilkanaście wozów stało dokoła, otaczając je; konie spętane pasły się na łące. Dwa czy trzy namioty rozbite były w pośrodku, paliły się ogniska w naprędce rozkopanych dołach, koło nich pół zbrojna czeladź się kręciła. Widać też było kilku mężów zbrojnych z namiotu do namiotu przechodzących, inni na podesłanych suknach leżeli. Byli to ludzie dobrze zbrojni, a w pośrodku nich na żerdzi stał proporzec oszarpany, zdarty, z którego trudno poznać było, do kogo należał.

Zdala na myśl patrzącym przyszli Czesi i już, rozglądnąwszy się, cofać mieli, gdy nagle Wszebór i Sobek uczuli się pochwyconymi ztyłu i powalonymi na ziemię. Wszebór, miecz mający u boku, wnet oprzytomniawszy, bronić się chciał, i dwu napastników otrząsnął z siebie, gdy, nawzajem sobie w oczy popatrzyw-

szy, poznał w nich służbę znajomych władyków, a ta w nich ludzi nie obcych.

Ci, którzy Doliwę, przebranego po wieśniaczemu za chłopa biorąc, obalili, byli pachołkami Śreniawów. Sobka wywrócił drab, który miecz naszał za jednym z Jaksów.

— Co wy tu robicie? — krzyknął Wszebór. — Wasz-li to obóz?

Czeladź tylko ręką wskazała.

Uradowany Wszebór, gdy się najmniej spodziewał swoich spotkać, znalazł się między nimi. Nie przypuszczał nawet, ażeby z rozbitego rycerstwa, jeszcze gdzie tyle razem zebranego być mogło. Szybkim więc krokiem pędził, konie zostawiwszy przy Sobku, do tego obozu, który mu się jakby zesłanym z nieba wydawał. Byli więc jeszcze ludzie, co nadziei nie tracąc, gromadzili się i radzili o sobie.

Im bardziej się do obozu przybliżał, tem więcej radość jego rosła. Nie był to zastęp zbyt liczny, jednak z czeladzią i pachołkami przeszło sto głów liczyć musiał. Rycerstwo też przedniejsze, z którego się składał, całe zbroje i oręż miało, a lica nie tak wynędzniałe, jak Lasoty i Toporczyka, których wprzód na drodze spotkali.

Ład też i spokój panował w obozie, a pochwycenie Wszebora dowodziło, że pilnie przystępu do doliny strzeżono.

Bogu dziękując, poruszony wielce Wszebór, przebywszy rzeczułkę, po rzuconej na niej kłodzie, wpadł do obozu, pędem prawie lecąc ku stojącemu tu rycerstwu. Zdala go już postrzeżono, a że licho odziany był i nie poznał go nikt zrazu, popłoch się niejaki wszczął, ten i ów wstawać począł z ziemi, niektórzy się już do oręża chwytali, gdy na przedzie stojący młody mężczyzna, przypatrzywszy się Wszeborowi, z krzykiem naprzeciw niego pośpieszył.

Był to też z dawnej drużyny Kaźmirzowskiej towarzysz Doliwów, Samko Dryja, przyjaciel obu braci,

którego z oczu stracili, gdy królewicz poszedł na wygnanie i wszystko się około niego rozbiło.

— Wszebór!

— Samko! — krzyknęli oba, ręce ku sobie wyciągając.

Na głos ten, co było bliżej, kupić się około nich zaczęło, przybyłego pytaniami zarzucając. Nim na nie odpowiedzieć miał czas, z namiotu większego wyszło kilku starszyzny. Wzięto Wszebora wnet i wiedziono, gdzie byli dowódcy oddziału.

Pierwszy, którego ujrzał siedzącego na pniu skórą okrytym, był siwy, stary, blisko osiemdziesięcioletni Trepka, Mieszka pierwszego jeszcze czasy pamiętający. Starzec siedział w pośrodku przygarbiony, kożuchem okryty, trzęsący się, a przy nim stali dwaj synowie, dalej Jaksowie, Kaniowy, Śreniawy i przedniejsze rycerstwo Bolesławowskie, Mieszka i Ryksy. Wszystko to były niedobitki świetnych niegdyś pułków wspaniałego dworu; żupanowie, władyki. wojewodowie, podkomorzowie pańscy, o których Wszebór nawet nie wiedział, że z życiem pouchodzili; tem mniej, iż co nie wyginęło po grodach, za granicę pouchodziło i rozbite się tuliło po kątach, śmierci czekając.

Podniósł więc Wszebór ręce do góry, Bogu naprzód za to dziękując, że mu dał oglądać rycerstwa ostatek, zgodnie a gromadnie się trzymającego.

Tamtym też na widok jego usta się nie zamykały, chwytano go, pytano ze wszech stron, radowano się, że jeszcze jeden ze swoich, ocalawszy, szczupłą garść ich miał pomnożyć.

Tym, którzy Doliwy nie znali, a dziwili się siermiężnemu przybłędzie, tak serdecznie przyjmowanemu, Dryja i inni opowiadali, kto on był i jak się zwał. Ze wszech stron obijało się o uszy imię Doliwy.

Gwar pod namiotem stał się taki, iż słyszeć już nic nie było można; Trepka więc stary, którego tu niby wodza szanowano i słuchano, począł kijem bić w ziemię i w stare dłonie plaskać, by się uciszono. Inaczejby się nic od Wszebora dowiedzieć nie było podobna.

Dopiero go starzec, ogromną swą siwą brodę pogładzając, począł pytać, skąd szedł, jako się uratował, czyby co o innych nie wiedział?

Doliwa rozpowiadał im o swoich nieszczęściach, od wyrwania się z gródka, spotkania z Lasotą w Gdeczu, aż do przybycia do Olszowego Horodyszcza. Nie przywiązując wagi wielkiej do wyratowania niewiast z Ponieca, Wszebór pominął je w opowiadaniu. Dopiero, gdy począł o przyjęciu u Beliny mówić, z liku osób niewiasty się okazały.

Zaczęto pytać, jakie były i Doliwa mianował panią Spytkową z córką Katarzyną. Ledwie wymówił to nazwisko, gdy z za starego Trepki, z ziemi, na której ktoś kożuchami i opończami otulony leżał, głos wielki się podniósł:

— O, chwałaż Panu na wysokościach!

Wszystkich oczy obróciły się w tę stronę, gdzie z trudnością, jakby z powijaczów się uwalniając, ukazała się blada twarz i ręka żylasta... Z pod chust zakrwawionych, które głowę całą obwijały, twarzy tej ponurej a smutnej ledwie okrawek widać było: jedno oko krwią zaszłe, policzek biały i wargę siną, która jak bezwładna wisiała.

— Kto zacz jest ten starzec? — spytał Wszebór Dryi.

— A no Spytkowej mąż, co się cudem z pod stosu trupów z pomocą ludzi uratował — rzekł cicho Dryja.

— Nam przyniesiono wiadomość, iż go w sztuki rozsiekano — zawołał Doliwa.

— A niewiele skłamano — rzekł, dosłyszawszy to, Spytek. — Nie mam na ciele cząstki jednej, któraby posieczoną, pokłutą i porąbaną nie była, a co się ze mnie krwi utoczyło, stałoby drugiemu na życie!

Wszebór zdumiony patrzał na porąbanego władykę, który, chustę odgartując, próbował też jego zobaczyć, gdy płotek namiotu się uchylił i Sobek, bartnik, wpadł jak szalony, oczyma namiot ogarnął, a potem z krzykiem legł na ziemi przy panu swoim...

Posypały się znowu pytania o człowieka, choć go niemal wszyscy wprzódy znali, o siłę jego i o to, co zamyślał. Z nienawiścią mówili o nim wszyscy, ani jeden głos w obronie się nie odezwał.

Gdy Wszebór o tłumach przez niego zebranych mówić począł, znowu wzdragano się wierzyć; wreszcie rycerstwo, jak było zwykło, odzywało się z tem, iż jednemu dobrze zbrojnemu łatwo było całą kupę takiej zgrai, spędzonej od bydła, rozbić i zniszczyć.

— Dzięki Bogu, że mnie tu jego ręka opatrzna przyprowadziła — dodał Wszebór. — Przez miłosierdzie iść potrzeba na odsiecz Horodyszczu, Belinie i zamkniętym w nim władykom, bo inaczej Masław lada chwila nadejdzie i gródek zdobędzie...

Gdy Wszebór to rzekł, nagle stało się milczenie wielkie i długie. Patrzali jedni po drugich, pytając się wzajem oczyma, nikt pierwszy odzywać się nie śmiał. Zdumiał się wielce Doliwa, gdyż nawet leżący na ziemi Spytek, choć słyszał, o co szło, choć wiedział, że na grodzie żona jego z córką się schroniły — ust nie otworzył.

Powtórzył tedy raz jeszcze, że z taką siłą, jaką w obozie widział, śmiało na oblegających, niespodzianie uderzywszy, rozbić ich i pokonać można. Na to też, okrom mruczenia, nie było wyraźnej odpowiedzi. Oczy wszystkie zwróciły się ku starszyźnie, aż Trepka, głową potrząsłszy, począł:

— Daj Panie Boże, ażebyśmy mogli w pomoc śpieszyć oblężonym grodziskom... ale na to nie pora. Droższa nam nad wszystkie grody i nad krew braci naszej nawet — ta cała ziemia i królestwo, i wiara święta, którąśmy przyjęli — a oboje to naprzód ratować trzeba!

Wszyscy stojący dokoła wtórowali mu cichym szmerem. Starzec powoli mówił dalej:

— Gdyby ta dzioz Masławowa wiedziała, iż nas jeszcze gromada jest, wnetby się ją rozbić i zniszczyć starała. Nas zaś mało jeszcze i do walki stawać nie pora, dopóki wodza nie mamy namaszczonego, by nas

prowadził. Pierwsza rzecz: potajemnie w siłę się wzbić, pana odzyskać, wodza postawić na czele, dopiero o braciach pognębionych a uciśnionych myśleć będziemy.

Gdy nikt na to nie odpowiedział, bo zdanie starca wszyscy się podzielać zdawali, Wszebór, któremu na sercu leżał los zamkniętych na Horodyszczu, ozwał się:

— Damyż zginąć tej krwi naszej, która najdroższa nam jest! Toć tam kwiat rycerstwa, można rzec, się schronił, a gdyby na pastwę miał być dan Masławowi, nigdy nieopłakana byłaby szkoda.

— Ziemię i wiarę ratować naprzód powinniśmy!— zawołał starzec. — O sobie myśląc, pójdziemy wszyscy, prędzej, później, w pęta!

Podniósł ręce obie do góry.

— Bóg widzi, drodzy nam wszyscy swoi! Powinowaci to są i ze krwi i z wiary, i z ducha i z oręża, — aliści jeszcze nam droższa ziemia i ta wiara, niż krew własna.

Dał się słyszeć dokoła szmer potakujący. Wszebór głowę zwiesił, spojrzał ku Spytkowi, który, jedno skrwawione oko podniósłszy, słuchał z usty rozwartemi i sina warga mu się trzęsła. Sądził, że on za swojemi przemówi. Spytkowi z oka tylko potoczyła się nie łza czysta, ale krople pociekły, rozchodząc się po bladym policzku.

Stary milczał. Wśród ciszy z głębin piersi dobyło się westchnienie ciężkie; zwolna pochylił poranione czoło i skrył je na posłanie. Ci, co nań patrzali, poczuli, jak cierpiał i usta im się zamknęły.

— Jak wy postanowicie, tak się stanie — odezwał się Doliwa. — Ja to wiem, iż z Horodyszcza wyprawiony, nazad tam śpieszyć muszę, abym choć dał znać o niebezpieczeństwie i dwoje rąk moich a głowę zaniósł...

Nikt się nie odezwał, wstrzymując go. Wtem stojący przy starym Trepce Śreniawa, któremu imię Bolko było, zapytał:

— Ileż tam na gródku ludu jest?

— Tyle, ile go się zmieścić może — odparł Doliwa — nocą między leżącymi pokotem przejść niepodobna, na nogę lub rękę nie nastąpiwszy. Gorsza nadto, że żywności im zabraknie wkrótce.

Smutno słuchali tego opowiadania starzy.

— Cóż począć? — rzekł Trepka. — Niech się obraniają, dopóki mogą, ratunek przyjść może, gdy nadzieję lepszą o przyszłości poweźmiemy... Gdybyśmy zagrożonym zamkom w pomoc iść chcieli, wkrótceby i nas nie stało. Bóg jeden wie, azali w tym naszym obozie małym nie cała przyszłość tej ziemi i nasienie na nowe królestwo się znajduje.

Gdy to mówił, oczyma powiódł dziwnie po przytomnych i oni, popatrzywszy też dokoła, jakby się porozumiewali tajemniczo jakoś — umilkli. Pytano potem Wszebora o imiona zamkniętych na gródku, o niewiasty, o sposób życia i zasoby, na co Doliwa, widząc, że nic nie zyszcze, ledwie półgębkiem odpowiadał. Tak go ta surowość starszyzny przykro dotknęła, iż nie mając ochoty dłużej rozpowiadać, pokłonił się tylko i z namiotu wyszedł, na Sobka skinąwszy.

Rozżalonym był wielce, tak, że postanowił, cokolwiek koniowi dawszy wypocząć, natychmiast w dalszą puścić się drogę. Gdy Sobek doń przystąpił, w twarzy jego postrzegł też jakiś dziwny wyraz obawy i zakłopotania.

— Nam w drogę czas! — rzekł Wszebór.

Sobek włosy pogładził.

— Pewnie, pewnie — mruknął.

Stał jednak, nie biorąc się do niczego. Po krótkim namyśle do kolan mu rękę przyłożył.

— A jakże ja tu starego mojego poranionego porzucę? — zapytał.

— Cóż ja bez was poradzę! — krzyknął Wszebór, któremu się na gniew zbierało. — Odwiedźcie mię do Horodyszcza, a potem... czyńcie sobie, co chcecie. Do tegoście obowiązani, i ja was gotów jestem przymusić.

Sobkowi się gęba jakoś skrzywiła, pochylił się znów do kolan.

— Jest tu komu mnie obronić i zastawić się za mnie — rzekł bez gniewu — o przymusie niema co gadać. Należy się wam ode mnie, żebym na drogę doprowadził... to zrobię.

Wszebór gniewny mówić już dłużej nie chciał, odwrócił się od bartnika. Miał iść konia swojego szukać, gdy się doń Dryja przybliżył. Położył mu rękę na ramieniu.

— Nie patrz na nas krzywo — rzekł — niema za co. Stary Trepka prawdę ma! Choćby serce pękło, choćby tam matka była, żona, siostra, my o czem innem myśleć musimy.

Doliwa mu w oczy spojrzał sierdzisto.

— O czem, u licha? — podchwycił. — O sobie chyba?

Dryja zachmurzył się.

— Mówili jasno, — rzekł — powinieneś był rozumieć!

— Ino to rozumiem! — zawołał Wszebór — że wy z waszą garścią kraju nic zbawicie, a tego, co moglibyście poczciwego zrobić, ratując ludzi, nie dokonacie.

— Jeśli garść ta tylko początkiem? — rzekł Dryja. — Jeśli do niej codzień się garnie więcej i ona jutro w zastęp urośnie? a jeśli tu z tej małej garści wyjdą ci, co nam zbawienie przyniosą?

— Gdzie? skąd? — spytał Doliwa.

Dryja widocznie chciał, aby się dawny druh jego sam domyślił, ale Wszebór tak bardzo domyślnym nie był, a zajmowało go najwięcej to, co najbliżej stało.

— Chodź do mnie do namiotu, — dodał Samko, biorąc go za rękę, — nim konia ci nakarmią, zjesz i ty, czem się podzielić mogę i po staremu pogadamy.

Choć srodze rozżalony, Doliwa dał się pociągnąć do małego namiotu, w którym Samko ze trzema innymi się mieścił. Znać było teraźniejsze czasy i w tem schronieniu rycerskiego człeka, co teraz wszystko swoje mienie musiał wlec za sobą. Nie zostało i Dryi więcej nic nad to, co, pośpiesznie uchodząc przed kupa-

mi czeskiemi, mógł unieść, a było tam i czego rycerski człek potrzebował, i co mu porzucić na łup żal było, a co się ciężarem stawało.

Obok siodła i rynsztunku na konia, zbroi i broni, tarczy malowanej, oręża lepszego, z wozu wyglądały naczynia pozłociste, na kupie leżały kożuchy, odzież, stała beczułka starego miodu i napoczęta faska solonego mięsa łosiego. Pacholę się krzątało koło misek, bo czas było się czem posilić. Siedli więc, jeden na kupie odzieży, drugi na beczułce, a drabina z wozu wzięta, pokryta czemś, za stół służyć musiała.

Wszebór patrzał smutnie, bo mu przed oczyma stali wszyscy, co na Olszowem Horodyszczu na śmierć czekali, a najbardziej owa biała twarzyczka dziewczęcia. I wzdrygnął się na tę myśl, że ten kwiatek pochwycić może lada napastnik, a krew się w nim burzyła tak, iż myślał raczej sam paść w obronie, a ją zabić na ostatku, lepiej, niżby się w niegodne ręce dostać miała.

Gdy się tak gryzł, Dryja, obejrzawszy się dokoła, mówić począł:

— Bądź dobrej myśli — rzekł cicho — stary Trepka inaczej mówić nie może, aliści co godzina wybawienia spodziewać się trzeba.

— Jakiegoż? jakiegoż? — pochwycił, zżymając się, Wszebór.

— Niepotrzebnie ci z tego tajemnicę czynią — ciągnął Samko spokojnie. — Co dnia się spodziewamy królewicza, a jużeśmy o nim i wieść mieli.

Wszebór zdziwione oczy wlepił w Dryję, który mówił, pochyliwszy się doń:

— Jeszcze się u nas tyle rycerstwa znalazło, że było kogo posłać do jejmości królowej wdowy, z błaganiem, ażeby syna nam dała...

— Nie przeczę já — odezwał się Doliwa — że królewicza osoba i odgłos jego imienia wiele waży. Cóż potem? Raz go Masław wysłał, potrafi go się pozbyć postrachem powtórnie, albo go zgubi. Mamyż my siłę, ażeby stanąć przeciw niemu?

— Znajdziemy — mówił Dryja, któremu oczy się

świeciły nadzieją jakąś. — Cesarz niemiecki da mu pomoc, a kto wie, czy i z drugiej strony nie nadciągnie co jeszcze...

Uśmiechnął się.

— Obiecujeż się królewicz? — zapytał Wszebór. — Skąd o tem wiecie?

— Widzisz, mała nas kupka jest, a coś się tu warzy i praży — odparł Dryja, pochyliwszy się ku niemu. — Do królowej pojechali posłowie, część ich tu wczoraj wróciła.

— Cóż? — przynieśli co?

— Nic dotąd — mówił Samko. — Byli u królowej nadaremnie. Ryksa, którą sromotnie wygnano, ani chce słyszeć więcej o królestwie, które pogańskiem zowie. Znaleźli ją w klasztorze, potem przy kościele, który budować każe... Ledwie mówić do nich chciała: „Na inne ja królestwo a lepsze pracuję — rzekła — te, które mi Chrystus Pan miłosierny dać przyobiecał. Nie kuście mnie, ani wodźcie na pokuszenie dziecię moje. Niech w spokoju Boga lepiej chwali, niżeliby na nieszczęsny żywot z wami miał być skazany".

— Toć jasno — zawołał Wszebór — że się tam niczego spodziewać nie mamy!

— Źle sądzisz, bo nie wszystko wiesz — rzekł Dryja. — Rozumni są posłowie nasi, bo zanim po królewicza poszli, u cesarza wyrobili przyrzeczenie, iż pomoc mu i łaskę oświadczy, koronę odda, a przeciw Czechowi miecza dobędzie. Wkrótceby też Brzetysław cesarstwu stał się straszny, gdyby mu cugle puszczono. Ukróci mu ich papież rzymski i cesarz... Znacie wy, znam ja i znają Kaźmirza ci, co poszli do niego. Pan jest pobożny, ale w mniszej sukni on nie wytrwa, gdy mu miecz pokażą a panowanie. Krew w nim Bolkowa płynie! Ani go macierz nie wstrzyma, ni strach, ni gnuśność, bo pan wielkiego serca jest, a gdyby nie matka, nie powołanie jej, nie ustąpiłby Masławowi kroku.

— Wszystko to, Samku mój — westchnął Wszebór — nadzieje dalekie a bajeczne. Ja wracam od Masława tego i widziałem, co się dzieje u niego, a jako

rozwielmożniał pastuszy syn i urósł. Choćby cesarz garść ludzi dał, choćbyśmy wszyscy ku niemu się zbiegli, nie starczy cesarskich i nas na te kupy, na czerń, na tysiące.

— Na tem nie dosyć — przerwał Samko. — Ruś nam w pomoc przyjdzie... Pomyśleli nasi starzy o wszystkiem, słali też posły do Kijowa, do Jarosława, którzy dwa dni temu wrócili... Przyjdą nam Polanie od Kijowa w pomoc, z Pieczyngami.

— Gdybyś ty z Płocka powracał — rzekł Doliwa — w uszach miał wrzawę tej zgrai, a widział to mrowie, co się tam zlało, a posłyszał jako Masław nosi się z mocą swą, pruską i Pomorców, odeszłaby i tobie otucha!!

— Ma ci on Prusaków z Pomorcami, my cesarskich mieć będziemy i Jarosławowych, co też może waży — odparł Samko. — Ma on butę, a nasz pan koronę mieć będzie namaszczoną i pobłogosławioną i Pana Boga za sobą!...

Mówiąc to, Dryja wstał i smutnego Doliwę ściskać począł.

— Bracie — rzekł, — gdybym tę siłę miał, żebym cię powstrzymać mógł, do nógbym ci się pochylił... zostań z nami!

— Ani mów — odparł niecierpliwie Wszebór — bratam zostawił tam, wysłali mnie, zawierzywszy, wrócić muszę, choćbym gardło dał.

— A ja powiadam, jakom żyw, że więcej tam musiałeś zostawić, niż brata, i zgadnę kogo — mówił Dryja. — Po drodzeście ratowali Spytkowę, baba niczego i dziewka jej bardzo śliczna. Albo ci jedna czarnemi, albo druga niebieskiemi oczyma zawróciła głowę! Mów, a nie kłam...

Wszebór odwrócił się ku niemu.

— Jakże ci to do głowy przyszło?

— Bo obie niewiasty znam, albo raczej widywałem je u ojca — mówił Dryja. — Spytkowa do mężczyzn zalecać się rada, choć dla zabawy, a Kasia, gdyby nie chciała, to za sobą ciągnie, bo na utrapienie piękną jest.

— A! piękną, piękną! — krzyknął, zapominając się Wszebór, i wnet się po ustach uderzył.

Śmiać się począł, ściskając go, Dryja...

— Wiedziałem ja, co cię tam ciągnie! — zawołał. — Że ja znam obie, radę ci dobrą dam. Marta Spytkowa, choć zęby szczerzy, nic to tam z tego; sądziła się może wdową, dowie się, że jej stary żyje, a z tym żartów stroić nie można. Twardy człek z ran się wyliże, choć inny z nich miałby na cztery śmiercie... O Kasię też, choć krew wasza ich krwi warta, sięgnąć niełatwo. Spytka starego trzeba znać!

— Przecie nie kto, tylko ja mu żonę i dziecko ratował! — zawołał Wszebór.

— To ci rychlej zapłaci, gdy będzie miał czem, a córki nie da.

Oburzył się Doliwa i najeżył; wziął się wbok, plunął od siebie.

— Słuchaj Dryja, a cóż to my za jedni? a cóż to oni za tacy?

— Taki dobry Doliwa jak Śreniawa, a no staremu we łbie świeci, — co poradzisz na to — ciągnął Dryja. — Zasuszy ją prędzej w komorze, a będzie sobie knezia szukał dla córki, bo oni sami od krwi kneziowskiej się liczą.

Ruszył ramionami Wszebór.

— Jeszcze do tego daleko, — rzekł — bodajeśmy z życiem a cało stamtąd wyszli. Jak nas Bóg wyrwie z tego osaczenia, — ty mnie znasz Dryja! niby ja się starego będę pytał, a do nóg mu się kłaniał? Dziewkę wezmę, to mi jej nie odbierze.

— Tak ci ona już do serca przystała? — zapytał Samko.

Wszebór, zapatrzywszy się przez otwarty namiot na bory, sumował się, nie śpiesząc z odpowiedzią i namyśliwszy się, zamiast niej, dłoń wyciągnął do Samka.

— Niema tu co u was popasać — rzekł — mnie na Olszowe Horodyszcze pilno... Jadę.

— Chodźcie się wprzód starym pokłonić, bo tak należy i przystało — odezwał się Samko, ciągnąc go do

drugiego namiotu. — O tem, com wam o Kaźmirzu mówił, nie wspominajcie.

Poszli tedy oba, gdzie siedział stary Trepka. Reszta starszyzny, przed namiotem stojąc, gwarząc, stała, — rozstąpili się im, milcząc. Wewnątrz Trepka drzemał pochylony, a w kącie Spytek otwartem okiem krwawem zdawał się na spotkanie Wszebora oczekiwać.

Zbudził się zaraz pierwszy, kłaniając się tylko skinieniem głowy i ręką odpowiadając.

Wszebór przystąpił do Spytka.

— Jadę na Olszowe Horodyszcze — odezwał się — gdzie miłościwa pani wasza z córką znalazły schronienie, bom jej tam towarzyszył, gdyśmy ją w lesie samą znaleźli... Mam co rzec od was, miłościwy panie?

Gdy mówił, pilno mu się Spytek czerwonem przypatrywał okiem.

— Doliwa? — spytał.

— Tak jest.

— Ojciec wasz pułki wodził na Ruś! — odezwał się stary chrapliwym głosem.

— Tak ci było — i z łupem wracał — dodał Wszebór.

— Bóg da, wywdzięczę się za posługę—odezwał się leżący. — Pozdrówcie matkę i Kaśkę moją!

Popatrzył chmurno.

— A niech mi się tam nikt do moich nie zaleca — dodał. — Wara!!

— Byleśmy z żywotem uszli stamtąd, nie na zalecanki to czas! — rzekł Doliwa.

— Na to nigdy nie czas! — mruknął stary. — Pozdrówcie ode mnie... pozdrówcie!

Poczuł Wszebór, że owo wspomnienie zalecanek Sobkowi mógł być winien, zburzył się nieco, ale strzymał i nie rzekł nic. Tu go już kijem trącając, stary Trepka przyzwał ku sobie.

— Belinie rzeczcie od nas, niech jako może się trzyma do ostatniej prószynki, do ostatniej pięści, której będzie siła! Przyjdziemy mu w pomoc, na odsiecz, jak

skoro się poczujemy mocni. Niech się nie trwożą a nie poddają. Trzymajcie się, Bóg miłosierny!

To były ostatnie słowa Trepki, który, ledwie ich domówiwszy, głowę pochylił i znowu drzemać począł.

Choć Doliwie jasno wytłumaczono, dlaczego garść ta w pomoc oblężonego gródka ruszyć nie mogła, choć zrozumiał może, iż tak być musiało, jechał gniewny, z bólem w sercu, z żalem w duszy, że musiał miasto pociechy nieść groźbę tylko.

Sobek zwykle małomówny, teraz milczał uparcie, głowy nawet nie odwracając i drogę tylko wskazując przodem. Wszebór też, że nań posądzenie miał, odzywać się doń nie chciał. Ledwie w nocy, gdy stanęli dla koni i wypoczynku, spytał go, kiedy do Olszowego Horodyszcza dojadą i gdzie go ma porzucić bartnik.

— Ja bo was nie porzucę, miłościwy panie — odparł stary.

— Namyśliliście się?

— Nie, przykazanie dostałem od władyki; pan mój, wola jego, — słuchać trzeba. Jutro pod wieczór, Bóg da, pod Horodyszcze się dostaniemy, byle jeszcze w porę!

— Jedźmy na noc całą! — zawołał Wszebór. — Niech konie popadają, byleśmy się nie opóźnili!

Jesienna ciemność chmurnego nieba o krok nic rozeznać nie dozwalała. Na szarem tle wyschłe gałęzie drzew obnażonych sterczały dziwnie poplątane, rosnąc niby z mroku i ginąc we mrokach. Oprócz tej siatki nad głowami i gąszczy przed sobą, którą rękami trzeba było rozpoznawać, nie widać było tylko noc jedną czarną, niezgłębioną, jak nicość i śmierć straszną. Najmężniejsze serce wśród tego zamętu musiało uczuć boleść, jaką sprawia zgon, gdy oczy widzieć, uszy słyszeć przestają. Ponad tą puszczą cisza śmierci leżała, tak straszna, jak ciemność, pokrewna im siostrzyca... Chwilami nawet wycie dzikiego zwierza byłoby się wydało miłem, zwiastowałoby życie, niebezpieczeństwo, walkę... W tej głuchej ciszy i mrokach ginęła nawet nadzieja dnia i ży-

cia nadzieja. Zdało się, jakby ciemności tych umarłych na wieki nic nie mogło rozjaśnić, ani tej ciszy przeniknąć.

VII.

Na Olszowem Horodyszczu wlokło się życie pod ciągłym postrachem, nieustanną groźbą, żółwim krokiem, ślimaczym chodem, złożone z dni bez końca i nocy bezsennych. Zdawało się wszystkim, że teraz świat inaczej się obracał, a dnie i noce były dwoiste, nieprzeżyte i nieprzespane.

Lasy dokoła szumiały jednostajnie, jak do snu kołysząc, wiatry świstały, jakby dysząc z niedoli i śmiejąc się z jęków. Ludzie, leżąc, mruczeli, przeklinali, srożąc się na tego, co im dawał przytułek, narzekając na głód, odgrażając się pięściami. Z litości srogim musiał być stary Belina, przez miłosierdzie okrutnym.

Lud w pierwszem podwórcu tylko grozą utrzymywać się dawał. Po nocy szeptali i zmawiali. Na straży zapasów i śpiżarni nieustannie czuwać musiano. Gdy się ludzie pospali, ginęły owce, znikały konie, bydło padało, a nazajutrz śladu nie zostawało po nich i w przestraszonych wejrzeniach tylko można było się domyśleć winowajców.

Od wyjazdu Wszebora codzień prawie chodził ktoś na pomostach za ostrokołami i powrotu wyglądał. A w dolinie pusto było straszliwie. Czasem z lasu wychylił się wilk, zawył i uchodził, wymknęła się sarna, popatrzyła spłoszona własnym truchtem, biegła co tchu w gąszcza się schronić; niekiedy jakby cień człowieka wysunął się z borów, podszedł ku gródkowi, zmierzył go oczyma, zdając urągać zamkniętym i, gdy na okopy wysypała się gromada, pięść jej pokazawszy, znikał.

Dzień od dnia mało się różnił, liczono je po smutkach i klęskach, mówiono:

— Stało się to tego dnia, gdy zmarło dziecię, gdy się z rozpaczy obwiesił kto na belce.

A było co przypominać, bo niemal co dnia rano dozorcy, obchodząc podwórce, znajdowali w niem coś niedobrego: matkę płaczącą nad ciałem niemowlęcia, rodzinę skupioną przy zwłokach starca zmarłego w nocy, ślady jakiegoś gwałtu, lub spełnione przez niewiadomego sprawcę zabójstwo. W tej liczbie zrozpaczonej, gdy ją pokryły ciemności, budziły się najdziksze chucie i szały nią owładały. Ludzie nawykli do czynnego życia, nie mogąc przespać bezczynności, rzucali się bydlęco, dogadzając fantazji rozpasanej. We dnie z bladych twarzy czytać tylko było można zniechęcenie i znużenie, — nocą owładywało nimi napół szaleństwo.

Niekiedy, korzystając z ciemności, znękany człowiek zrywał się z barłogu, wdzierał na jaki pomost z ostrokołu i na postronku spuszczał się na dół z wałów, uciekając w las i woląc umierać tam z głodu, niż tu ginąć z odrętwienia...

Kilku już ludzi tak uciekło, — powiększono więc pilność i straże, gdyż obawiać się było można, aby pochwytani nie naprowadzili czerni i nie wskazali jej którędy najłatwiej na gródek dostać się było.

Po odejściu czerni nazad część ich ściągnięto do gródka; jednak przewidzieć było można, że ich na dłuższe oblężenie zabraknie i budowle przyjdzie rozebrać. Olszowe Horodyszcze, przed dawnemi czasy opasane wałem, wewnątrz miało obszerne szopy i odryny, kleci i stajnie, które pierwsze podwórze od drugiego oddzielały. Na drugiem obudowaniu znajdował się dworzec pański, komory i składy zapasów, część stajen, które teraz wspólnie ludziom i zwierzętom za schronienie służyły. Wielka izba, w której teraz pokotem leżeli dawni władycy, żupanowie i ziemianie, znajdowała się w zabudowaniu dzielącem dwa podwórza. Drugie całe dokoła obejść było można, idąc pod krytem podsieniem, które słupy drewniane podpierały.

Około tej wielkiej izby skupiało się teraz życie. Pospolity lud w pierwszem podwórzu pod gołem niebem i daszkami się tulił, co było przedniejszego zbie-

rało się na dzień w podsieniach na ławach, lub w wielkiej komorze u komina. Tu ścisk był zawsze i gwar niepomierny, bo się teraz spierano o to, co przeszło, rozpatrując, jakby tego wszystkiego zła, które nastało, uniknąć było można.

Beliny żona, której na imię było Hanna, i córka jej, Zdana, rej wodziły między niewiastami, które wszystkie, krom służebnych, mieściły się w izbie wielkiej na wyżkach, mającej dwie ciemne komory przy sobie.

A i tu ładu utrzymać nie było łatwo, bo się i o wrzeciono i o kądziel i o wyraz w piosence i o spojrzenie czasem wadziły starsze niewiasty, a młodsze zajadały potajemnie. Musiała jej miłość pani Hanna, jak mąż na dole, powagi swej używać dla uczynienia pokoju, — czasem nawet wzywając w pomoc starego Belinę, na którego widok wszystko w karby wchodziło.

Największy ciężar spoczywał na barkach starego gospodarza, a był to człek, jakeśmy go widzieli przy pierwszem wystąpieniu, nieskory do słowa, w potrzebie surowy, a w sercu dobry. Dobroć ta jednak nie przechodziła w miękkość, gdyż wiedział, że gdyby go ludzie miękkim uczuli, niełatwo się wkradł łatwo, a z nim przyjść musiała zguba na wszystkich. On tu był panem życia i śmierci, a choć się radził ludzi i nasłuchiwał ich mowy, nie dawał się powodować nikomu.

Chrześcijanin gorliwy i pobożny, stary Belina, co lepsze czasy pamiętał, przybity był teraźniejszemi kraju nieszczęściami, tak, że gdyby nie wiara w Opatrzność i ojca Gedeona duchowna pociecha, zwątpiłby już o wybawieniu. Z małą nadzieją, ażeby się uratować udało, pełnił swój obowiązek, nocy nie dosypiając, czuwając nieustannie, prawie nie zmrużając oka. Wstawał jak świt, na pierwszy znak gotów, bo się nigdy nie rozdziewał, a jeśli go sen zmorzył, nawpół siedzącego, obchodził gródek, opatrywał wszystkie kąty, rozsądzał sprawy, pilnował rozdawania żywności, rzadko przysiąść mógł we dnie. Nocą też najmniejszy szelest go budził, a jeśli się w pierwszem podwórcu wrzawa słyszeć dała, wnet chłopak zapalał łuczywo i z niem szedł

Belina patrzeć, co się działo. Nie obeszło się nigdy prawie, żeby kogo niespokojnego, buntującego się do jamy i kłody wrzucić nie było trzeba. Mnożyło to niebezpiecznych i niechętnych, ale bez tych się nigdy nie obchodzi. Belina wymagał tak samo posłuszeństwa od rycerstwa i ziemian, jak od ludu pospolitego, i przeciwić się sobie nie dawał; gospodarzem był, panem i wodzem!

Jak przy Hannie córka, Zdana, tak przy ojcu syn, Tomko, stał na pierwszych posługach, rozkazy nosił, porządek lubił i narówni z nim czuwać musiał. Młodemu chłopcu służba ta przypadała do smaku, gdyż z nią na wyżki do matki i do niewieścich izb często zaglądał...

Tu stara jejmość w białej namitce na głowie, w fartuchu musiała się też cały dzień krzątać, pilnując czeladzi, co jedzenie przysposabiała, chorych, dzieci i domowego zwierza, którego jeszcze trochę zostało.

W wielkiej izbie na wyżkach, jak na dole w dawnej jadalni, skupiało się co żyło, aby razem się zebrawszy, otuchy sobie dodawać. Skoro dzień, ogień zapalano, warzono co było jeszcze, a wnet kądziele, postawiane na ławach, i wrzeciono każda chwytała, aby czem zająć ręce i myśli. Z wrzecionem w ręku, gdy się nić ciągnąć poczęła, skręcać, nawijać, jakoś i myśli szły raźniej i sercu było spokojniej. Zdawało się niejednej, że siedziała jeszcze u domowego ogniska, w ciszy własnego dworu, za lepszego czasu.

Hanna Belinowa na nic się tak nie uskarżała, niebogа, jak że ją ciągle od kądzieli odrywano i nie dawano się nacieszyć wrzecionem.

Ze strachem teraz wchodziły niewiasty do komory, w której były złożone pasemka lnu złotego, aby ich nie zabrakło. Cóżby one naówczas poczęły? U kądzieli, gdy się mowy przebrało o tem, kto zmarł tej nocy, kto się pobił, kogo do jamy wsadzono za karę, kto zachorzał i wyzdrowiał, najprędzej się brała cicha piosenka stara, odwieczna, tęskna, czasem napół pogańska, że się ją śpiewać obawiano, chyba, gdy o. Gedeon był

daleko. Ksiądz bowiem zakazywał pieśni, wiedząc, że w nich stara wiara się chowała i na jej skrzydłach niewinnych nazad do serc nawróconych wlatywała.

Nucono półgłosem pocichu, ale pieśń rzecz zaraźliwa, więc gdy jedne poczęły ją usta, we wszystkich piersiach się odbiła i wiele nie wytrzymało, aby jej nie zawtórować, choć dla siebie.

Na tę izbę spojrzeć, choć przez drzwi szczelinę, — serce się młodzieży radowało... Pośrodku palił się ogień, przy którym to strawa, to napój, to lek jaki i ziele się gotowało prawie zawsze. Dokoła na ławach i na ziemi, podesłanej kożuchami, wieńcem siedziały niewiasty; pierwsze z kądzielami w ręku, drugie szyjąc, albo się dziećmi zabawiając, a były między niemi i piękne a młode, i średniego wieku i podstarzałe i zgrzybiałe, jedne z kosami długiemi, drugie w białych namitkach i chustach, inne ręcznikami pozawijane, jak się udało...

Tutaj swoje miejsce na ławie poczestne znalazła i Spytkowa, sadząc córkę przy sobie. Do kądzieli Rusinka nie miała ochoty wielkiej, utrzymując, że od młodu jedwabiem szyła chusty i więcej się niczem nie zajmowała... Kasia zato przędła za dwoje. Marcie rzadko się usta zamykały, córka prawie mówić nie śmiała, ale oczy niebieskie biegały tem żywiej i widziały wszystko, to nawet, czego się drugie nie domyślały.

Już wszystkie przygody Spytkowej znały jej towarzyszki, — przecież powtarzaniom końca nie było. Gadatliwa niewiasta, gdy jej tu nie dawano ucha, wychodziła czasem na pomost, który z wyżek ku podwórcowi był otwarty, i tu sparłszy się przy słupie, gdy było kogo na dole stojącego do rozmowy i śmiechu wciągnąć, chętnie to czyniła. A że czarne oczy p. Marty pięknie jeszcze świeciły, znalazł się ktoś zawsze, co w nie się zapatrzył i w szczebiotaniu zasłuchał.

Zato Kasi wynijść nie było nigdzie wolno, a ona też sama, trwożliwa bardzo, ochoty ku temu nie miała. Obawiała się szczególniej Mszczuja Doliwy, który, nic

do czynienia nie mając, a w sercu nosząc obrazek dziewczęcia, czatował na nią ciągle. Jeśli ją przypadkiem matka gdzie posłała, pewną była, że zawsze Mszczuj się jej z pokłonem i uśmiechem nastręczy. Rumieniło się dziewczę, odwracało oczy, nie odpowiadało na jedno, ni na drugie i uciekało co prędzej.

Od Doliwy tak ujść było łatwo, od Tomka Beliny prawie niepodobna. Któż wie zresztą, czy Kasia i od tegoby uciekać chciała? Innemi jakoś oczyma patrzała nań ukradkiem, a raz czy dwa, choć jej spojrzał w same oczy, nierychło spuściła powieki.

Synowi gospodarza raz wraz też wypadała jakaś potrzeba do pani matki od ojca, lub też do siostry od siebie. On jeden z mężczyzn miał wstęp swobodny na te zwyżki zaklęte, na które innym dostać się nie było wolno. Korzystał też z tego teraz częściej, niż kiedy.

Zdana czy tajemnicę braterską odgadła, czy ją powierzoną miała, — dopomagała mu serdecznie. Ledwie się Tomek pokazał na progu, wnet Zdana, której szukał, stawała przy Kasi, tak, że idąc do siostry, do Spytkównej pójść musiał. I tak obok wiązała się rozmowa jej z bratem, a choć dziewczę nie uczone było, jakimś instynktem wiedziało, co mówić i jakby się słówkami Tomka i Kasia podzielić mogła.

Pierwszych dni, gdy się to poczynało, Kasia tylko zapłonęła, oczy spuściła na kądziołkę i przędła, a ręczęta się jej trzęsły. Potem strach ten pierwszy przechodzić począł, ośmieliły się źrenice spojrzeć ukradkiem, usta napół uśmiechnąć... Naprzód spoglądała na macierz, czy nie podpatruje, a gdy ta czem innem była zajęta, zerknęła na Tomka. Jemu to mowę przerywało, jak uciął — nieprędko wracał do słowa.

Zdana była nad wiek rozumna, choć mało co od Kasi starsza, a była też piękna i rozkwitła pod macierzyńskim oddechem na podziw świeżo i wesoło... Od Kasi była słuszniejsza, smukła jak brzózka, ruchy miała sarenki młodej, a uśmiech kukułki na wiosnę, a trzpiotowatość wróbelka... W ciemnych jej oczach siedział uśmieszek figlarny, nawet gdy się różowe usta

gniewać chciały. Było to matki kochanie, ojca pieszczota, domowników cacko lube, a teraz wszystkich gości pociechą.

Starej Belinowej, choć się krzątała, prędko ruszać się ciężko było, Zdanę, zato nie kosztowały skoki, bieganie i wieczna krętanina, a na miejscu, gdzie siedziała z kądzielą, przęślica z nią skakała, wrzeciono warczało, len się uśmiechał i trząsł brodą.

Takie to było jeszcze młode, że samo pewnie nie próbowało nic, nie doświadczyło niczego, ale od czegoż piosenka, która przynosi tęsknotę, serce rozkołysać umie i w szerokie pola myśl goni? Zdanie serce aż biło z radości, gdy myślała, że bratu do kochania pomoże, a sama się też żywemu przypatrzy kochaniu. Pomagała szczerze... Wkrótce z Kasią jak siostry były, a jeśli szły razem, to nieinaczej tylko rękami się opasawszy, główka przy główce, usta przy ustach... Często, w wielkiej izbie wyszeptać się nie mogąc, aby ich nie podsłuchano, wysuwały się razem do ciemnej komory, a jak tam stanęły w kątku i mówić poczęły, śmiać się i ściskać, końca temu nie było.

Dopiero się obejrzała Spytkowa, że córki nie było, a była o nią w ciągłym strachu, — nuż wołać, gdzie się Kasia podziała... Kasia czerwona bieży z komory do matki, a Zdana z nią, żeby matce łajać jej nie dać. I oto obie już siedzą, kądziołki pobrały, oczy pospuszczały jak trusie, tylko — co jedna spojrzy na drugą, to im się usta do śmiechu biorą i Zdana je ręką zakrywa, a Kasia końcem fartuszka.

Mszczujowi się nie wiodło. Wychodziła doń Spytkowa, bo jej trzeba było kogoś, coby jej świeżemi słuchał uszami. Kasi się doczekać nie mógł. Zobaczył ją czasem na mszy, ale tak zasłonioną białym ręcznikiem, że i poznać jej było trudno. Nigdy nie spojrzała nań nawet. Gryzł się Doliwa, a naturę mając braterską, mówił sobie, jak to w owe czasy wszyscy:

— Gwałtem porwę dziewczynę, a moją być musi... Gdzie, jak-miał ją porwać, gdy tu dla niego samego

i dla wszystkich niebezpieczeństwo wisiało nad głową — młodzież się nie pyta!

Dojrzał tylko Mszczuj na zgryzotę swą większą, że tam na wyżki Tomko chodził często, siadywał długo i powziął ku niemu nienawiść okrutną. Zazdrość go paliła... Raz nawet nie strzymał — i gdy Spytkowa na dół zeszła dla rozmowy, bo dnia tego była bardzo na Mszczuja łaskawą — szepnął jej do ucha:

— Niechno miłość wasza dobrze córki strzeże! Dla nas góra zamknięta, a Tomkowi cały dzień do wieczora otwarta. I co pójdzie, to siedzi...

Rozśmiała się pani Marta.

— Jako żywo — rzekła — Tomko do matki i siostry przychodzi, aniby śmiał przystąpić do Kasi, bo, choć syn gospodarza — dałabym mu, dała, ażby popamiętał! Toż dziecko, ani jej co w głowie, ani jeszcze...

A tak tego pewną być musiała Spytkowa, że się ani obejrzała dnia tego, gdy Tomko przybył do Zdany; Zdana się przysunęła do Kasi i rozmowa wszczęła się między siostrą a bratem, w której Tomko umiał powiedzieć tej, co go niby nie słuchała, że ją kochał nad życie i dałby żywot za nią. Kasia tego nie brała widać do siebie, bo spojrzała nań oczyma jasnemi, potrzymała je na nim długo, potem furknęło wrzeciono, zakręciła się nić, wrzeciono na ziemię upadło, Tomko schylił się po nie, — gdy je podawał, ręce się może ścisnęły, a pani matka nic a nic nie widziała...

Nieraz tak Mszczuj, w rozpaczy dzień cały na czatach spędziwszy w podwórzu, szedł do wielkiej izby, kędy siedziała starszyzna i w kąt się zaszywszy, w rękach twarz skrył, a nic nie słysząc, o swojem tylko utrapieniu przemyśliwał.

Do tej izby czasem zaszedł i stary Belina, na ławie przysiadł i do rozmowy się wmieszał — krótkiem słowem. Siedział tu całe dnie, nie wychodząc prawie, Lasota, któremu się powoli przygajały rany, — leżał, mało co się ruszając, młody Toporczyk, było i innych wielu.

Tęsknili tak razem za łowami, domami, za swobo-

dą, a choćby za wojną, byle ich z tych oków i więzów wydobyła, bo tu się wszyscy niewolnikami czuli... Nikt nie wiedział, jak długo ma się pociągnąć ta niewola i na czem skończyć się może, to tylko wszyscy czuli, że gdy przyjdzie ostatnia godzina, posiekać się dadzą i wszyscy padną raczej, niż czerni lub Masławowi w niewolę oddadzą.

Masław był najczęstszym ich rozhoworów przedmiotem. Mało kto z nich go nie znał, nie widział, — starsi pamiętali, gdy go targali za uszy, młodsi, że go z przedsieni wypychali i nieraz potłukli... Nikt naówczas w chłopaku, co się każdemu podlizać umiał i nazajutrz po guzie rękę, co go wybiła, całował, nie domyślał się zuchwalca, który kraj miał zawichrzyć i pana wygnać! Rosło to złe ziele, jak pokrzywa pod płotem, która, gdy się z ziemi wytyka, ani jej widać, — niewiadomo kiedy do góry się bierze, aż i płot sam zakrywa.

Wzdychali starsi, że naówczas przeczucia nie mieli, aby go kto był w kącie przydusił i precz cisnął zawczasu. Słowaby mu wówczas nie rzekł nikt, bo Masław za sobą nikogo nie miał. Potem dopiero, gdy Mieszko zasłabł, zmysły mu się pomieszały, szaleć począł, a rozumu zabrakło, — chytry dworak wziął górę nad panem... I stało się, co się stać miało, — jeden syn pastuszy dwu wielkich królów dzieło obalił, dając je czerni tratować nogami!

Po odjeździe Wszebora — nie wiedziano na Horodyszczu nic, co się na świecie działo. Głuche milczenie je otaczało. Tylko z pomostów patrząc, coraz częściej się trafiało widzieć ludzi jakichś, wychodzących z lasu, którzy się gródkowi przypatrywali. Zjawiali się oni to z jednej strony, to z drugiej w różnych dnia porach, a raz kilku na koniach podjechało tak blisko, że z za ostrokołów do nich strzały puszczono, a jedna w czapce utkwiła temu, co najbliżej stał. Ruszył, krzycząc i ujlnąc — i znikli w lesie.

Byli to widocznie wysłani od czerni na zwiady ludzie, aby się wywiedzieć, czy z gródka nie uszli za-

mknięci w nim. Pilnowano go więc pewnie dokoła, czekano, aby osłabli z głodu znużyli się siedzeniem, wyjedli zapasy, by ich potem łatwiej zagarnąć było.

Chociaż czuli się tak otoczeni, trudno było wstrzymać młodzież od tego, aby się czasem nie wyrwała do lasu. Belina się zrazu temu przeciwił, potem, zważając, że mięsa dla przeżywienia się potrzeba, a w lesie go łatwo dostać, zwłaszcza gdy z pierwszych łowów przyciągnięto dwa łosie i sarn kilka — puszczał ochotników na niebezpieczną wyprawę. Każdego dnia, gdy przyszło do wycieczki, cisnęli się i prosili wszyscy niemal, oprócz starców i chorych; silniejszych tylko i tych, co dobre konie mieli, puszczał Belina... A kto sam nie mógł iść, bo liczbie wielkiej oddalać się nie dozwalał — ten stawał przynajmniej na pomostach, aby się przypatrzeć i oczyma za szczęśliwymi pogonić... Poszło we zwyczaj niemal codzień zkolei kilku lub kilkunastu młodszych wypuszczać ze psy, aby szczęścia próbowali. Rzadko się trafiło, by wrócili z niewielką zdobyczą. Lasy były zwierza pełne, a że w dalszych ostępach płoszyły je przechodzące zbrojne kupy, chroniło się to bliżej Horodyszcza, gdzie ciszej było i spokojniej.

Jednego dnia Mszczuj, zmęczony próżnemi czaty na piękną Kasię, która się nie pokazywała, zapragnął pójść z innymi. Sprzykrzyło mu się czekać na brata, którego powrotu codzień się spodziewał, chcąc z nim razem spiknąć się na młodego Belinę, aby go od Spytkównej odsadzić.

Wszebór powinien był już przyjść nazad, jeżeli nie zginął. Mówiono o tem co dnia, a Spytkowa za jedno ręczyła tylko, że jej wierny sługa Sobek nie zaginie i z największego potrafi się wyśliznąć niebezpieczeństwa.

Ranek tego dnia, gdy Mszczuj się wybierał, mglisty był i chłodny, dla psów, co po wilgoci łatwiej zwierza tropiły, dobry, — dla myśliwych niepowabny. Wszelako naparli się ruszyć, bo im miejscowi ludzie dobrą knieję ukazać obiecywali i zawczasu dziesięciu młodzieży, dobrze zbrojnych, tak, aby się i z ludźmi zmierzyć

nie lękali, za wrota się wydobywali. Mszczuj, który po raz pierwszy od zamknięcia na Horodyszczu dostał się na swobodę, poweselał, gdy z tej ciasnoty się dobywszy, szerokie ujrzał pole i las. Dusza mu się rozradowała, a że i inni z tąż ochotą jechali, żwawo się w puszczę za przewodnikiem posunęli.

Zaledwie wjechawszy w puszczę, szczęśliwie trafili na stado sarn, — dwie padło, radość była wielka. Z otuchą szli dalej, gdzie im łosie przyobiecywano. W istocie udało się im je ostąpić na łące, lecz czujne stado ruszyło wnet; na drodze stojący Janek Kaniowa, który im zaprzeć chciał drogę, obalony z koniem został i stratowany. Mimo to dwa łosie były ranne, za niemi puścili się w pogoń myśliwi, bo zwalniały kroku i krwią broczyły. Ciskano i strzelano, usiłując je dostać. Zwierz silny, mimo ran uchodził, zapędzili się za niemi głębiej w puszczę, niż chcieli, i było już dobrze z południa, gdy jednego z łosiów dostawszy, nareszcie do powrotu się brać zaczęli. Nim go za chrapy uwiązano do koni, co za sobą wlec miały, nim się obwołali wszyscy łowcę, a Kaniowę zbitego na nosze między konie włożono, zmierzchać się potrosze zaczęło. Pośpieszać było niesposób, tak, że przewodnik dopiero ku północy powrót na Horodyszcze obiecywał. Już byli napół drogi ku niemu, gdy Mszczuj na parę staj przed sobą ujrzał dwu konnych, a po jednym z koni zdało mu się, że poznał brata. Serce w nim było poczciwe, choć krew gorąca; żal, jaki oba do siebie mieli, wnet ustąpił, puścił się za koniem, nawołując Wszebora.

On to w istocie był, wracający z wyprawy. Z równą radością oba rzucili się na szyję i ściskać poczęli; drudzy też nadjeżdżający jęli witać przybywającego, zarzucając pytaniami. Wszebór dowiadywał się gorąco, co się na Horodyszczu działo, a cieszył tem, że ich na łowach spotkał, bo to samo dowodziło, że gródek nie był obsaczony. Radując się tak wszyscy wcale już zapomnieli, że na ostrożności mieć się było potrzeba. Noc nadchodziła ciemna, gdy na skraju lasu stanęli.

Sobek, który i teraz przodem jechał, nagle syknął, nakazując się wstrzymać...

Teraz dopiero się opamiętali i oczy zwrócili na dolinę... Zostawili ją z rana, wyjeżdżając, pustą, obecnie w mroku nocy ujrzeli nad rzeczką porozpalane ogniska... Było ich kilka tylko, ale koło nich dostrzec było można ruszające się ludu gromady. Nie mogła to być załoga, wypuszczona z Horodyszcza, bo nigdy Belina jej nie dawał wyruszać, zwłaszcza pod noc; nawet gdy umarłego grzebać przyszło, do rana odkładano.

Nie ulegało wątpliwości, iż czerń, co na Horodyszcze czatowała, przyszła je osaczać.

Ci, co przed chwilą jeszcze jechali wesoło, spodziewając się dostać na nocleg do swoich, skamienieli na ten widok, który im zgubę wróżył.

Słowa nikt wyrzec nie śmiał. Oglądano się, co czynić z sobą. Niecierpliwi chcieli zwierza, rzuciwszy, sami wnet uchodzić w lasy. Sobek stary jeden głowy nie stracił. Zbliżył się do Wszebora i Mszczuja, zalecając im, ażeby cicho stanąwszy pod drzewami, powrotu jego czekali.

Nadzieja nie była stracona, jak mówił, kupa ludzi nie zdawała się zbyt liczną. Sama liczba ognisk dowodziła, iż przybyła gromada na zwiady i na czaty tylko była wysłaną.

Oddawszy konia, Sobek znikł w ciemnościach. Czekano. Nikt od tych złowrogich ognisk oczów nie mógł odwrócić. Roiło się około nich ludem, którego cienie na jasnem tle płomieni i dymów się poruszały. Zdala czasem tylko wiatr gwar ku nim donosił. Na Horodyszczu widać też było ruch około okopów i poza ostrokołami kilka razy przesunęły się zapalone żagwie, czuwano...

Sobka długo zpowrotem nie było. Przywlókł się wreszcie zdyszany, zwiastując, że ludzi było kilkuset może, a między nimi dowódcy lepiej uzbrojeni. Leżało to nad rzeczką tak, iż lasem, okrążając dolinę dokoła, z przeciwnej strony cichaczem do wrót się było można dostać, nie ocierając się o nich. Trzeba tylko

było jechać w milczeniu, bodaj koniom obwiązawszy nogi, żeby tętent ich nie zdradził.

Za radą Sobka poszli wszyscy... Nierychło wszakże tą drogą na Horodyszcze dostać się było można i dwa razy przychodziło krętą Olszankę przebywać w bród, a grząskie trzęsawisko po kępinach. W milczeniu ruszył pochód ów, ciągle mając na oczach ogniska, którym z różnych stron się mogli przypatrzeć i siłę oblegających mniej więcej obliczyć.

Widać było od skraju lasu jednych, piekących nad ogniem mięso, drugich warzących strawę, dokładających ognia. Czuwali wszyscy, obawiając się może, aby ich z gródka nocą wycieczka nie napadła. Na Horodyszczu trzecie już kury piejące słychać było, gdy mała gromadka stanęła w tem miejscu, z którego doliną już bez osłony ku Horodyszczu puścić się miała.

Wzięto w środek rannego Kaniowę, który, opończą się osłoniwszy, na śmierć się w milczeniu gotował, ścisnęli się jeźdźcy, oszczepy i topory nagotowano i wystąpili z lasu.

Sobek i tu przodował pieszo, konia za uzdę wiodąc za sobą, gotów w razie niebezpieczeństwa skoczyć na niego... Gromady stały dosyć daleko, nie zważając bardzo na to, co się w pustej działo dolinie... Niebezpieczeństwo dopiero mogło przyjść, gdy się ku okopom zbliżą, na które ku wnijściu zamkowemu blask od ognisk padał. Wyszedłszy z cienia na oświecone pole, musieli się puścić szybko ku wrotom, tak, aby je miano czas otworzyć, nimby owa gromada zerwała się i rzuciła za nimi. Wszystko to było umówionem i dotąd wiodło się szczęśliwie. Doliwom, co zdala na gromady patrzyli, serce się ściskało, że dla rannego Kaniowy nie mogli wpaść na te kupy, bo się im zdało, iżby ich łatwo, na karki spadłszy, potłukli.

Sobek też to odradzał.

Jechali w milczeniu ściśnięci, patrząc ku okopom, azali ich tam zobaczą, aby wrota dla nich trzymali w gotowości do otwarcia. Gdy na światło wjechali, puścili konie kłusem ku górze.

Sobek, który miał oko na wszystko, ujrzał w tej chwili, jak około ognisk zaczęli powstawać ludzie, podnosić się i nagle gwar głuchy zmienił się w krzyk straszliwy. Poruszyło się, co żyło. Zdążali tymczasem kupką ku wrotom, a Sobek chustą ku ostrokołom znaki dawał. Lecz tuż i gromady się sunęły za nimi, biegły tłumem w nieładzie z podniesionemi pałkami. Doganiały bliżej coraz, naciskając z wrzaskiem. Doliwowie, jadący ostatni, do toporów się wzięli, bo tuż, tuż czuć było następujących. Kilka strzał świsnęło w powietrzu, pierwsze konie dobiły się do wrót, ale tych nie otwierano jeszcze. Odwrócił się Mszczuj i Wszebór ku obronie, ale zaledwie czas mieli łbami się końskiemi zastawić, gdy już siec było potrzeba, bo ich ręce napastników ściągały z koni.

Straszna to była chwila, nim nareszcie opadły drągi i wrota się otwarły tak, ażeby pierwsi za nie skryć się mogli. Doliwowie toporami cięli bezprzytomni, cofając się ku bramie. Mszczuj miał oszczepem rękę zranioną, Wszebór strzałę w twarzy, gdy z wrzawy i tłoku znaleźli się bezpieczni za wrotami, gdzie oba z koni spadli.

Wnet zatrzaśnięto znowu wrota i na kupę napastników posypały się pociski z za ostrokołu, z pomostu puszczono kłodę, która stoczyła się na karki, obaliła najbliższych, zgniotła kilku, a resztę do ustąpienia zmusiła.

Gdy oba ranni podnieśli się z ziemi okrwawieni, ujrzeli nad sobą starego Belinę, który stał blady i milczący. Poza nim cisnęła się niemal cała ludność Horodyszcza, okrzykując cudownie ocalonych.

Zdziwili się wszyscy, ujrzawszy tu Wszebora, który z policzka dobywał uwięzłą strzałę, a krwawą dłoń podawał do uścisku.

Tymczasem na pomostach i okopach, gdzie dowodził młody Belina ludźmi zebranymi, trwała wrzawa, rzucano kamienie i kupa, co się była nacisnęła ku wrotom, wnet ustępować zaczęła. Myśliwi szli do izby na dole, gdzie im rany trzeba było obmyć i obwiązać.

Popłoszone niewiasty z drugiego podwórca pozbiegały patrzeć choć zdala, co się dzieje; wyszła też i Spytkowa, która Wszebora witała właśnie, gdy Sobek jej do nóg przypadł.

— Miłościwa pani! — zawołał, składając ręce — radujcie się, miłościwa pani, niosę wam nowinę dobrą i pozdrowienie. Nasz pan miłościwy żyje!

Słysząc to, krzyknęła Marta, rzuciła się i padła zemdlona, ale niewiasty ją wnet ocuciły. Była li to radość wielka, czy inne uczucie, trudno odgadnąć; to pewna, że jej się łzy puściły obfite i że całą noc, rozpytawszy się wprzód Sobka, jęczała i płakała.

Nikt też tej nocy, oprócz dzieci, nie zasnął na Horodyszczu; czuwano na wałach, w izbie, na podwórcach palono ognie i czekano dnia, ażeby się gromadzie, która na dolinie obozowała, lepiej przypatrzeć a obliczyć ją.

Wszebór, choć ranny i obwiązany, był tej myśli, aby, jeśli się napastnicy niezbyt licznymi okażą, wypaść na nich z okopów nagle i szczęścia w otwartem polu próbować. Belina nie mówił na to nic, lecz się namarszczył tylko, a głową potrząsł znacząco.

Przedewszystkiem musiał opowiadać Doliwa, co w drodze sprawił, widział i z czem powracał.

Było tu dla wszystkich nowin poddostatkiem, jakie komu mogły przypaść do smaku. Potęga Masława dla jednych, nadzieje starego Trepki dla drugich. Umysły się rozgrzały, duch nowy wstąpił. Masław, którego siłę groźną obliczał Wszebór, nie wydawał się strasznym. Ochotniej wierzyli w powrót Kazimierza i pomoc niemiecką, niż w pogan przewagę.

Z Beliny jednego poznać było trudno, co o obojgu trzymał, twarz starca ani większej radości, ani trwogi nie zdradzała. Słuchał pilnie, ważył i... milczał.

VIII.

Nazajutrz na grodzisku od świtu ruch był ogromny, wszystko się wysypało ku ostrokołom, aby się gromadom, które nadciągnęły, przypatrywać. Bojaźliwe nawet niewiasty z dachów i wietrzników wyglądały.

Gdy dobrze rozedniało, postrzeżono w dolinie obozowisko wczorajsze rozpierzchłe, nie zdające się jeszcze przygotowywać do napaści. Jedni gotowali przy koniach strawę, drudzy chodzili około koni, inni zdali się odpoczywać, kilku tylko na koniach objeżdżało dokoła Horodyszcze, przyglądali mu się ze wszech stron, próbowali brodu na rzece i trzęsawicy na moczarach. Z tej strony bowiem, z której Horodyszcze wodą i błotami okolone było, okopy były niższe, zaniedbane, ostrokoły gorsze, a w niektórych miejscach, gdzie poopadały, pozatykano dziury płotami staremi i darnem.

Belina, który się rozglądał ciągle, dostrzegł łatwo, że na tę stronę rachować musiano, zwłaszcza, gdyby mrozy, których lada dzień można się było spodziewać, nadeszły.

Sam on teraz dopiero widział, iż gródek od rzeczki łatwiejszym był do zdobycia i, nie tracąc czasu, wnet ludzi spędzić kazał, aby okopy poprawić, a ostrokoły umocnić. Drzewa na nie inaczej dostać nie było można, jak rozbierając szopy, pod któremi się ludzie w słotny czas tulili. Nie było co rozmyślać: schronienie to musiano poświęcić.

Wzięto się wnet do roboty.

Popłoch, jaki przybycie gromad sprawił na zamku, odbijał się w całym życia jego trybie. Na mszę świętą ojca Gedeona zeszli się wszyscy, a niewiasty, słuchając jej, płakały i zawodziły. Ranni i bezsilni, co pod dachem musieli zostać, rozprawiali bez miary. Tym, co nie robili nic, to co robiono, wydawało się niedostatecznem i niedobrem. Wszebór, co w nic lepszego nie wierzył, miał jednak ochotę do wycieczki.

— Nie mamy nic do stracenia — mówił — tak czy

inak, ginąć nam potrzeba; przynajmniej się człek krwi paskudnej napije i gniew spędzi na karkach tej dziczy...

Wszedł na to ciągle się krzątający i obchodzący wszystkie kąty Belina; sprawa się wytoczyła do niego, wąsa pokręcił.

— Ani się ważcie! — rzekł. — Tu nikt beze mnie kroku nie stąpi, a ja mówię wam — nie pozwalam!

To rzekłszy, Belina obejrzał się tylko i poszedł wolnym krokiem, nie czekając odpowiedzi.

Po wyjściu starego z izby został w niej tylko u komina stary Lasota, w kącie Toporczyk, na ziemi potłuczony Kaniowa i kilku innych niedobitków... Czas jakiś panowało milczenie; Wszebór, chodząc, mruczał tylko coś, sam do siebie gadając. Drudzy go oczyma mierzyli.

Wreszcie tyle się w nim uzbierało przekory i niesmaku, że coraz głośniej, wpół do siebie, wpół do drugich, u ogniska stanąwszy, mówić począł:

— To się wszystko na nic nie zdało. Na Masława tu czekać, jedno co na śmierć. Przyjdzie on z taką gromadą, że nam wały, jak mrowie okryje i bronić się nie starczy czem. Jeść codzień jest mniej, a wkońcu nas głód zmoże. Człek po polewce siły nie ma.

Słysząc to, niektórzy ku niemu pozwracali głowy.

— A cóż czynić, — spytał Lasota — kiedyś taki mądry? co lepszego?

— Niewiasty i chorych w środek zabrać, zbrojnym się ludem otoczyć — i przebojem uchodzić w lasy — zawołał Wszebór. — Trafimy na Trepkę, albo na innych, złączym się z nimi, a choćby ginąć przyszło — toć razem!!

— A ludziska ci, co się schronili tak, jak bez broni, cóż z nimi? — spytał Toporczyk.

— Im czerń nie zrobi nic, ich i Horodyszcze można porzucić, żałować niema czego — mruczał Wszebór. — Co my dla nich ginąć mamy? Tym się nic nie stanie!

Nie odpowiedziano Wszeborowi.

— Kto wie, co lepsze? — mruknął Kaniowa.

— Belina stary uparty, mówić z nim nawet o tem nie można — dodał Lasota.

— W łaskę Bożą ufa — rzekł Toporczyk. — Słyszeliście, co o. Gedeon codzień powtarza.

— Dobra łaska Boża, a no, człek się i sam ratować powinien — dodał Wszebór. — Belinie swojego dostatku i ojcowizny żal, dlatego nas tu gotów wszystkich zamorzyć, by przy swych śmieciach pozostał.

Syknął stary Lasota.

— Nie mów tego...

— Co nie mam mówić, gdy myślę — odrzekł Wszebór.

Zamilkli inni, gdy z kąta jakiś drab wychudły do Doliwy przystąpił.

— Hm! — rzekł — albo to my jego niewolnicy, czy co, byśmy koniecznie słuchali? Mamyć rozum swój i wolę swą, zbierzmy się do kupy i idźmy w las, kto nam zabroni? Ci, co chcą tutaj gnić — wola ich.

Wszebór tak pochwycony za słowo, zmieszał się nieco. Widział po twarzach innych, że z nim trzymać nie chcieli, dał więc temu, co wystąpił, znak, by zamilkł.

Stary ów, chudy, obwinięty opończą na gołe ciało ziemianin, zamruczawszy znów, w kąt poszedł, Mszczuj brata za rękę pociągnął.

— Chodźmy stąd.

Wyszedłszy we dwu, poczęli wnet narzekać, a jeden drugiemu oleju do ognia dolewać. Wszebór na Beliny starość i niedołęstwo walił wszystko, Mszczuj mu pomagał.

— Oni nas tu wszystkich zgubią! — wołał.

— Doczekawszy się Masława na Horodyszczu, tylko się spodziewać śmierci, więcej nic — mówił Wszebór. — Nie obronimy się im. Zabraknie wszystkiego.

— Kiedy tak — dodał Mszczuj — zbierajmy tych, co z nami narówni myślą i, choćby bramę łamać przyszło, idźmy stąd precz.

— Zbierzemyż my ich dużo? — spytał Wszebór.

Mszczuj o tem nie wątpił. Naradzać się poczęli w cichości, pochyliwszy jeden drugiemu do uszów. — Wszebór tylko żałował, że się wygadał zawczasu a nieostrożnie, aby Lasota z drugimi nie donieśli Belinom i nie miano ich na oku. Mszczuj, który gorętszy jeszcze był od brata, lekce to sobie ważył.

— Trzeba swoje robić pocichu — musi się udać. Ale — dodał, głos zniżając — czyż my Spytkową tu im z córką mamy zostawić? hę!

— Niedoczekanie! — zawołał Wszebór.

— A jak z nami nie zechce?

Spojrzeli sobie w oczy i poszeptali pocichu

— Czemu nie można? — głośniej rzekł Mszczuj. — Usta choćby zawiązać przyszło i na ręku je wynosić, toć to dla nich ocalenie.

— Porwiemy! No, dobrze, byleśmy moc mieli — odparł Wszebór — a potem co?

Z tej wielkiej zgody przed chwilą nagle w oczach ogień zapłonął. Wahał się jeden i drugi powiedzieć, co myśli, ani ten, ani ów ustąpić nie chciał. Zrozumiawszy to, bo się dobrze znali — umilkli... Wszystko się o zwierzynę rozbiło, — dalej nie szło. Jeden się za ostrokół zapatrzył, drugi w podwórze i stali tak, nie mówiąc już do siebie.

Belinowie tymczasem we dwu, przybrawszy sobie do pomocy kilku zaufanych, nad ludem stali, co przy okopach od rzeczki pracował. Tu ziemię noszono, koły wbijano, a nieopodal szopę walono, aby z niej drzewo obrobić na pale. Nie szło to raźnie, ludzie byli leżeniem i złą strawą i długiem rozleniwieniem osłabli. Dano tego dnia po kawałku mięsa, po kubku kwaśnego piwa, i to nie pomogło wiele.

W dolinie do południa ci, co przyciągnęli, jak stali tak się nie ruszyli. Miano ich na oku. Najadłszy się i napiwszy dopiero, kilku się z nich na koniach ku wrotom poczęło przysuwać. Dano znać Belinie, który co najlepszych ludzi z łukami postawił u wrót i kazał, gdy na strzał przyjdą, puścić na nich strzały. Lecz, że widzieli gotowość na okopach, stanęli w takiej odległo-

ści, że ich i dosiąc nie było można. A że cisza była wielka, bo i wiatru najmniejszego, słowa zdaleka dolatywały.

Pijana gromada krzyczała ku grodzisku, potrząsając powrozami, które u pasów miała.

— Gotujcie ręce na pęta. Niedługo was wykurzym z tej jamy!

A tu z wałów nawzajem jak huknęli:

— Psie syny! pogany! zbóje! Niedoczekanie wasze! Wszyscy tu padniecie!!

Z jednej i z drugiej strony pięści powystawiano i co kto miał na sercu i w gębie, wyplunął.

Tak zeszedł prawie dzień cały w nieustannym ruchu i zajęciu, a na Doliwów, chodzących tu i owdzie, nie zważano wcale. Wszeborowi chciało się koniecznie dostać do Spytkowej, albo ją ku sobie wyprosić, ale Sobek powiadał, że cały niemal dzień przeleżała, płacząc i nie mogąc się utulić, tak ją wiadomość o mężu poruszyła.

Ku wieczorowi przecie się to jakoś uśmierzyło, bo z oczyma zapłakanemi ujrzano wychodzącą na zwyżki panią Martę, a Wszebór, jak tylko to dojrzał, zaraz ku niej pośpieszył. Chociaż zakaz był dla mężczyzn, iż się do niewiast na pomost dobywać nie było wolno im, nie zważał na to Doliwa.

Pani była dosyć rada, że tak żwawo się do niej garnął, choć to już teraz na nic przydać się nie mogło. Wszeborowi szło o to, aby ją tu podbuntować i do dobrowolnego ujścia z Horodyszcza namówić, bo już się tej myśli zbyć nie mógł, dowiadując się naprzód o nią i o córkę, a wnet nad nieszczęśliwym stanem Horodyszcza poczynając rozwodzić żale.

— My tu nic dobrego nie wysiedzim — odezwał się półgłosem. — Jam ci przecie niedarmo jeździł i zdrowie narażał; na swem oczy widział, jaką ma potęgę Masław. Jak on tu przyjdzie, do nogi nas wybije.

Spytkowa aż krzyknęła.

— Niemaż na to ratunku!?

— Byłby, gdyby ludzie rozum mieć chcieli — odezwał się Wszebór — a toż nam się wybić stąd łatwo, i ze swymi gdzieś połączyć. Nie wszyscy wyginęli. Lepiej w polu się bronić kupce, niż tu tysiącom w tej dziurze. A no Belina stary — uparty.

Na Belinów Spytkowa nic złego słuchać nie była rada. Spojrzała ostro; obawiała się ich, choć nie lubiła...

— Nie mówcie na niego nic, on musi wiedzieć, co czyni!

— A mnie się zda, że już nie wie — odparł Wszebór. — Jemu o swoje mienie chodzi, którego dosyć jest, a teby nierad rzucił.

Głową potrzęsła Marta, nie mówiąc nic.

— Mnie waszej miłości i córki wielce żal — dodał Doliwa. — Abyście się przez ten upór na ręce chłopskie nie dostały!

Aż krzyknęła, zasłaniając sobie oczy, Spytkowa.

— Bóg tego nie dopuści! — zawołała, płacząc. A po chwili rzekła cicho:

— Cóż począć? co począć! Żadnej-że niema rady?

— Jest ino ta jedna, aby stąd przebojem uchodzić póki czas.

— Dokąd?

— Swoich znajdziemy gdzieś, tak, jakeśmy teraz ich znaleźli — mówił Doliwa. — Albo to obozowisko, gdzie waszej miłości mąż się znajduje, lub inne. Nie wszystko wyginęło rycerstwo.

— To i na nie Masław następuje, nie da mu spoczynku...

— Ale uchodzić od niego szerokie mamy pole, choćby na Ruś, choć do Niemiec, wszędzie bezpieczniej, niż tutaj. Jedźcie wasza miłość z nami!

Ulękła się tych wyrazów Spytkowa tak, że się schronić chciała, aby więcej nie słyszeć. Wszebór ją zatrzymał gwałtem, zaklinając, aby jeśli sama nie zechce z nimi, przynajmniej ich nie wydawała Belinom.

Musiała mu tedy na krzyżyku przysiąc, iż milczeć będzie, a namyśli się sama, co ma czynić. Tak zaś

była poruszoną, że już więcej mówić i słuchać nie mogąc, wnet się do izby zabrała rozmyślać nad tem, co jej Wszebór powierzył.

W niewieściej izbie dnia tego także niepokój panował. To jedna, to druga z kobiet wyrywała się na poddasze, chcąc coś zobaczyć, i przynosiła potem jakieś wieści. Straszyły się wzajem i pocieszały.

Ile razy Tomko wszedł, padały nań wszystkich wejrzenia, badając go, ale na jego, jak i na ojca twarzy nic poznać nie było można; obie równie spokojne i poważne były, czy przychodziło niebezpieczeństwo czy otucha. Tylko ilekroć się mógł Tomko ze Zdaną zbliżyć do Kasi, wyjaśniały mu się oczy, śmiały usta i zdawał się mieć najlepszą nadzieję.

Bartnik Sobek, choć wczorajszą drogą zbity, choć na spytkach przed swą panią długo stać musiał, ledwie jaką godzinę wyleżawszy koło koni na słomie, bo innego miejsca nie miał i nie chciał, wstał zaraz, nie mogąc w bezczynności wytrzymać. Człek to był tak z natury swej ruchawy i ciekawy, że mu, gdy nic nie czynił, ręce świerzbiały.

Tego też dnia powlókł się Sobek naprzód z drugimi pod ostrokół na wały, a choć drudzy tu od rana do nocy przebywali, zapatrzywszy się na gromadę, on długo nie wytrwał. Obrócił się do robotników na drugą stronę i tu znowu przystanąć dłużej nie było wygodnie, bo się ludzie ruszali i mijali, a w ciasnocie potrącali i jeden drugiemu zawadzał.

Obszedłszy grodzisko, Sobek powrócił do szopy i koni. Ściana tylko z płotu przegradzała go od tej kleci, pod którą się tuliło zbiegowisko prostego ludu w pierwszem podwórcu. Choć stąd dużo wypędzono na robotę przy wałach, zostali starsi, żony i dzieci.

Szmer, płacz i stękania słychać było. Sobek, sparłszy się o ścianę, pół drzemał, pół myślał, jakąby rękom dać robotę. Nie było się do czego wziąć... Gdy tak dumał, poczęły go dochodzić głosy z za chróścianej ściany, których, choć słuchaćby nie chciał, to musiał. Narzekania to były.

— Oni o sobie myślą — mówił stary — co im tam, gdy z nas który zdechnie — aby sami byli cali...

— Z głodu mrzemy — rzekł drugi.

— Jeszcze do roboty pędzą, choć jeść nie dają — wtrącił głos kobiecy.

— Dobrze tym, co pomarli — mówił inny. — Ot poszli do swoich i biedy nie znają.

— To się dopiero zacznie, jak nas zewsząd osadzą — rzekł stary głos. — Oni będą z łuków strzelali, a my musim ciężkie belki dźwigać i kamienie; a kogo strzała popadnie, jeśli nie nas! Oni mają zbroje i kaftany i tarcze, a my co? Sukmanę strzała przebije.

— Pewnie, pewnie — żywiej począł inny — a no niech nadejdzie więcej, trzeba sobie rady dawać... Nie myślą o nas, pomyślimy o sobie. Co nam zrobią gorszego ot tamci? Toż to nasi... Jak się z nimi zwąchamy, niech ziemianie idą w pęta... my choć na pogorzeliska wrócimy.

— A jakże z nimi się dogadać? — odparł stary. — Albo to łatwo? Myślisz, że oni na nas oka nie mają, albo nam wierzą? Widzą oni, co u nas pod skórą.

— Dogadać się — podchwycił pierwszy — albo to sposobu niema?

— A jakiż? jakiż?

— Nocką się spuścić z wałów łatwo — rzekł, śmiejąc się, zapytany.

Była chwila milczenia długa i szepty.

— Tak i zrobić — rzekł stary — a nie, to wyzdychamy wszyscy.

— Pogadajcie z Rzepcem, — pogadajcie z Wiechanem...

— Czemu nie?

— Trzeba myśleć o sobie.

Szeptano tak, że Sobek szmer tylko słyszał, potem złe uśmiechy tłumione, prędkie i żywe mruczenie. A tego, co pochwycił, dosyć mu było.

Ostrożnie wstał ze słomy, aby go nie posłyszano, chwilę postał, wrócił z szopy na pierwsze podwórze, chcąc na oczy widzieć tych, co się tak naradzali. Gdy,

okrążywszy budowlę, przed wrota przybył, gdzie się ci ludzie na rozmowę zebrali, nie znalazł już nikogo, tylko dwie kobiety, z których młodsza dziecię karmiła, a stara okryta płachtą ogromną drzemała przy niej. Reszta, czy spłoszona czem, czy z innej jakiej przyczyny, rozeszła się. Imiona tylko Rzepca i Wiechana mógł Sobek zapamiętać.

Przypadek mu dozwolił wpaść na trop niebezpieczeństwa, którego się nikt nie domyślał może. Starego dreszcze przebiegły. Co miał czynić, nie wiedział sam. Śledzić dalej, czy dać znać komu było potrzeba? A nuż gadanie próżnemby się okazało, a popłoch daremny? Sobek, co życie spędził przy dworze ze swoimi panami i przywiązanym był do nich i ich sprawy, strwożył się i zasępił.

Wysunął się już o zmroku z szopy i z podwórca i poszedł ku drugiemu obejściu czatować na starego Belinę. Zobaczył go zdala spokojnie wydającego rozkazy, popatrzał nań, żal mu się zrobiło straszyć go lada paplaniną.

Cofnął się więc, rachując, że mu jego siermięga i stan dozwolą podsłuchać więcej i lepiej, nimby miał rzucić trwogę. Żal mu też było może i ludzi, na którychby spadła groza i kara, gdy w istocie głód przez nich mógł mówić tylko i znękanie.

Stał jeszcze Sobek, rozglądając się po podwórcach obu, na których wśród mroku świeciły porozpalane łuczywa, gdy z za domostwa krzyk i wrzawa słyszeć się dały...

Ludzie biegli w tamtą stronę...

— Strzelaj! bij! — wołano.

Belina stary rzucił się także, pośpieszył Sobek, wrzawa i krzyki rosły.

Nikt nie wiedział, co się stało... Dopiero, zbliżywszy się ku wałom, dopytał się stary, że o zmroku ktoś z załogi spuścił się z ostrokołów i ku gromadzie oblegających uszedł, choć strzał kilka za nim puszczono.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom X

J. I. KRASZEWSKI

MASŁAW

POWIEŚĆ Z XI WIEKU

CZĘŚĆ II

1928

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225.

I.

Następnych dni w dolinie nic się jeszcze nie zmieniło; nie przybywały siły nowe, a te, które nadciągnęły, nie ważyły się bliżej Horodyszcza przystąpić. Wewnątrz ciągle się pilno około obrony krzątano: stary Belina z wałów prawie nie schodził, przechadzał się po podwórcach, albo do ostrokołów zaglądał, na oku ciągle mając ludzi, surowszy dla nich, niż kiedy, nie spoczywając prawie. Gdy go głód znużył, szedł wołać, aby mu garnek podano, i tą samą strawą, która dla wszystkich służyła, posilał się, stojąc, nawet za stół nie siadłszy.

Widok też tego starca i przykład jego zmuszał drugich, by na małem przestawali; szemrać nikt nie śmiał.

Okopy od strony rzeczki i moczarów stały już podsypane, nowym opatrzone ostrokołem, kłody i kamienie na pomostach leżały gotowe ku obronie, a od czasu ucieczki jednego z pospólstwa nad ludem w podwórcu czujność była wielka dniem i nocą.

Tymczasem gromady, zebrane w dolinie, leżały bezczynnie, jakby tylko grozić i niepokoić chciały, do niczego się nie biorąc. Kilka szubienic postawili dla zabawki przeciw okopom, krzycząc i pokazując na gródek.

— To dla was!

Na tem się cała ich robota skończyła. Chodzili, śpiewali, jedli i pili; nocą palili ognie, dniem się puszczali na łowy.

Całą zabawką tych, co stali w dolinie i tych, co na ostrokołach czuwali, było codziennie wzajemne ujadanie i łajanie. Przychodziła gromadka, stawała, w boki się wziąwszy, i wyzywała do tej utarczki, w której sobie przezwisk i obelg nie żałowano. Pluto na siebie i pięści pokazywano, grożono szubienicami, na których już dwa psy wisiały, czasem kto niecierpliwy puścił kamień lub strzałę — i noc dawała spoczynek.

Doliwom to życie w zamknięciu, jednostajne, przykrzyło się codzień bardziej. W kilka dni zaczęli namawiać do wycieczki, ofiarując się prowadzić, ale i na to nie było zgody. Minęło już tak dni dziesięć, a że się po kilka razy na dzień ścierali, u komina siedząc w wielkiej izbie, to z jednym, to z drugim, wkońcu się ze wszystkimi niemal poróżniwszy, osamotnieni chodzili i posępni.

Spory to były niestraszne, nazajutrz zapominano o nich, rozpoczynano rozmowę na nowo, która się jak pierwsza kłótnią kończyła.

Raz tedy pono jedenastego dnia, nie zważając na to, że stary Belina, wszedłszy pocichu, stał ztyłu, Wszebór, gdy poczęto narzekać a boleć, że się tak oblężenie ciągnęło, a nie było mu widać końca, odezwał się kwaśno:

— Co za dziw! Siedzimy w dziurze, jak trusie! Chłopy sobie z nas drwią, nie mają nas za nic. Bo i prawda! Dawnośmy byli powinni im pokazać, że jaką taką siłę mamy, a przecież się ich tak nie boimy, żebyśmy nosa za drzwi wytknąć nie śmieli.

— A jak im nosa pokażesz, to ci go obetną — rzekł Lasota.

— Eh no! — krzyknął Wszebór — żebym tylko dziesięciu ochotników miał z takiem sercem, jakie w sobie czuję, nauczyłbym ja tę zgraję! Na ich szubienicach obok psów oniby mi wisieli!

Kaniowa, który po łosiowem stratowaniu znacznie się już był wylizał i do siebie przyszedł, zawołał:

— Na zadatek dziesięciu — ja z wami.

— I ja! I ja! — poczęli wołać drudzy — a cóż?

— Ale — rozśmiał się Wszebór, który do Beliny starego ząb miał — wszystko to daremna ochota, bo nasz wódz a kneź nie pozwoli; woli, żebyśmy tu pognili.

Wtem ztyłu go ktoś ogromną dłonią po ramieniu uderzył, a razem rozległ się głos po izbie.

— A no! szczęść Boże! ja pozwalam, krwi szkoda, bo krew to nie woda, ale kiedy się miłości waszej tak zażądało koniecznie — idźcie!

Odwrócił się Wszebór, trochę zmieszany, poznawszy po głosie Belinę, który stał za nim.

— Gorącą krew macie — dokończył stary — nabiją wam guzów, to ostygnie... Idźcie, kiedy chcecie, a rozumnie.

— Pójdziemy! — zawołał, porywając się z ziemi, Doliwa. — Jak Bóg miły, ja słowa dotrzymam! Nie mówiłem na wiatr, com rzekł, tom uczynić gotów, byle ci, co ze mną się ofiarowali, dotrzymali też, a poszli za mną.

Wszyscy ci, co się wprzód odezwali, poczęli wołać:

— Idziemy! idziemy! kiedy wola?

— Kiedy?—odparł, śmiejąc się, gorący Wszebór.— A poco mamy odkładać? noc ciemna, jak należy, z wierzchu nie ciecze, czerń się już pokładła spać przy ogniskach. Jakby to dziś gorzej było, niż jutro? Chodźmy!

Belina, ztyłu stojąc, patrzał i słuchał.

— Abyście nie myśleli, że Belinom serca braknie — zamruczał, odwracając się — Tomko też będzie z wami.

Ode drzwi dał się słyszeć głos raźny, ochoczy:

— Gotowym!

Wszeborowi aż krew zakipiała, rzucił się do drzwi, drudzy za nim do szop po konie. Ten i ów schwycił z kołka kaftan, łuskami naszywany, i szłyk, nabijany żelazem. Poczęli pośpiesznie przypasywać mieczyki, szukać oszczepów, radzić się, czy tarcze brać, czy zaniechać, topory porzucić czy zabierać, bo już onego czasu topór coraz z użycia wychodzić poczynał. Każdemu wolno było ubrać się i uzbroić, jak zechce; czy

każdy po swojej myśli. Kto więcej ufał mieczowi, miecz przypasywał, komu zręczniej było z siekierą i młotem, — ten ją brał do boku.

Po dworcu rozeszła się z błyskawicą wieść o wycieczce. Ktoś ją zaniósł na wyżki, gdzie jeszcze dziewczęta z kądziołkami u ognia siedziały; tu się wszczął lament srogi i narzekania.

Belinowa niebardzo syna puszczać chciała, lecz gdy mąż przykazał, wstrzymywać nie mogła. Zapłakała tylko pocichu nieboga i poszła łzy otrzeć do kąta Zdana, zobaczywszy matkę we łzach, rozpłakała się też, bo jej o brata tylko chodziło, a może, choć się nie przyznawała, i o Mszczuja.

Mszczuj Doliwa wpadł był w oko ładnemu dziewczęciu. Stało się to tak niespodzianie, przypadkiem. Zbliżył się do niej, pochlebiając sobie, że przez nią do Kasi trafi. Zdana nań popatrzała, rozśmiała się, zagadała, zawiązała się dobra znajomość i już teraz spoglądali na siebie tak, jakby się z niej co innego urodzić miało. Co miał Mszczuj biedny robić? Kasia nań patrzeć nie chciała, a ta się ani wzroku, ani rozmowy, ani śmieszków z nim nie wzdragała. Trudno znowu próżnować, zwłaszcza w oblężonym grodzie.

Rozpłakała się i wystraszyła Kasia Spytkówna, tak, że o mało z tajemnicą nie wydała się przed matką. Wybiegła nawet na pomost ze Zdaną, aby uzbrojonego Tomka zobaczyć. Zapomniała się nieboga i nierychło dopiero, ochłonąwszy, do izby powróciła cichaczem, skradając się pod ścianami. Szczęściem, że Spytkowa, opowiadaniem o sobie mocno zajęta, nie postrzegła, co się z córką działo.

Na wyprawę niespodzianą znalazło się z obu Doliwami dwunastu ochotników, chłop w chłopa młodzież sama, gorąca i krzepka, silna, uzbrojona mocno, gotowa choć na tysiące, lekceważąca zgrają, przeciw której ciągnęła, jak na łowy... Szli ze śmiechami i weselem w sercach.

Wrota pocichu otworzono, po jednemu wysuwać się zaczęli ochotnicy, a spuściwszy z kopca i ścisnąw-

szy w gromadę, z krzykiem puścili się czwałem wprost na dogasające już ogniska.

Czat nawet około nich nie było, tak się czerń ubezpieczyła. Większa część jej już spała, gdy Wszebór, który na przedzie stanął i prowadził, jak piorun spadł na obozowisko. Popłoch stał się niezmierny, począwszy od tego miejsca, gdzie leżących zabijać poczęto, aż do dalszych i najdalszych ognisk.

Przebudzeni porywali się nieprzytomni, nie wiedząc, co się działo, a liczniejszego, niż był, domyślali się nieprzyjaciela. Otoczeni ciemnościami, słysząc krzyki i jęki, ogarnięci strachem, poczęli się rozbiegać: jedni ku lasowi, drudzy ku rzece i błotom, inni sami nie wiedząc, w którą stronę uchodzić i w ręce ochotników się dostając.

Wszebór i Mszczuj, na koniach siedząc, bili, siekli, tratowali co napadli, toporami wywijając wściekle; inni też dopomagali im dzielnie, a choć szczęście służyło — bo się ona zgraja prawie bronić zapomniała — opamiętali się wkrótce do powrotu; zarzuciwszy kilku postronki na szyje, Wszebór, Mszczuj, Toporczyk i Tomko zawołali na swoich. Nim się opamiętali popłoszeni, ochotnicy już biegli nazad ku Horodyszczu, i mieli czas na przygotowanych szubienicach pochwyconych powiesić.

Stało się to tak szybko, niespodzianie, szczęśliwie, że gdy nazad do wrót przypadli, ledwie oczom wierzyć chciano, widząc ich zpowrotem. Okrwawione topory, miecze i ręce świadczyły, że się niedarmo chełpili.

Tłum ich nawet nie ścigał po nocy, gdyż znaczna jego część w pierwszej chwili rozpierzchła się i nieprędko wrócić ośmieliła. Nim znowu ognie porozpalali, rozpatrzyli się, obliczyli, — Doliwów już nie było.

Wszebór wracał, jako zwycięzca, wesół, szczęśliwy, dumny. Witano go, przyklaskując mu, tylko Belina, syna uścisnąwszy, rzekł stłumionym głosem:

— Nie mogłem wam wzbronić. — Daj Boże tylko, abyśmy krótkiej radości nie opłacili drogo!

Do rana nic nowego nie zaszło; w obozie tylko ruch i krzyk i wrzawa panowały do świtu. Z brzaskiem przyszli ludzie, trupy z szubienic pozdejmowali, aby ich wstydu nie widział dzień jasny.

Na starym Belinie nadzwyczajnej radości z odniesionego zwycięstwa wcale widać nie było; troska jak zawsze orała mu czoło, chodził po kątach, pilnować nakazywał i mruczał. Może przeczuwał, że między pospólstwem, które na widok jego pokorną przybierało postawę, coś się knuło i gotowało.

Sobek, podsłuchawszy rozmowę, nie śpieszył się z doniesieniem o niej gospodarzowi. Ucieczka jednego z tych ludzi zaniepokoiła go i wziął się do podsłuchów gorąco. Widział już oddawna niedobre znaki, wejrzenia kose, narady pokątne, szemrania, opór bierny, nieposłuszeństwo czasem, niekiedy jaki wybuch rozpaczliwy, zaraz strachem stłumiony.

Nikogo się tak nie lękano, jak starego Beliny; był nieubłaganym dla nieposłusznych, karał srogo, nie przebaczył nigdy. Serce miał miłosierne może, ale bez grozy się tu obejść nie umiał. Gdy nałajawszy starszyźnie, odgrażając się zuchwale, zbiegł jeden, na wszystkich padło podejrzenie; ostrzej się wzięto do pierwszego podwórca, — to zwiększyło rozdrażnienie.

Sobek, nic nie mówiąc jeszcze, chodził a podglądał... Chciało mu się bardzo znaleźć tych dwóch wodzów, których nazwiska zapamiętał. Próżne zrazu było staranie, imiona musiały być przezwiskami, dopytać się ich nie mógł nigdzie. Stary bartnik, choć sam wyszedł z tego ludu, dawno już życiem i sercem zupełnie do ziemian przystał, od dziecka im służąc i będąc z nimi. Sprawa ich była jego sprawą.

Niespokojnie wziął się do tropienia dowódców. Niełatwa to rzecz była; dworskim nie dowierzało pospólstwo, unikało ich, a gdy się który pokazał, milkli wszyscy, spoglądając po sobie, lub zaczynali gwarzyć o rzeczach obojętnych. Stary próżno się tu włóczył, długo udając pół głuchego, pół głuptaska. Gdzie się

pokazał wierny służka, usta się zamykały, oczyma śledzono każdy krok jego.

Z twarzy posępnych, wejrzeń groźnych domyślał się, że nic się tam dobrego nie gotowało. Belina też przeczuwać coś musiał, bo tu zaglądał często i do najmniejszego dotarł kąta...

Gdy Wszebór z ochotnikami nocą wybierał się uczynić wycieczkę, choć to była godzina, gdy zwykle w podwórcach wszystko usypiało, między ludem powstał ruch, zakipiało pocichu, wszyscy powstali, rzucając się ku wałom i gorączkowo przyglądali się, jak się śmiałkom powiedzie.

Sobek skorzystał z tego i ukryty z za węgła podsłuchał przekleństwa, groźby, narzekania, gdy na szubienicy pokazały się trupy. Lud ten w oblegających czuł braci, im życzył lepiej, — i na zamku, oprócz jednego jawnego nieprzyjaciela, drugiego zaczajonego pod bokiem trzeba było strzec i pilnować. Czerń ta czekała tylko chwili dogodnej, aby się rzucić na ziemian i wydać ich w ręce zgrai, a Sobek chwytał pewne znaki, iż między pospólstwem na Horodyszczu a oblegającymi było porozumienie. Parę razy nocą spłoszył rozmawiających z za ostrokołów, do których podkradali się na wały jacyś ludzie. Z każdym dniem rosło zuchwalstwo i jakby niecierpliwość.

Bartnik straszyć nie chciał, ale szukał zręczności, by się sam rozmówić z Beliną. Trudno mu go było pochwycić na uboczu i wstrzymać, nie zwracając podejrzenia...

Nazajutrz po wycieczce Wszebora Belina był niespokojniejszy niż zwykle, wysunął się na wał od strony rzeczki i stanął tam zadumany, gdy Sobek, zdala go ujrzawszy, przybiegł, do stóp mu się kłaniając.

Belina skinął tylko głową, jakby na rozmowę czasu i woli brakło. Już miał odchodzić, gdy bartnik go nieznacznie za połę powstrzymał.

— Miłościwy panie! Czasem i małego robaka posłuchać nie zawadzi.

— A co tam? — spytał Belina.

— Tam — wskazując ręką na podwórze — tam — szepnął Sobek — jest źle.

Stary popatrzał, czekając objaśnienia.

— Tam bardzo gwarzą i mruczą — mówił Sobek. — Zwąchali się bodaj z tymi, co za wałami stoją... W złej godzinie, Bóg niech uchowa, mogą się porwać. Oka trzeba, miłościwy panie, oka trzeba.

Belina pomruczał coś tak niewyraźnego, iż Sobek wcale nie dosłyszał, ręką zamachnął.

— Miłościwy panie, to dla was nie nowina pewnie — dodał bartnik.

— Nie nowina — krótko rzekł gospodarz. — Patrzcie i słuchajcie — dobry z was człek. Patrzcie, oczów nigdy nadto.

Ukłonił się bartnik, trochę uspokojony; oba do rozmowy skłonni nie byli, kilka słów starczyło do porozumienia.

Złe znaki mnożyły się co dnia, bartnik chodził niespokojny. Co zajrzał Belinie w oczy, to się na czas uspokoił, a wkrótce potem coś znowu go niepokoiło.

Sobek jak w lesie i kniei, tak między ludźmi umiał rozpoznawać, którędy iść trzeba było i gdzie zwierza szukać, ale tu mu zacierano tropy i uchodzono zawczasu. Chytrości zażyć musiał.

Szopa, w której stały konie, jednemi wrotami wychodziła ku podwórcu, na którem lud leżał pokotem i całe dnie spędzał, stękając i gwarząc.

Sobek tu sobie obrał na pniaku siedzenie, tak, że wrota napół otwarte go zasłaniały. Kręcił przewiąsła ze słomy, wiązał maty, dłubał coś nożem z drzewa, po całych dniach udawał tak zajętego robotą jakąś, że nawet nie podniósł oczu. Patrzeć jednak umiał, choć się zdało, że nie widział. Trzeba mu było wśród tego snującego się próżniaczo przed oczyma tłumu dopatrzeć wodzów tajemnych. Czuć ich było, a nie widać.

Drugiego, czy trzeciego dnia najrzał Sobek barczystego, bladego, z czarnym długim włosem, spadającym na barki chłopa, który, ręce trzymając za pasem, z czapką na oczy nasuniętą, włóczył się, nie mówiąc

do nikogo, ale na jakiś znak, dany przez niego, jedni ustępowali, drudzy się podnosili, inni szli i rozbiegali się po kątach... Jak Belina po zamku, on nieustannie po podwórzu się włóczył, mało kiedy przysiadł, rzadko usta otworzył, a na skinienie jego posłusznie ruszało się, co żyło... Gdy się dwu z sobą zwaśniło, szli o sąd nie do sotników, postanowionych przez Belinę, a wprost do milczącego chłopa, który, coś pomruczawszy, spór rozstrzygał.

Spytał Sobek odniechcenia, jak się on zwał — nic mu nie powiedziano, dopiero dzieciak, którego kawałkiem mięsa ściągnął, nazwał go Miśkiem Wiechanem.

Jednego już mając na oku, drugiego starszynę spodziewał się odgadnąć, podpatrując, z kim najwięcej przestawał. Na to nocy było potrzeba. Bartnik miał w naturze, iż musiał się podkraść i śledzić, jeśli nie zwierza, to człowieka. Doszedł zaraz, kędy się na noc leg kładł Miśko Wiechan. Pewien był, że rady nocą się odbywać musiały. — Nieopodal od tego miejsca wśliznął się między leżących, uśpionego udając.

Nadzieja go nie zawiodła. Późno w noc przypełznął drugi, układł się u boku Wiechana i szeptali z sobą długo. Nic słychać nie było, twarzy dostrzec nie mógł, bo noc, jak przepaść była ciemna, lecz gdy nad rankiem się rozchodzili, poznał w nim Sobek człeka, którego po dniu często widywał. Stawał on u ostrokołów jak na czatach i gdzieś patrzał na lasy...

Był to ów Rzepiec, o którym ludzie wspominali, a oni dwaj przewodzili pospólstwu, na grodzie zamkniętemu. Sobek już ich odtąd z oczów nie tracił. Do Wiechana, chodzącego ciągle, nie otwierającego ust, przybliżyć mu się było trudno; do Rzepca stojącego nazajutrz zaraz się przysunął.

Popatrzyli sobie w oczy, ale jeden nie zagadał do drugiego. Rzepiec, rad się go zbyć, zaraz wzrok odwrócił. Nie pomogło to. Sobek uparcie stał, na lasy też patrzał i stękał. Tak niemal pół dnia bok w bok stali, nie rzekłszy do siebie nic.

Rzepiec był człek mały, czerwonego zarostu, plamistej twarzy, oczu bladych, niemłody, straszny jakiś, jak węże pstre, co najgorszy jad mają. Gdy mu się na złość zbierało, jak dziki zwierz językiem po wargach wodził, niby się na pastwę oblizując. Znudziło go widać sąsiedztwo.

— Skąd ty? — zapytał Sobka.

Nic nie mówiąc, bartnik w stronę lasów pokazał ręką.

— Co za jeden?

— Bartnik.

— Pański? dworak?

— Jaki pański? — począł Sobek. — U mnie panem las był.

Umyślnie więcej nie mówił, żeby się z chęcią wybadania nie wydać. Znowu stękali i patrzali na lasy, aż nierychło ozwał się Sobek do Rzepca:

— Słyszysz? hę! długo to tego będzie?

Rudy ramionami ruszył.

— Za co my tu głodem mrzemy?

— Za co? jaki ciekawy — odparł Rzepiec — bośmy głupi!

Zamilkł, odwracając się i oba milczeli znowu. Dnia pierwszego na tem się skończyło — znajomość była zawarta. Nazajutrz Sobek stanął u ostrokołu znowu; zobaczywszy go Rzepiec, jakby plugawe zwierzę napotkał, popatrzał groźno, plunął i odsunął się precz. Nie zagadał ni słowa.

Dnia tego właśnie stało się, co Belina przeczuwał i czego się lękał.

Przed wieczorem do izby, w której wszyscy u ognia siedzieli, wbiegł wyrostek, co za starym Beliną miecz jego naszał, i krzyknął:

— Idą! idą!

Porwali się wszyscy, a nim mieli czas wystraszonego zapytać, kto i co — już go nie było. Chłopak obiegał tak wystraszony wszystkie izby. Ziemianie, porwawszy się z ław, jak kto stał, na wały pobiegli.

Z wałów widok na dolinę dla oblężonych był przerażający. Nim nań oczyma rzucili, usłyszeli zapowiedź jego, w powietrzu gwar, jakby okrzyków i pieśni, głuchy tętent koni i rżenie.

Z lasów wyciągały tłumnie gromady, jedna za drugą; każda z nich, ujrzawszy Horodyszcze, przyszłą zdobycz, witała okrzykiem strasznym, który się nagle ze wszystkich piersi wyrywał, a w Horodyszczu we wszystkich piersiach odbijał.

Szli tak jedni pieszo, drudzy konno, niektóre kupy niosąc na żerdziach znaki, pędząc z sobą pobrane gdzieś po drodze trzody i konie.

Gromadka, która na te posiłki czekała w dolinie, witała je, czapki wyrzucając do góry, podnosząc ręce, wyjąc niemal z radości.

Ze wszech stron sypało się to mrowie, zalewało dolinę całą, rozkładało się na niej, a gdy poprzednio wdali tylko nad rzeczułką stali, teraz się sunęli śmiało, niemal pod okopy same. Ryki i wrzaski tej zgrai tysiącznej, coraz wzrastające, śmielsze, szaleńsze, echem jakby szyderskiem odbijały się w lesie...

Wrzawą tą przerażającą, jak iskrą w suche drzewo wrzuconą, rozbudzone na Horodyszczu rycerstwo wysypało się wszystko na pomosty i wały. Z drugiej strony sunęło się pospólstwo, ze źle tajoną na twarzach radością.

Wiechan i Rzepiec stali na przedzie u ostrokołów, wychyleni nawpół, oczyma śmiejącemi się spoglądając to na swoich, to na garstkę zamkową.

Dolina, gdzie tylko suchą nogą stąpić było można, wypełniła się cała ludem, z lasów tłumy płynęły ciągle jeszcze, coraz gęstszą ścianą opasując Olszowe Horodyszcze.

W pośród zbitej gąszczy gdzie niegdzie rozeznać można było dowódców na koniach, którzy gromadom swym miejsca na obozowiska wyznaczali i koły zatykali. Było ich kilkunastu.

Znaczniejszy oddział jeden natychmiast się począł ku wałom posuwać, stanął na strzał i zdawał naradzać.

Za ostrokołami też widać było wszystko, co żyło, przypatrujące się w milczeniu.

Wołano już tu, że sam Masław nadciągnąć musiał, ale Wszebór, który miał oczy dobre, wyszedłszy, napróżno szukał go i zaręczał, że jeszcze pastuszego syna nie było. Prusaków też i Pomorców, których po pasach i odzieży łatwo rozpoznawano, nie widział jeszcze. Ten to sam był tłum i czerń, co inne grody i dwory zniszczyła, lud pogański z lasów wybiegły, co wywracał krzyże i kościoły.

Stary Belina z innymi wyszedł też na wały, popatrzał długo na wsze strony, stojącemu Wszeborowi pokazał ręką, i głową skinął, jakby mówił:

— Ściągnęliście ich sami!

Stali tak wszyscy wpatrzeni w niemem osłupieniu, gdy szmer się wszczął, ludzie zwolna rozstępować zaczęli i przyklękiwać.

Z głębi dworca szedł ojciec Gedeon w białej komży, w szytej kapie, niosąc kielich w ręku... Chłopak przed nim niósł wielki krzyż drewniany. Ksiądz, modląc się, wolnym krokiem postępował za nim, zatopiony w sobie, z głową spuszczoną, z powieki przymkniętemi. Szli tak ku wrotom, po stopniach na pomost za ostrokołem wyniesiony.

Szłyki i czapki pozdejmowali wszyscy, niektórzy padli na kolana.

Ojciec Gedeon, na pomoście stanąwszy, podniósł do góry ręce z kielichem i hostją poświęconą, oczy ku niebu zwrócił, modlił się coraz głośniej i na cztery strony świata zwolna żegnać począł, jakby tą potęgą złego ducha od grodu odganiał.

Białą tę postać, wyniesioną wysoko, i czarny krzyż musieli postrzec ci, co bliżej wałów się posunęli, widzieli ręce podniesione do góry i ruchy ich, i poznali, że duchowny to był, który w imię Boga chrześcijan — jak oni zwali — czary czynił.

Czarów tych i cudów obawiali się poganie. Przewodników na widok ten strach ogarnął mimowolny! Poczęli cofać swe konie i wtył się zawracać, a choć

pierzchnąć im wstyd było — na miejscu ustać nie mogli. Jakby przed znamieniem krzyża cofać się byli zmuszeni, poczęli zjeżdżać niżej i wkrótce zniknęli, w tłum się wmieszawszy.

Słońce już było zaszło, cień lasów okrywał dolinę, ostatnie promienie na podniesionym kopcu jeszcze tylko, blado go ozłacając, świeciły. Mrok okrywał wijące się u podnóża jego gromady. — Część ich zaraz do lasu po łom i gałęzie poszła, słychać było siekiery, potem zabłysły po jednemu rozpalając się, ogniska mnogie. Dymy ich przyciśnięte wilgotnem powietrzem wieczornem, gęste, gryzące, rozwlokły się ponad rzeczką i łąką całą, otoczyły gródek, legły jak zasłona na tym obrazie groźnym, kryjąc go oczom oblężonym. — Wdali już mało co rozróżnić było można, czerwone tylko płomyki ognisk migały gdzie niegdzie i czarne przesuwające się przed niemi postacie.

Z wałów nie schodził nikt, bo nie mógł oczów oderwać od tej groźby dnia jutrzejszego, walki nierównej. Gwar, śpiewy, wrzawa, jakby urągowisko, dolatywały do zamku.

W izbie niewieściej kądziele stały pod ścianami, wszystkie dziewczęta i starsze niewiasty klęczały ze złożonemi rękami, modląc się i zalewając łzami.

U ołtarza na górze klęczał przed kielichem okrytym ojciec Gedeon, niekiedy twarzą rzucając się na ziemię, to ręce wznosząc ku niebu, to składając je w pokorze. Klęczącego tu zaszła noc z oczami załzawionemi, a gdy powstał nareszcie, oschły były już łzy i oblicze się rozjaśniło, jakby widzeniem lepszej przyszłości.

Starzec, złamany wiekiem, czuł, że był tu powołany jako rycerz Chrystusowy do trudu, nie pozostał więc sam z sobą, ruszył natychmiast ze słowem pociechy, zagrzewać serca i rozbudzać męstwo.

Zaledwie obróciwszy się, na pierwszym kroku spotkał starego Belinę.

— Ojcze — odezwał się, schylając do pocałowania ręki jego, gospodarz — błogosław mi, błogosław nam

wszystkim, jakobyś na śmierć idącym błogosławił. Będziemy walczyli póki sił i żywota stanie, aż pokonamy nieprzyjaciela... Przed sobą go mamy, u siebie go mamy!

— Męstwa! — zawołał ojciec Gedeon. — Nie traćcie ducha — Bóg was nie opuści. — Cuda się dzieją! Wojna to nie przeciw wam, lecz przeciw krzyżowi świętemu. Modliłem się, nie wiem, jaką sprawą wstałem pokrzepiony, uspokojony, że nas ręka Wszechmocnego nie opuści.

Belina ręce podniósł do góry.

O kilka kroków stał za nim, kręcąc coś w palcach Sobek.

— Miłościwy panie — szepnął — słowo!

Zwrócił się ku niemu gospodarz.

— Dwóch ludzi zamknąć trzeba, aby nieszczęścia nie było...

Cicho coś szepcąc, odeszli razem.

Belina skinął po drodze na zbrojnych ludzi, aby szli za nim.

Przeszli tak w pierwsze podwórze.

U ostrokołu stojąc, Wiechan i Rzepiec szeptali coś i patrzali na gromady. Sobek na nich ukazał. Gdy zbrojnych w tłumie dostrzeżono, szmer się wszczął, obudzeni ruszyli się dwaj starsi niespokojnie. Tknęło ich może, że po nich wysłano; Wiechan rzucił się, chcąc ostrokół przeskoczyć, Rzepiec puścił się uciekać, schycono obu... Powstał krzyk i szamotanie się, cisnął się lud dokoła, wrąc, miotając się, cisnąc, ogarniając ludzi zbrojnych i Belinę.

Bliżsi zaczęli się zuchwale upominać o swoich, za suknie targając starego; pięści podnosiły się groźnie, wrzawa rosła. Belina od wyrostka miecz tylko wziął, nikomu nie odpowiadając słowa.

— Do jamy z nimi! — zawołał. — Bez sądu i winy nic się im nie stanie — jeśli się jedna ręka w obronie podniesie, głowy ich spadną!

Głuchem warczeniem odezwało się całe podwórze i ucichło nagle. Rzepiec i Wiechan dzikiemi oczyma

wodzili dokoła, gdy zbrojni, już ręce im wtył powiązawszy, prowadzili do jamy. Tłum, pozbawiony starszyzny, nie wiedząc co począć, stał jak wryty.

— Do jamy! — powtórzył Belina, — i sam za prowadzonymi kroczyć zaczął z mieczem obnażonym.

Nie uszło to oczów rycerstwa, ziemian i załogi, w niektórych obudziło trwogę, dłonie szukać mieczów poczęły, jakby już przyjść miało do starcia.

Gromada, która z początku sunęła się za więźniami — cofnęła się i na podwórcu legła, zawodząc żałośnie. Padały na ziemię kobiety, mężczyźni w kupę pozbierani, szemrać i radzić poczęli pocichu. Sotnicy szli, nakazując milczenie.

Noc już była, gdy za Wiechanem i Rzepcem drzwi więzienia zapadły. Postawiono przy nich straż zbrojną. Na wałach podwojono czaty; rycerstwo z pomostów zwolna ku izbie wracać zaczęło, aby do jutrzejszej walki się sposobić. - – Cisza panowała na grodzie, przerywana chodem straży i brzękiem mieczów — niekiedy płaczliwy głos dziecka doleciał z podwórca.

W izbie u ognia rozprawiać już o czem nie było, ni się czego domyślać, — rzeczywistość groźna, straszna, stała naga przed oczyma.

Lasota, któremu ręce słabe nie służyły już do łuku i oręża po ostatniej walce, począł spokojnie ogień na kominie przykładać i poprawiać, drudzy krzątali się zawczasu około mieczów i zbroi. Wszyscy niemal, jakby się zmówili, sięgnęli po osełki do ostrzenia i rozpoczęli robotę; drudzy wzięli się próbować cięciw u łuków i strzał ostrza na palcach.

W izbie ruch i życie wielkie się wszczęło — każdy, usiadłszy, gdzie mógł, toczył, czyścił, sposobił oręż, opatrywał i naprawiał pancerz.

Dopóźna tak przy łuczywach trwały przygotowania, przerywane czasem kilku słowy, rzuconemi za wiatrem; na całym grodzie, oprócz niewiast, nikt prawie nie zmrużył oka.

Belina nie przysiadł nawet. Lękając się, aby go na ławie sen nie zmorzył, gdy poczuł, że mu się powieki

kleją, oparł się o ścianę, ręce na mieczu skrzyżował, oczy trochę przymknął i tak zdrzemnął się tylko stojący.

Już trzecie kury piały i brało się na dzień, gdy straszliwy wrzask jakiś przeraził przebudzonych tylko co i śpiących jeszcze. Porwali się wszyscy, zląkłszy się jakiego podejścia nieprzyjaciela, powybiegano z izb i szop, dopytując, co się stało. Nikt nie wiedział jeszcze; — krzyk pochodził od drzwi więziennych, gdzie się gromadnie skupili zbrojni, a na ich głos ze wszech stron się zbiegano.

Wszebór, który z mieczem, dobytym na hałas pobiegł pierwszy, znalazł tu już stojących Belinów obu, dwornię ich i wielu innych ludzi.

U wrót jamy, do której Rzepca i Wiechana rzucono, przedstawił się widok, któremu zrazu oczy wierzyć nie chciały. Wpośród stojącej tu gromadki leżały dwa trupy, w miejscu, gdzie stała straż nocna. Nie było na nich ani krwi, ani śladów walki; powrozy mieli pozarzucane na szyje, ściśnięte tak, że im oczy nawierzch powyskakiwały, języki z ust wyszły. Broń leżała przy nich na ziemi.

Wrota do jamy stały wyłamane, nikt nocą najmniejszego nie słyszał hałasu, nie poruszało się tu nic, z podwórca nie widziano nikogo przechodzącego, a Rzepca i Wiechana w jamie nie było. Brakło w niej i innych więźniów, którzy z nimi uszli wszyscy, jeden tylko stary dworak Belinów, za gwałt jakiś tam osadzony, żyw i cały został. Ten nic powiedzieć nie umiał, prócz, że gdy się ze snu obudził, poczuł drzwiami otwartemi świeże powietrze.

Rozbiegli się po całym grodzie ludzie szukać więźniów, którzy, jak się zdawało, za ostrokoły ujść nie mogli, bo przy nich gęste czuwały straże.

W całem grodzisku zamęt się stał i zamieszanie — wrzawa w pospólstwie, jęk i płacz kobiet słychać było i krzyki tych, których zbrojni bić musieli, aby ich w porządku utrzymać, gdyż lud się rwał i burzył.

Zbudzone niewiasty wybiegły, pookrywawszy się czem mogły naprędce — dowiadując, co się stało? Niektórym zdało się, że już, korzystając z ciemności, oblegająca czerń wtargnęła i bój się na samem Horodyszczu poczynał.

Mężniejsze z nich chwytały topory i niemało bronić się było gotowych raczej, niż poddać sromotnie. Inne, łamiąc ręce, płakały.

Dzień nadchodzący zastał całą załogę w tym popłochu, a straże obchodzące wszystkie kąty, przetrząsające komory, rozglądające się w poddaszach, czy się gdzie zbiegowie nie skryli... Nie było śladu ich nigdzie!

Ta ucieczka zwiększyła jeszcze i tak już wielką trwogę, gdyż Rzepiec i Wiechan, długo na Horodyszczu przebywając, dobrze je znali, mogli więc dla czerni być najlepszymi przewodnikami, wskazując jego słabe strony.

Wschodzące słońce, nim się z gęstej mgły wybiło, nie dawało w dolinie nic rozpoznać, oprócz ruchu, jaki pośród gromad się poczynał.

Sposobiono się już do napaści, kupy szykowały się i postępowały ku wałom z okrzykami.

Moczary nie były jeszcze zamarzłe, rzeczka jesiennem wód zebraniem rozlała, z tej więc strony nie obawiano się napaści; lecz gdy rozedniało, ujrzano za błotami gromadę znaczną ludzi, rzucających kłody i płoty w grzęzawicę, przysposabiających hacie i mosty do przejścia. Musiano patrzeć na te przygotowania cierpliwie, nic począć nie mogąc, bo na taką odległość żaden pocisk nie sięgał.

Obrona wkrótce stać się mogła prawie niepodobną, gdyby tłuszcze ze wszech stron się razem rzuciły. Rąk było mało, ludzi skąpo, a lud w podwórcu strzeżony być musiał i pod dozorem ledwie na małe kupki go rozbijając, do noszenia ciężarów użyć było można.

Widok tych przygotowań nową obudził trwogę, spojrzano po sobie w milczeniu tylko.

Gdy na wałach żwawo uwijali się wszyscy, o. Gedeon o wschodzie słońca, wedle zwyczaju, wyszedł ze

mszą świętą na ołtarz na pomoście. Wytoczyły się niewiasty wszystkie, dzieci, starcy, klękając na modlitwę Rycerstwo, ledwie się przeżegnawszy, musiało zbroje wdziać i stanąć przy ostrokołach.

Gdy mgły nieco opadły, u wrót zjawiła się gromadka jezdnych, wśród których Sobek poznał i pokazał Rzepca i Wiechana. Nie potrzeba już ich było szukać po Horodyszczu. Zbiegli pokazywali rękami na kopiec, opowiadając dowódcom, kędy i jak trzeba było gródka dobywać.

Napastnicy jakoś nie śpieszyli się z rozpoczęciem szturmu, czy na kogo czekali, czy im pilno nie było, — powoli robili przygotowania. — Chcieli może ze wszech stron razem, gdy hać gotową będzie, uderzyć.

Do południa strzały nie było puścić do kogo... Zdawało się niektórym, że na noc czekali i z pomocą zbiegów coś przedsiębrać chcieli, gdy ciemności zapadną.

Horodyszcze całe teraz wyglądało inaczej. Dopóki niebezpieczeństwo nie było tak bliskie, ludzie czas mieli spocząć i poswarzyć się, podrażnić z sobą, słowami się nieraz zetrzeć; a powaga Beliny tylko powstrzymywała ich, że na siebie mieczów nie dobyli. Teraz wszystko się to zapomniało, wróciło braterstwo i zgoda, męstwo obudziło się w tych, co leżąc, byli zgnuśnieli. Czuli, że nadludzkich prawie sił było potrzeba, aby się temu rojowi napastników opierać, przeciągnąć walkę i może doczekać niepewnej odsieczy.

Na niej była nadzieja jedyna. Gdyby się odsiecz spóźniła, zmorzeni głodem, wysileni czuwaniem, znękani walką, obrońcy Horodyszcza upaśćby musieli. Ani ludzie, ni ostrokoły nie wytrzymałyby nacisku.

Dzień ten zszedł na czatach i drażnieniu się wzajemnem. Kupki to się przybliżały, to odchodziły, snuły i przeciągały, stawały, miotając odgróżki, wyśmiewając się, wyzywając. Zaledwie znużone rycerstwo padło na pomosty spocząć, gdy jedni odciągnęli, wnet następowała nowa gromada z krzykami i łajaniem. Jechali jezdni, wlekli się piesi, podglądając, przypatrując się, podkradając.

Jezdni na strzał stawali, tak, aby ich głos słychać było, i wywoływali po nazwiskach zamkniętych na Horodyszczu.

— Belino! stary wilku — a wyłaź z jamy! Belina! hej!

Drudzy bezcześcili Doliwów, Lasotę i ilu ich tam było. Wiechan i Rzepiec dobrze im rozpowiedzieli o wszystkich.

Szczególniej na starego Belinę wykrzykiwano. Słyszał to, ale ścierpiał. — Gdy się ciągle powtarzało łajanie, wyszedł wkońcu na pomost naprzeciw, na mieczu się sparł, stanął oko w oko i dał się lżyć, nie mówiąc słowa.

Poznali go widać, jeden szydersko czapkę zdjął, pokłonił się, potem nacisnąwszy ją na głowę, pięść wyciągnął.

— Hej, stary zbóju, co piłeś krew naszą, przyszła na ciebie pora! Słysz! nie wywiniesz się z pazurów chłopskich. Wiemy my, co się u was dzieje, hreczką żyjecie, ludzi nie macie, niedługo was wykurzymy! Lepiej się zdajcie zawczasu. Tak czy owak wisieć będziecie, a tak choć męczyć nie damy, jak otworzycie wrota... Dzieciom żywot zachowamy! Wziąwszy gwałtem, nie zostawim duszy.

Drugi ryknął ze śmiechem dzikim:

— A nu żywo, psy parszywe! wrota otwierać!

Łajać poczęto i wyklinać z pogańska...

Belina stał, słuchał, nie drgnął, ni mu się usta otwarły; drudzy na ostrokołach, mniej cierpliwi, rzucali się, wściekając, krzyczeli i łajaniem im odpowiadali. Jeden i drugi nie wytrzymał i choć kupka stała daleko, a strzał daremnie wyrzucać było szkoda — poczęły i one świstać, a z proc ciskano kamienie. Kilku śmielszych ugodzono, ale wkońcu cofnęli się z łajaniem i krzykiem.

Dnia tego więcej się na nic nie zebrali — czekali na coś... Wszebór myślał, że się Masława spodziewano.

Na błocie pomost wyciągał się coraz ku okopom

przybliżając, rachowano, patrząc, że ledwie trzeciego dnia hacie i mosty będą gotowe.

Noc zapadła wśród tej niepewności i oczekiwania, stokroć gorszego od samego boju i niebezpieczeństwa; bo nic tak nie wycieńcza i nie nuży, jak groza, wisząca nad karkiem, której spadnięcia ciągle się spodziewać trzeba.

Nazajutrz zmieniła się pogoda, miasto mgły nadszedł deszcz chłodny, wiatr zadął silny, lasy szumiały od północy, jakby wtórowały wrzawie oblegających. Zdala widać było gnące się drzew wierzchołki i obłamywane gałęzie, z ognisk dym rozbiegał się po dolinie z iskrami. Niektóre z nich wiatr i deszcz pogasiły. Gromady nie ruszały się jeszcze, a nad haciami pracowano.

W południe dopiero od lasów krzyki się rozległy głośne i poszły echem po całym obozie. Ludzie wstawali co żywo, szykując się oddziałami.

Z lasku pokazał się wysuwający orszak jezdnych, przed którym na żerdzi czerwoną niesiono chorągiew. Ubiorów, ani twarzy rozeznać jeszcze nie było można, jechali szybko, przerżnęli się przez obozowisko, zdążając wprost drogą ku wrotom zamkowym.

Stojący na zaborach Wszebór, pierwszy zawołał:

— Masław!

Biegli wszyscy oglądać go, z rycerstwa bowiem mało kto zamłodu nie znał Masława na dworze Mieszka i Ryksy; każdy chciał zobaczyć, co się z pyszałka owego zrobiło.

On to był w istocie. Jechał na czarnym koniu z grzywą długą, we zbroi cały, w hełmie z kitą na głowie, w płaszczu, jakby królewskim czerwonym ze złotem, otoczony drużyną, w której znać było, że królewską naśladować chciała. Pachołek jeden tarczę za nim niósł, drugi łuk i strzały, trzeci miecz wielki. Gromada strojna i zbrojna otaczała nowego knezia, który, wbok się ująwszy z podniesioną głową, wprost jechał na wrota, pogardliwem okiem rzucając na Horodyszcze.

Już miał Mszczuj, zmierzywszy z łuku, puścić ku niemu strzałę, obrachowawszy, że dosiąc może, gdy go powstrzymano. Cała czereda pańska stanęła z obnażonemi głowami, otaczając go i słuchając wydawanych rozkazów.

Z ruchów rąk wnosić było można, że i o haci, którą z drugiej strony kładziono, opowiadać musiano.

Masław słuchał stojących przed sobą roztargniony, okazując im niemal pogardę. Zawrócił się potem i o kilkoro stajania wskazał miejsce naprzeciw wrót, gdzie chciał mieć obóz rozbity.

Nadciągały wozy pańskie i reszta dworu. Z Horodyszcza widać było, jak wbijano koły do rozwinięcia namiotu, kopano doły dla ognisk, wiązano konie i przysposabiano się do spoczynku.

Wnet miejsce to pańskie ciekawa czerń, rozmaicie pouzbrajana, otaczać poczęła; przychodziła starszyzna z pokłonami, zdejmowano z wozów beczki, pojono gości... Gwar wesoły dochodził do wałów, zwiększając się i rosnąc.

Na ten obraz zapadł mrok wieczora, ostatniego może, co miał śmiertelną walkę poprzedzać.

Wkrótce rozpocząć się ona musiała.

Belina spodziewał się nawet zamachu jakiegoś — w nocy; ognie na wałach rozniecić kazał, ludzi tylko połowie dał spoczywać, resztę na czatach postawił.

Nie myślano już tej nocy o oszczędności: na Horodyszczu też odbito beczki z piwem, mięsa uwarzono poddostatkiem. Do izby na dole wniesiono kadkę miodu, aby ludzi pokrzepić i odżywić.

A na wyżkach nikt nie prządł dnia tego, nikt nie śpiewał. Szeptały dziewczęta, płakały starsze niewiasty, modliły się cicho niektóre. Jedna to druga wymykały się z izby, aby coś zobaczyć, coś usłyszeć, i z tego zamieszania korzystając, słówko przemówić do kogo. Nawet Kasia wysunęła się parę razy ze Zdaną, popatrzały, tuląc się do siebie, w dół spojrzały ku okopom. — Ani Tomka, ani Mszczuja widać nie było.

Tęskno szeptały coś z sobą, rączętami opasawszy się wzajem i główki schyliwszy ku sobie. Słuchały dalekiego szmeru, rozeznając w nim głosy.

— Słyszysz? to głos mego brata! — a! jabym go wśród tysiąca poznała!

Kasia główką potakiwała, choć się jej wstyd przyznać było, że ona pierwsza, przed siostrą nawet, wołanie jego poznała i powitała twarzy rumieńcem.

— A to? słuchajno! — szepnęła cicho, odwzajemniając się — przysięgłabym, że to głos Mszczuja Doliwy.

— Zdana trzęsła głową niby niedowierzająco.

— Co mi tam Mszczuj! — rzekła roztargniona.

— O, nieprawda! Tyś pierwej głos jego, niż Tomka, posłyszała.

Zdana niezawsze przyznawała się do tego, że się do niej Doliwa uśmiechał, ona jemu. Tego dnia jakoś mu nie wierzyła, trochę nań była gniewną. Mszczuj był na straży. Przez cały dzień nie szukał jej i nie spotkał, od wczora jakby jej znać nie chciał, ona też o nim niby wiedzieć nie chciała.

— E! Mszczuj! — odezwała się. — Czy to tam myśleć o tem. Miły Boże! Co to stanie się z nami! Ci chłopi, ta czerń straszna.

Kasia spojrzała na nią i w niebieskiem oku jej błysnął ogień rycerskiego dziecięcia.

— Same sobie śmierć zadamy — zawołała — niżbyśmy się w ich ręce dostać miały. Nigdy! nigdy! Ale o. Gedeon powiada, że Bóg uczyni cud i wyzwoli nas, a o. Gedeon świętym jest człowiekiem i Bóg mu nieraz prorokować dozwala.

Mówiła jeszcze Kasia, gdy Tomko się ukazał na dole. Wyrazy jej na ustach zamarły, spuściła oczy, bo idąc, tak spojrzał na nią strasznie jakoś, przeszywająco, że spojrzenie to uczuła w sercu, oddechu jej nawet zabrakło.

Zdana łajała go, że je obie, nagle tak wchodząc, nastraszył, a Kasia już mu się uśmiechała.

Wtem z izby na wyżkach ode drzwi głos Spytkowej dał się słyszeć:

— Kasia... ten wicher dziewczyna! gdzie się znów podziała?

Dziewczę, z objęcia Zdany wyrywając się nagle, spojrzało raz jeszcze z uśmiechem ku Tomkowi i znikło.

II.

Spały jeszcze niewiasty na górze, długiem znużone czuwaniem, gdy straszna wrzawa dzikich głosów, zmieszanych ze stukiem i chrzęstem, od których domostwo drżało, — zbudziła je przerażone. Pierwszy głos, co ucho ich uderzył, był wojennem, bojowem hasłem.

Łoskot podnoszonych do góry i spadających kłód i kamieni mieszał się z głosy wściekłemi, wśród których to jęk rannego, to łajanie rycerzy słychać było. Na dachy z dranic padały kamienie z proc przez oblegających rzucane, ściany się trzęsły, bieganie po pomostach dokoła tętniało na Horodyszczu całem.

Jak burzę słychać było przenoszące się około ostrokołów gromady ludzi, zbiegających tam, gdzie niebezpieczeństwo groziło.

Czasem górą grzmiał głos dowodzącego, to gdzieś tonął, zagłuszony wrzaskami. Słychać było jakby trzask i łamanie ostrokołów, i huk toczących się głazów, i jęk tych, których one przygniatały...

Z płaczem pozrywały się z posłania niewiasty, chwytając przyodziewki, żegnając się krzyżem świętym, biegając, wołając, potrącając się i tracąc przytomność... Żadna nic znaleźć nie mogła i włożyć nie umiała.

Jedna Hanna Belinowa stała w pośrodku izby blada, ale spokojna; odziana już, z twarzą posępną, poglądając miłosiernie na to rozbite i spłoszone stadko swoje.

— Dobijają się już do wrót! — zawodząc okrutnie,

wołała z komory Spytkowa. — Boże miłosierny! co czynić? co począć? Ratuj, kto żyw!

Co chwila wpadały dziewki służebne.

— Już się cisną od Olszanki! — wołała jedna — przeszli błoto...

— Do wrót idą całą siłą! — mówiła druga.

— Kamienie lecą jak grad, za strzałami dnia nie widać — krzyczała trzecia.

— Helę postrzelono, gdy wodę niosła — mówiła, zdyszana, wpadając, inna, rzuciła dzban ze strachu i potłukła.

— Dzban mój — przerwała, ręce łamiąc, Hanna Belinowa — polewany dzban mój!

Nietyle jej postrzelonej dziewki, co dzbana żal było.

Ledwie słów tych dokończyła, gdy niemłoda kobieta wpadła spłakana z ręką skrwawioną.

Strzały już w ranie nie było, ale z rany sączyła się krew, a z oczów płynęły łzy, i mówić nie mogła ze strachu. Zdana wnet przybiegła obwiązać ranę, Kasia zobaczyć ją i pomagać. Pozałamywały ręce!

Nie przeszła jeszcze ta pierwsza trwoga, gdy do drzwi zastukano. Wszystkie pierzchnęły od nich ze strachu.

— Ojciec Gedeon ze mszą wychodzi — zawołał głos za drzwiami.

Niewiasty były mszy zapomniały, a modlitwa teraz tak była duszy potrzebna! Żwawo poczęły się przyodziewać, aby przed ołtarz pośpieszyć. Nawet trochę do wstawania leniwa Spytkowa coś na siebie chwyciła, aby mszy świętej nie opuścić.

Wśród ścian, od walki drżących, ojciec Gedeon na zwykłem swem miejscu, pod daszkiem, na który się sypał grad kamieni, odprawiał już niekrwawą Ofiarę, tak spokojny i bezpieczny, jakby był jeszcze w swoim cichym klasztorze za dawnych szczęśliwych czasów.

Na pomoście odkrytym, w podwórzu, walkę na okopach daleko wyraźniej, głośniej i straszniej słychać było niż w izbie. Niewiasty, zaledwie wyszedłszy, struchlałe popadały na kolana, modlić się nie mogąc,

oczy zapłakane zwracając na kapłana, którego ani ten szum, ni łoskot kamieni, toczących się po dranicach, ni ranionych jęki nie zdawały się poruszać. Starzec był cały w modlitwie i w Bogu, duszą na innym świecie.

Same niewiasty dziś i dzieci małe go otaczały. Starsze chłopaki, choć ich odpędzano, nie wytrzymali, dziecinnych swych proc i małych łuczków poszły próbować na okopach. Walczący pozbyć się ich nie mogli.

Śród niewiast rozpłakanych jedna twarz Belinowej spokojną była, jednej Kasi oczy otwarte szeroko, usta wpół odemknięte, całe lice dziecięce jeszcze, prawie męskim duchem tchnęło. Zdało się, jakby co chwila zerwać się chciała i biec a walczyć. Najmniejszej już obawy nie zdradzała zmarszczona twarzyczka, pałająca gniewem i niepohamowanem pragnieniem skoczenia tam, gdzie wrzał bój.

Belinowa jej usta dłonią zamknęła.

Walka, której od ołtarza widać nie było, tem sroższą się przez to zdawała, że głosy jej tylko tu dolatywały. Uszy modlących się niewiast, dziewcząt, dzieci, przy każdym głośniejszym krzyku boleści lub gniewu starały się pochwycić wyraz jego, odgadnąć pierś, z których wychodził.

Głowy wszystkie zwracały się ku wrotom, przez które buchała ta wrzawa bojowa.

Gdy nakoniec ojciec Gedeon odwrócił się i zakreślił wielki krzyż w powietrzu, żegnając nim razem żony, dzieci i tych, co niewidzialni za nich walczyli — niewiasty padły na twarze, płacząc... Kapłan już znikł, a one jeszcze powstać nie śmiały. Kasia tylko zerwała się jedna i z oczyma obróconemi ku wałom, drżała, że nie mogła biec ku nim.

Zdana ją pochwyciła za rękę i gwałtem niemal do izby nazad zawiodła.

Jakże zazdrościła Kasia starej Hannie Belinowej, która, nie wytrzymawszy, choć strzały dolatywały, choć kamienie padały śród podwórza, wyszła własnemi oczyma spojrzeć na to, co się tam działo i czuwać nad panem a mężem swoim.

Serce miała hartowne a męskie, przetrwało już ono stratę dwóch córek, skon jednego syna. Z pięciorga dwoje tylko zostało. Z tych dwojga jeden był tam — na wałach, pewnie gdzie najgorętsza wrzała walka, gdzie największe było niebezpieczeństwo!

W izbie na dole pusto było, starzy, ranni, osłabli, wszyscy, z czem kto mógł, powlekli się na wały. Nie mogło ich tam być nadto dnia tego, gdy każda i najsłabsza nawet ręka na coś się przydać mogła. Świeżo pokaleczeni zbiegali tu na chwilę, aby obwiązać ranę, zatamować krew i wracać na wały. Toporczyk postrzelony zębami sobie zawiązywał ranę, z której krew się toczyła obficie, aby biec do swoich...

Horodyszcze zewsząd było, jak mrowiem, opasane tysiącami ludu, cisnącego się nań przebojem. Ci, co szli naostatku i pozostali jeszcze w dolinie, pchali i naciskali tych, co się w pierwsze dostali szeregi. Czerń się cofnąć nie mogła, choćby chciała, choć na jej głowy i karki spadały kłody ogromne, a kamienie, toczące się, gruchotały ręce i nogi. Naciskano i parto ztyłu. Po upadłych i zgniecionych wdrapywali się żywi, i wał z trupów leżał u ostrokołów.

Masław stał na uboczu, w rogi tylko każąc trąbić, aby zagrzewać do boju. Tłumy tak szczelnie opasywały gródek, że nie było miejsca na wałach, gdzieby się im obraniać i opędzać nie było potrzeba. Od rzeczki nawet przez hacie i mosty, naprędce poklecone, dostała się przededniem gromada, z tej strony naciskając i dobijając się wściekłej, bo rachowała, że tu obrona będzie najsłabszą.

Ludu z pierwszego podwórza, któremu zawierzyć nie było można, choć ręce jego bardzoby się były przydały, użyć Belina nie mógł inaczej, jak kupkami rozdzielając go między rycerstwo, a pilne nań mając oko. U wrót nie postawiono z nich nikogo. Szli chłopi pod grozą, niechętni, chmurni, leniwie, ledwie spełniając rozkazy im dawane. Na twarzach ich malował się gniew tłumiony, jakby lada chwila miał wybuchnąć.

Dźwigali kłody, toczyli kamienie, nosili wrzątek, dozorowali, jak niewolnicy...

Rzepiec i Wiechan, uwijający się pośród gromad, coraz ku swoim nawoływali, dawali znaki, aby się zwrócili na oblężonych. Po bladych twarzach przelatywały błyski, lecz ręce się porwać nie śmiały. Belina z mieczem swym nieustannie miał ich na oku. Najmniejszy opór karany był śmiercią.

Pozostałe niewiasty z niemowlętami i dziećmi wybiegały, zagrzane wrzawą, z rozpuszczonemi włosami ku mężom i braciom, aby ich do buntu nawołać, lecz spychano je jak trzody do szop, z których tylko jęk i krzyki dochodziły.

Położenie było rozpaczliwe, straszniejsze się stawało z każdą godziną. Od strony rzeczułki, gdy na świeżo podsypany wał i ostrokoły nowe napadała gromada wielka, w pierwszym nacisku obwaliła się znaczna część ogrodzenia... Wyłom już był zrobiony. Rzucił się, kto żył ku niemu, zawalając wszystkiem, co się pod ręką znalazło. Szczęściem płoty i koły od szop, które rozerwano, dopomogły do obrony... Dwaj Doliwowie stojący tu cudów dokazywali, we dwu starcząc za dziesiątek.

Oba czasu pokoju, w bezczynnem zyciu swarliwi i niespokojni, duchy gorące, skore do kłótni i zwady — tu byli czynni, niezmordowani, a choć już z nich krew ciekła obficie, choć strzały w nich tkwiły jak kolce na jeżach, kamienie natłukły sińców i guzów, żaden z nich nie jęknął i obwiązać się nie poszedł. Każdy pocisk jeszcze ich czynił zapalczywszymi. Siła się w nich dwoiła, dźwigali ciężary, jakichby pospolitego czasu żaden z nich nie poruszył, nie czuli znużenia, śmiali się uradowani niemal.

Belina, patrząc na nich, drżał szczęśliwy, a Mszczuja wśród boju, wpół schwyciwszy, w głowę pocałował. Kupa ludzi, która z tej strony się dobywała, w dość niebezpiecznem była położeniu. Choć liczna i ciągłym zwiększająca się napływem, szła ona przez jedną hać wąską, od reszty gromad odciętą będąc z obu stron

płynącą rzeczką. Wszebór, rozpatrzywszy się tu, zbiegł z wałów do Beliny.

— Ojcze! — zawołał — ulituj się, daj mi ludzi garsteczkę! dużo nie trzeba! Ale daj! Puśćcie mnie jaką dziurą na ten motłoch, ja go w błocie wytopię...

— Gdzie? co? — odezwał się Belina.

— Spojrzyjcież, hać wąska. Oni się nie spodziewają, by ich kto zaskoczył. Wpadniemy na nich, nida. Niezbrojne to i nierycerskie, od cepa i brony. Hukiem to się rozproszy.

Belina bronił się, ręce podnosząc.

— Poszlibyście na zgubę! Was szkoda!

— Wrócimy cało, mój ojcze — puść, bo nie wytrzymam, sam się rzucę na gromadę! — wołał Wszebór.

Szalone to było przedsięwzięcie. W kilkunastu, bo więcej oddzielić nie było można, napaść na kilkuset, zdawało się niepodobieństwem. Lecz tłum ten, spędzony pod Horodyszcze, prawie bezbronny, w koszulach i siermięgach, nie mógł się mierzyć ze zbrojnymi. Wszebór ręczył, klął się, przysięgał, że tę czerń przegoni, byle mu kilkunastu zbrojnych dano.

Spędzić stąd oblegających było wielkiej wagi, gdyż jedną stronę mając wolną, z innych się silniej można było opierać.

Belina lękał się, wahał, zezwolić nie chciał długo. Samo wypuszczenie nie było łatwem.

Wnijście główne na Horodyszcze znajdowało się z przeciwnej strony, od rzeczki była furta mała, zabita i zasypana dawno, tak, że jej śród ostrokołów rozpoznać było trudno. Tę trzeba było otworzyć, narażając się na to, że w razie niepowodzenia, zgraja się przez nią na Horodyszcze najłatwiej mogła dostać.

Stary bronił się, nie pozwalał, na Horodyszczu gotów był walczyć do upadłego, na niebezpieczne próby nie chciał się puszczać, ni siebie ważyć, ni drugich. Lecz z Wszeborem było trudno, gdy się zapalił, zmógł starca nadzwyczajną gwałtownością, napaścią, naleganiem, przymusem niemal do zezwolenia.

Gdy Belina głową dał znak zgody, Wszebór poleciał jak szalony; na wołanie jego, co było gorętszego zbiegło się natychmiast.

— Pójdziemy szczęścia próbować.

W tej ciasnocie bić się, stojąc, nikomu nie smakowało. Wszeborowa myśl wycieczki pozawracała głowy. Napastnicy wcale się stąd nie mogli spodziewać napaści.

Zaczęto furtę odwalać, ziemię odkopywać, a nim się to stało, gromadka Wszeborowych już do wyskoczenia była gotową.

— Mieczów tu nie potrzeba — toporów i oszczepów, jak na dzika! — wołał dowódca.

Chwyciwszy więc topory i oszczepy, cali pookrywani pancerzami, kilku tarczami, czekali tylko, aby się na wrzeciądzach wrota podniosły.

Ciżba, co się na wał cisnęła, nie spodziała się wycieczki, gdy furta się rozwarła, myśleli, że zdradą ją otwarto, i lud chciał się łączyć z nimi... Cofnęli się niepewni... W tej chwili Wszebór z towarzyszami padł na wahających się, prąc ich i rąbiąc...

Z ostrokołów dopomagano...

Na dany znak puszczono kłody ogromne, na bliższych poczęto lać wrzątek, cofnęli się. Wszebór już nacierał z wrzaskiem, z krzykiem, bo w ówczesnej walce głosy też i piersi niemało miały do czynienia. Napastnicy, zaskoczeni nagle, spłoszeni, rzucili się ku haci i mostom... Tu ciasno było, uchodzący sparli się z nadchodzącymi; znaczna część, przed toporami i oszczepami uciekając, w wodę i grzęzawicę wskoczyć musiała...

Z tej pierwszej chwili popłochu umiał Wszebór i towarzysze korzystać. Parli tem silniej i nacierali...

W dzikim tłumie dość zawsze, by jeden tył podał, za nim biegną wszyscy. Ruszyło się to mrowie do ucieczki... Ci, co szli dalej na haci, zawróciwszy się z wrzaskiem, uciekali nazad, staczali się w moczary, padali w rzekę. Wszebór bił, mordował i pędził pomostem dalej. Co zostało odcięte pod Horodyszczem, padło pod toporami; oblegający z drugiej strony oddzieleni

wodą, mając zasłonięty widok Horodyszczem, nie domyślali się nawet, co się tam działo i w pomoc rychło przyjść nie mogli.

Na podziw więc szczęśliwie się powiodło śmiałym Doliwom w pierwszym starciu, a co dziwniejsze, zapędzili się zbytnio... Do pół pomostu doszedłszy, wnet go zrywać zaczęli, kłody ściągać, burzyć i na zamek cofać się znowu.

Odparty tłum nie śmiał już i nie mógł powracać, oparł się aż na brzegu przeciwnym.

Zuchwałej, szalonej wycieczce Wszebora winno było Horodyszcze, że się dzielniej z innych stron bronić mogło. Belina, widząc, że przynajmniej jeden bok do jutra mieć będzie wolny, mało co ludzi tu zostawiwszy, resztę pchnął tam, gdzie główne siły Masława zgromadzone były.

Lik ich ogromny wrzawę przerażającą powiększał, ale w rzeczy nie pomagał wiele. Znaczniejsza część, przystępu nie mając, stała, wrzeszcząc, w dolinie, cisnęła swoich, rzucała z proc kamieniami, które często własnym towarzyszom na głowy spadały, a przybliżać się nie mogła. Okopy całe już niemal trupami i rannymi zawalone. Kłody niektóre, nawpół ludzi przygniótłszy, trzymały do ziemi przybitych, nie mogących się ani wyrwać, ni skonać. Po ich ciałach, po trupach drapali się drudzy nie tak natarczywie i śmiało, bo z ostrokołów grad się sypał na głowy, strumienie wrzątku oblewały, smołą zażegniętą w garnkach ciskano na tych, co się bliżej dobili.

W tej walce zajadłej przeszło południe. Masław, który spodziewał się wszystko w parę godzin dokończyć, wściekał się, widząc zajadłą obronę, która tyle ludzi kosztowała, a pozostałym odebrała odwagę. Coraz się sam ze swoimi przybliżał, podjeżdżał, wybrał wreszcie najsprawniejszych, aby pod główne wrota podpadłszy, podpalili je i rąbali.

Nad wrotami temi oddawna się gotowano do obrony najdzielniejszej. Samo ich położenie ułatwiało tu opór. Znajdowało się bowiem wnijście główne w ro-

dzaju wąwozu, w którym ledwo kilku ludzi w poręcz stanąć mogło.

Belina od tana deski kazał oblewać wodą, aby namokłe niełatwo się zażec dawały.

Na górnym pomoście, nad bramą daszkiem osłonionym, stali najmężniejsi ludzie, najśmielsza młodzież. Od łuków i kamieni kawał rzadkiego ostrokołu ich okrywał, mogli więc bronić się stąd, niebardzo będąc wystawieni na pociski. Kamieni pod ręką mieli stosy, belek kilka grubych do ciśnięcia, a rąk nie brakło. Masław, sam podbiegłszy, pędził swoich, na wrota ukazując; podbiegło kilkudziesięciu z tarczami lipowemi skórą poobijanemi, które w polu były dobre przeciw mieczom, a od kamieni i belek obronić nie mogły.

Dano im się podsunąć do wąwozu w wałach, z zapalonemi żagwiami przybiec aż pod wrota niemal, dopiero runęła na nich kłoda przysposobiona, od której uciekać chcieli napróżno. Zabiła ona kilku na miejscu, reszta, cofnąwszy się, stała zdala... Widząc, że się podkraść tu trudno będzie, suchy chróst poczęli gromadzić wiązkami, opodal nieco, chcąc go potem podpalony podtoczyć.

Nim się na to zebrali, zmierzchać zaczęło. Najkrótsze dnie późnej jesieni skracało jeszcze chmurne tego czasu niebo; ludzie byli straszliwie znużeni, tak, że ze dniem i szturm znacznie wolnieć zaczął. Pozostawały tylko zapalczywsze gromadki ochotników, ale i te się już przerzedzały. Oblężeni wyglądali nocy, jak wybawienia, choć wiedzieli, że całkiem ubezpieczeni spoczywać nie będą mogli, częściami jednak mieniając się, odetchnąć się spodziewali.

Pierwszy ten dzień niezmiernego wysiłku znużył rycerstwo; wielu zmusił do ustąpienia dla ran i zmęczenia; był wprawdzie szczęśliwym, lecz gromadom nie zadał klęski wielkiej, pobudził je tylko do wściekłości. Strata kilkudziesięciu, choćby kilkuset ludzi, nic w tych tłumach nie znaczyła. Spędzeni od strony rzeczki, pierzchnąwszy ze sromem, wściekali się, od-

grażali i tem zajadlej sposobili tąż samą powrócić drogą.

Widok licznych trupów, które na wałach i pod wałami leżały dokoła, rozbudzał chęć zemsty w tłumach, które, ściągając je, miotały obelgi i łajania... Gotowano się obyczajem pogańskim sprawić im pogrzeb, paląc ich na stosach.

Na Horodyszczu belek, drzewa i głazów niewiele już było; zostało to, co na budowlach sterczało i w ziemi pod niemi. Stary Belina kazał wieczorem stajnie i szopy rozrzucać. Spędzono lud do roboty przy łuczywach, postawiwszy dozorców. Słupy, belki, krokwie nawet, kamień z fundamentów musiały się nocą na jutro gotować.

Gdyby obrona przeciągnąć się miała, za szopą jedną musiały pójść drugie, choćby sam dworzec walić przyszło i pod gołem niebem koczować.

Noc to była bez snu i spoczynku; na nieprzyjaciela w domu zważać trzeba było pilno, by mu się nie dać naradzać i skupiać, strzec na wałach i u wrót, aby z zewnątrz się nie podkradli Masława ludzie. W izbie na dole po kilku tylko i na krótko odpocząć mogło. Tu opatrywano rany, dawano jedzenie, starsi przychodzili wyciągnąć się na podłodze, by im ręce i nogi po tej młocbie nieustannej odeszły.

W kilku miejscach, gdzie napaść była żwawsza, nietylko strzałami i kamieniami, ale oszczepy i toporami obraniać się musiano... Nim kłodę dźwignięto, gdy czerń po trupach już na ostrokoły się parła, twarz w twarz, piersi z piersią, spotykać się przychodziło. Chwytano się za włosy i rąbano toporami. Stary Lasota, który miał tylko posługiwać, choć słaby rzucił się w gąszcz, nie strzymał, krwią był zbryzgany i ranny.

Mało też kto dnia tego został całym, choć rany straszne nie były; najwięcej guzów i sińców nabiły kamienie, ran drobnych a bolesnych narobiły strzały kamienne. Oblegających więcej mieli i straszniej pokaleczonych.

Przez całą noc w obozie szeroko rozłożonym, sięgającym aż do zamczyska, ruch był i jakieś przygotowania. Świeciło się w namiocie Masława, ludzie zeń wychodzili i przybiegali doń ciągle...

W mroku kilka razy oblegający podkraść się usiłowali, lecz znaleźli przygotowanych i strzałami gęstemi wystraszeni, pierzchnęli. Straże chodziły wszędzie.

Krótszym się pewnie dzień ten pamiętny wydał tym, co go w bojowym spędzili wrzątku, niż biednym niewiastom, skazanym na przysłuchiwanie się bezczynne, ciągłą trwogę, którą każdy większy łoskot obudzał. Słysząc krzyki gwałtowniej wybuchające, wybiegły wszystkie, patrząc, ażali się już nie wdarła czerń przez wrota, lub nie wywaliła gdzie ostrokołu. Dziewki służebne, które mimo boju dla wszystkich przecież strawę i napój przygotowywać i roznosić musiały, wracały przez cały dzień, przynosząc niedorzeczne trwogi, zwiastując niemal ostatnią klęskę, tak, że odważniejsza Zdana z Kasią wybiegać musiały, aby się o prawdzie przekonać.

Spokojne dziewczę w chwili niebezpieczniejszej zmieniało się w bohaterkę, tak, że Spytkowa oczom swym, patrząc na nią, wierzyć nie chciała. Dwa czy trzy razy musiała jej nakazywać porzucić siekierę, za którą porwała.

Co się działo ze starym Beliną, tenby mógł powiedzieć chyba, co za nim krok w krok chodził. Widziano go wszędzie, gdzie najgoręcej było. Milczący stawał na pomostach i ogromnym swym mieczem, do którego obu rąk potrzebował, wywijał i rąbał potężnie. Nigdzie miejsca nie zagrzewając, przenosił się ciągle, gdzie była potrzeba, i niekiedy tylko dobywał ogromnego głosu, pędząc ludzi...

Wieczorem on i znaczniejsza część wojowników ledwie się na nogach utrzymać mogła. Padali jak podcięci, dysząc długo, nim cokolwiek sił wróciło. Jadła i napoju nie brakło teraz; dla kogóż oszczędzać je mieli? — godziny były policzone.

Na jedną tylko Opatrzność chyba, jak mówił ojciec Gedeon, rachować było można, ona jedna pozostała. Dzień, dwa takiej napaści gromadnej odcinaćby się zdołali oblężeni; nic ich nie mogło ocalić, jeżeliby osada dłużej trwała... Widzieli to wszyscy, choć nikt o tem mówić głośno nie śmiał, by drugim nie psuć serca i nie zwiększać trwogi. Ukradkiem szli starsi pod ołtarz do spowiedzi i gotowali się na śmierć.

Przeczucie końca, a postanowienie bronienia się do ostatka uroczystą powagą oblekało tę garstkę ludzi, co do skonu się gotując, uśmiechali się, nie okazując trwogi po sobie.

Gwarzono o rzeczach obojętnych, aby o tem, co w myśli było, nie wspomnieć. Rodzina, żony, dzieci, ojcowizny spustoszone, wszystko, co rzucić mieli na wieki, stawało w oczach tej godziny ostatniej, a oczom męskim łzy uronić nie było wolno.

Łagodnie podżartowywali z siebie, pokazując sobie wzajem rany i opowiadając dnia tego dzieje... Oczyma tylko potajemnie mówili sobie, jak rzymscy gladjatorowie:

— Na śmierć przeznaczeni jesteśmy!

Przez całą noc izba się nie zamykała: wchodzili jedni, wysuwali się drudzy, nadsłuchując, ledwie przysiadł, lub przyległ który. Większa część przychodziła milcząca posępnie, poobwiązywana, krwawa; jeden przy drugim szukał miejsca na słomie, by rozprostować skurczone członki.

Tuż przy ogniu siedział ziemianin od Poznania, a zwał się Poturga. Najmniej pono wojował, choć się dużo kręcił, głośno stękał i wyrzekał, a wszystko mu złe było. Ten podniósłszy głowę, zawołał ku Belinie:

— Poco się już tu i bronić! sprawa przegrana i koniec!

Belina obrócił się nadąsany.

— A cóż lepiej, od stryczka ginąć, czy od topora? Zdać się na wolę? hę?

— Cóż pomoże bić się, kiedy się nie wybijemy?

— To poginiemy w boju! — krzyknął Belina drżący z gniewu. — Poginiemy, bośmy powinni! Motłoch tylko pada twarzą o ziemię, aby sobie życie wyprosić.

Poturga kiwał głową milczący.

— Chce się wam do Masława iść — dodał Belina — ja wam wrota otworzyć każę lub spuścić na postronkach...

Wtem z drugiego kąta ciemnego, w którym nic dojrzeć nie było można, chrapliwy głos z podłogi ozwał się, przerwaną ciągnąc rozmowę:

— Co prawda, to prawda! Tak było uczynić, jak zawczasu radził Doliwa, bo on rozum miał. Przebojem było iść i w lasach się schronić.

— A potem? — spytał smutnie Lasota.

Na to nie było odpowiedzi, tylko poza niemi szmer się dał słyszeć, jakby kto wchodził pocichu. Od ogniska przygasającego mało blasku na ciemną izbę padało.

Obejrzeli się: za nimi stał z rękami założonemi na piersiach, w czarnej swej sukni, w kapturku na głowie, ojciec Gedeon. Blada twarz jego była dziwnie smutno uśmiechnięta, jakby z politowaniem. Patrzał na płonący ogień, choć gdzie indziej był myślami.

Gdy wszyscy milczeli, mnich powiódł oczyma dokoła.

— Bracia mili! — rzekł głosem słodkim, w którym przebrzmiewało niezrozumiałe dla słuchaczów wewnętrzne wesele. — Bracia mili! Ani na przeszłość narzekać, bo ta się nie zmieni, ani przyszłość zgadywać i trapić się nią zawczasu, nie godzi się! Najlepiej człowiek ten czyni, co spełnia dziś to, co na dobie, a jutro zdaje na ręce Boże. Takeście uczynili dziś właśnie, a zaprawdę, dzień to był rycerski, wielki, piękny! Bóg, co patrzy na nas zgóry, nie miałżeby tej walki za żony i dzieci, tak świętej i poczciwej, ukoronować zwycięstwem?!

— Eh! eh! ojczaszku! — śmiejąc się szydersko, zawołał z kąta Poturga. — Eh! eh! co bo z nas sobie żarty stroicie! Gdyby sam Pan Bóg się w to wdał, to nas nie ocali! Wpadliśmy w matnię i po wszystkiemu...

Ojcu Gedeonowi, słuchając tej mowy bezbożnej, twarz zapłonęła; podniósł ręce do góry.

— Człecze bezbożny! — zawołał oburzony. — Milcz, abyś gniewu Bożego na dom ten nie ściągnął. Cóż dla Boga niepodobnem? co dlań niemożliwem?

Poturga, ręką kiwając, śmiał się. Kapłan z prostodusznego, pokornego przed chwilą poważnym stał się i groźnym, rósł w oczach, ogień przebiegł mu po licu bladem, zmienił się, przybrał postać nakazującą, proroczą. Nie władał sobą.

— A ja ci mówię, nieszczęśliwy człowiecze, iż oczy twoje ocalenie widzieć będą, a tyś, co w nie uwierzyć nie chciał, nie ufając Boskiej potędze, ty jeden ocalonym nie będziesz.

Wskazał nań palcem i umilkł. Przerażeni tem wszyscy, poglądali nań. Ojciec Gedeon stał, zwolna powracając do zwykłego wyrazu twarzy. Poprawił kapturek, który mu się był zsunął z głowy, spuścił oczy i jakby zawstydzony tem, że się uniósł zbytnio, powolnym krokiem wyszedł z izby.

Poturga siedział blady, lecz śmiech zszedł mu z twarzy; drżał cały.

Belina powstał wprędce i, popatrzywszy nań, wysunął się także.

Na wałach paliły się ognie wszędzie, chodziły straże, od doliny dolatywały gwary; niekiedy głośniejszem łajaniem odpowiadały czaty na zaczepki podchodzących.

Stary gospodarz wdrapał się nad wrota, aby popatrzeć w dolinę. Noc była ciemna, wśród dymów gdzie niegdzie czerwieniały gasnące ogniska, żółtemi płomieniami paliły się świeżo nałożone. Mało kto zasypiał. Czarne cienie snuły się pojedyńczo i kupkami, szczególniej około namiotu Masława głuchy gwar mieszał się z poważnym lasów szumem. Na dole widać było jeszcze niepościągane trupy, leżące śród belek i kamieni. Skradających się ku nim straże raziły strzałami. Psy wyjąc, włóczyły się po obozowisku, wdali rżały i prychały konie. Jak zajrzeć, rząd ogni wyciągał się

daleko aż na brzeg lasów, w których stare, smolne sosny, podpalone zdołu płonęły, jak świece olbrzymie. Niebo było czarne, obłoków nawet dojrzeć na niem nie było można, tylko wdali łuną odbijały się na nich czerwone dymy, to rozżarzając się, to gasnąc...

Belina stał na grodzisku swych ojców i myślał.

— Jutro będzie stosem popiołów, a my legniem może, jak te trupy.

Na wyżkach żadna z niewiast kłaść się do snu nie chciała, lękały się nocnego napadu. Palił się ogień ciągle ożywiany, siedziały wszystkie dokoła, po ławach, na ziemi, żadna nawet do ręki nie wzięła kądzieli. Nie chodziły palce, drżały dłonie, stały tęskne kądziołki, pospierane po kątach; dziewczęta z pozakładanemi rękami dumały. Śpiew na usta nie przychodził.

Rzadko która szeptem się do drugiej odezwała cichym. Stara Spytkowa, której usta mało odpoczywały, narzekaniami ciągłemi trapiła swe towarzyszki.

— O! żebym ja to była przeczuwała — stękała biedna, — żebym ja była wiedziała, co mnie czeka w tym kraju waszym nieszczęśliwym, nigdybym z Rusi uprowadzić się nie dała. Miałam kniaziowskie, bojarów, starostów swaty, w murowanym grodzie bezpieczna, wiekubym dożyła, czy w Kijowie złotym, czy w Połocku, czy w Nowogrodzie, choć tych nowogrodzian cieślami wszystkich przezywają! A tu! tu!

Ruszyła ramionami.

— Za grzechy żyć mi tu przyszło!

— Albo to na Rusi wojen niema? — spytała Zdana nieśmiało.

— Ale nie takie, jak wasze — odparła Spytkowa. — Potłuką się czasem Waragi z naszymi, porzną na polu, a nam niewiastom co do tego! Wyjdą za gród, wyciągną na doliny, w zamkach spokojnie!

Nikt nie przerywał Spytkowej, gdy Zdana, która się była wychyliła do ciemnej komory, nagle krzyknęła wielkim głosem.

Zerwały się wszystkie, wtórując.

Na gródku gwar się jakiś wszczynał. Przez szczeliny ścian komory przeglądało światło wielkie, bliskie, czerwone, widać było jakby iskry przelatujące.

— Gore! gore! — wołała Zdana.

Wszystkie się ku drzwiom cisnąć zaczęły z krzykiem.

— Ogień! gore!

Coraz rosnąca wzmagała się wrzawa.

Gorzało w istocie na Horodyszczu, podpalone ręką złych ludzi płonęły szopy, a że wszystkie budowle dachami się łączyły z sobą i wiatr płomień niósł na dworce, pożar groził grodzisku, pomostom i ostrokołom, które całą stanowiły obronę.

Czerń, która pod wałami zaczajona leżała, rachowała na tę chwilę popłochu i z okrzykiem rzuciła się ku okopom.

Suche chróściane ściany szop, słoma i siano pod niemi gorzały jak jeden stos płomieniem ogromnym. Połowa rąk rzuciła się w ogień, druga musiała bronić ostrokołów, ku którym cisnęli się napastnicy.

Zdało się, że nadeszła chwila ostatnia, zostało do wyboru, ginąć w płomieniach, lub z rąk dziczy. Sam Belina z garścią swoich pobiegł w ogień, nie straciwszy męstwa, Tomko z Doliwami na wały.

Zawrzało znowu istnem piekłem. Trzask padających budowli wtórował okrzykom dzikim.

Lecz jakgdyby Bóg litościwy w pomoc chciał przyjść nieszczęśliwym, których rozpaczliwe jęki wznosiły się ku niebu, nagle puścił się deszcz rzęsisty, ulewny, który dopomógł do ugaszenia pożaru, więcej niż ludzie, co go zalewali i rozrywali. Na ostrokołach broniono się ostatkiem kamieni i drzewa, wkońcu z pożaru chwytając rozżarzone głownie i ciskając je na oblegających.

Ci spostrzegłszy że ogień, na którego pomoc rachowali, przygasał, omyleni w nadziejach, zwolna ustępować i chronić się zaczęli od nawałnicy. Z nieba lało owym deszczem łaski i cudu: jakby go modlitwa ojca Gedeona sprowadziła.

Niewiasty biedne, nierychło po tym strachu przyszły do siebie. Kilka z nich, jak nieżywe z przerażenia popadały. Spytkową zanieść musiano na jej łoże, inne cucić i trzeźwić wodą. Krzyki niewieście tak były przerażające, że Belina, aby ludziom serca nie odbierały, dwakroć z groźbami do nich wysyłać musiał.

Na dzień się brało, gdy pożar został ugaszony i deszcz też począł ustawać, a co rzadko w jesieni, po gwałtownej ulewie nad rankiem wiatr się obrócił, porozrywał gęste chmury, odsłonił niebiosa, zapowiadać się zdawała pogoda.

Byłoż to wróżbą, czy losu urągowiskiem?

W dolinie dymy się wlokły, od powodzi wezbrana rzeczułka i moczary jakby jednym wielkim wydawały się stawem. Widać było pochwycone i rozebrane stogi siana dla koni poskładane. Stada cisnęły się ku lasom, ludzie brodzili w kałużach... Blask dnia przeglądał się w obmokłych łąkach. Ranek robił się coraz jaśniejszy.

— Na wały! do ostrokołów! — krzyczał stary Belina.

Ściągali się wszyscy na stanowiska, a gospodarz znów nad wrota wyszedł popatrzeć, co się dokoła działo...

A działo się tu coś dziwnego, co trudno było zrozumieć.

Choć dzień rósł i słońce już wschodzić miało, w całym obozie poruszenie widać było gorętsze, żwawsze, pośpieszniejsze, niż wczora, lecz jakby ku innemu jakiemuś skierowane celowi. O grodzisku zdawano się zapominać.

Namiot Masława widać było, jak na dłoni. Tu konie uzdano, ludzie kupili się pośpiesznie, robiono coś około samego namiotu, jakgdyby go zwijać miano. Wybiegali zeń ludzie jedni, przyjeżdżali cwałem drudzy... Nawoływano i trąbiono w rogi.

Kupy ludzi, wczoraj rozpierzchłe bez ładu, zbierały się i ustawiały. Krzyki i odgrażania się ustały, cała ta ciżba jakiemś przygotowaniem pilnem była zajęta. Ci

nawet, co pod samem Horodyszczem całą noc przesiedzieli, rozeszli się od pogaszonych ognisk precz i z gromadami w dolinie połączyli.

Nad wieczorem i nocną porą, przed ulewą, Sobek słyszał i podpatrzył, że przy ogniach na nowo hacie i mosty na rzece i trzęsawiskach naprawiać zaczęto, teraz dano znać Belinie, że robotę porzucono i ludzie stamtąd także odciągnęli.

Co miało znaczyć to zbieranie się nagłe w dolinie, ruch niespokojny, zapomnienie nadewszystko o gródku zagrożonym, nikt sobie wytłumaczyć nie umiał. Jedni widzieli w tem cud zapowiedziany, drudzy lękali się napaści nowej, z większym ładem i siłą przygotowanej.

Niezrozumiałe te ruchy tem straszniejszemi się wydawały.

Gdy słońce weszło, namiot Masława ściągnięty już był i na wóz rzucony. Sam on w stroju pańskim, w którym tu przybył dnia pierwszego, wyjechał z drużyną w dolinę. Przejeżdżał od gromady do gromady, jakby je opatrywał i ustawiał.

Tłum ten, wczoraj wrzawliwy i zuchwały, milczący był jakiś i zaprzątnięty. Nikogo nie zostawiono przy Horodyszczu, tak, że znużona załoga mogła, pokładłszy się za ostrokołami, spocząć bezpieczniej, dopókiby znów do walki powołaną nie była.

Czasu tego użył stary dowódca, nakazując z rozebranej szopy, z niedogorzałych stajen znosić kłody na górę i przysposabiać się do odparcia nowej napaści.

Trochę swobodniej oddychali wszyscy. Niewiastom, jak to zwykle trwoga i wesele, smutek i uśmiechy łatwo i prędko po sobie przychodzą, wróciła zaraz nadzieja i umysł swobodniejszy.

Tomek miał czas pójść do matki i Zdany, a że Spytkowa, po nocnym przestrachu, nie ozdrowiawszy jeszcze, leżała, a Kasia w pierwszej izbie była z siostrą, mógł się i do niej przybliżyć. Blada jego twarz, ślady krwi od ran obudziły w dziewczęciu uczucie, które się śmiałem objawiło wejrzeniem.

— O! — śmiała się Zdana — ktoby temu uwierzył, że ta słaba Kasia wczoraj się do siekiery brała i ledwie ją było można utrzymać.

Wydane z tajemnicy dziewczę zarumieniło się, odwróciło oczy, ukryło twarz, chciało się tego zapierać, lecz stojące niedaleko dziewczęta poświadczyły. Tomko patrzał na nią z radością i dumą.

— Jeżeli nam Bóg życie ocali cudem jakim — odezwał się Tomko do siostry — będziemy mieli kiedyś co przypominać. Co się tu działo, przeżyło, temu się później uwierzyć nie zechce.

— O! prawda — mówiła Zdana, wyręczając Kasię, której oczy mówiły za usta — prawda! Mnie się i teraz wszystko, gdyby jakim snem wydaje! Nie wiem już sama, kiedy śpię, a marzę, a kiedym na jawie.

Spytkówna potrząsała główką, to patrzała śmiało, to wstydząc się spuszczała oczy, to je podnosiła zuchwale, to spotkawszy wzrok śmielszy jeszcze od swego, musiała mrużyć powieki.

— Bolą was rany? — zapytała pocichu, chcąc przecie coś powiedzieć.

— Nie — rzekł Tomko. — Co to za rany! Boli mnie to, że wy u nas taką złą i niespokojną macie gościnę, że się aż do siekiery brać musicie...

Zarumienione dziewczę potrząsnęło główką, długa kosa złocista zawinęła się jej na ramię. Zajęła się kosą.

— A bez tej gościny — rzekła wreszcie — tobyśmy chyba w lesie z głodu umrzeć musiały!

Widząc, jak im słodko oczy latają, Mszczuj niewdzięczny przypomniał się Zdanie. Cicho spytała brata o niego, a on tymczasem wzroku z Kasi nie spuszczał. A było mu dziwnie, jakby ta czerń nie stała już u progu, jakby życie nie wisiało na włosku, jakby na świecie stała się wiosna i pokój. Zapomniał o wszystkiem, było mu błogo...

— A! kiedyż to się skończy! — westchnęła Zdana.

— O! skończy się i szczęśliwie! — dodała Kasia. — Ja się nie lękam! Ojciec Gedeon mówił, że Bóg cud uczyni!

— Dla mnie choćby najszczęśliwiej poszło, to mi nigdy szczęśliwie nie będzie — odezwał się Tomko cicho. — Gdyby lepsze czasy nadeszły, wy stąd od nas wyciągniecie w świat, a z wami!...

Kasia przestraszona cofnęła się, chwytając rękę Zdany, Tomko nie śmiał dokończyć.

Patrzały na siebie dziewczęta. Dobra siostra przyciągnęła Kasię ku sobie, z nią razem zbliżając się do brata.

— Posłuchajno, co Tomko ci mówi — szepnęła natrętnie, — ja ręczę za niego, on prawdę powiada! Ja wiem!

Resztę skończyła na ucho. Kasia cofnęła się, niby słuchać nie chciała, a słuchała z uśmiechem i rada.

— Ej! matusia jak podsłucha! jak zobaczy — mówiła żywo, — ja się boję...

— Byle Bóg dał koniec temu — począł, śpiesząc się, Tomko — jak miłościwa pani, matka wasza posłuchać mnie nie zechce, jak... mi was odmówią, Bóg widzi, choćby gwałtem porwać przyszło, a będziesz moją.

To mówiąc, zawrócił się Tomko i pierzchnął. Kasia powiodła dokoła przestraszonemi oczyma, czy kto nie podsłuchał... Zdana jedna tylko słyszała, a ta ją pocałowała w czoło i uścisnęła milcząca.

Starszyzna cała, stojąc nad wrotami, radziła.

— Co się stało z nimi! co się stało? — mówiono. — Poco się oni tam kupią i gromadzą? Dlaczego nam dali spocząć? Co się tam dzieje w dolinie!

—Ani chybi — mówił podejrzliwy Lasota — to chytry wybieg tego motłochu. Chcą, żebyśmy się ubezpieczyli, a potem napaść i wziąć nas łatwiej, jak pilności nie będzie. Juści tak nas opuścić nie mogą.

— Tylko trupa zostawiwszy! — dodał Toporczyk... — Nawet stosów nie ponakładawszy, porzucili je.

— Mają nas chyba za głupich ludzi — rzekł Belina, myśląc, że się im jak dzieci wziąć damy.

— Kto wie, co Masław wymyśli — mówił Wszebór Doliwa — to pewna, że nas nie rzucą po dobrej woli!

Rozprawiano, patrzano, nikt nie rozumiał, co się działo i dlaczego tak nagle zmienił się szturm w dzisiejszy spokój... Wyszedł i benedyktyn na pomosty.

— Ojcze Gedeonie — poczęto wołać — ty nam powiesz chyba, co się to dzieje!

— Wojennym mężem nie jestem — rzekł kapłan spokojnie, oczyma wodząc po dolinie — jedno tylko wiem i widzę, dniem i nocą, że kogo Bóg łaską swą ocalić zechce, temu z niebios zsyła pomoc niespodzianą... Na pożar ulewę, na znużenie spoczynek, Bóg wielki!

Gdy w serca jednych wstępowała uciecha, drugich rozpacz ogarniała i trwoga. Groźny wczoraj, opierający się lud, doczekawszy ranka, gdy ujrzał Masławowe gromady, uchodzące w dolinę, zawiedziony w nadziejach, jęczał i przeklinał. Rozbici i porozdzielani małemi kupkami po okopach, siedzieli, starzy pogrążeni w sobie, młodzież się po ziemi tarzała. Niewiasty z dziećmi odosobnione w podwórzu, płakały. Wszyscy obawiali się zemsty, przeklinali swoich, zawodzili pieśni pogrzebowe. Pospólstwo także nie wiedziało, co znaczył ten pokój nagły po wczorajszej walce, gdy Horodyszcze słabsze, jużby się obronić nie mogło...

Wczorajszy gwarny gródek olszowy stał się milczący, zdawał pusty. Z okolicy ledwie gwar niezrozumiały dochodził niekiedy z szumem wiatru; ozwał się róg wojenny i umilkł.

Tłumy się jednak nie rozchodziły. Obozowisko wróciło ponad rzeczkę, oparło się o las jedną stroną i tak się na coś oczekiwać zdawało. Myślano, że na posiłki nowe, lecz do zdobywania Horodyszcza nie były one potrzebne, mieli nań siły, aż nadto wystarczające.

Poturga nawet, co wczoraj w cud Boży nie wierzył i Bogu mocy poratowania oblężonych zaprzeczał, stał zamyślony, sam nie wiedząc, co miał trzymać. Wczorajsza przepowiednia ojca Gedeona przychodziła mu na myśl jak groźba i mrowie po nim przebiegało.

— Teraz to — zawołał mimowolnie Belina — zdałby się ów zachwalany Sobek Spytkowej.

Bartnik, który pod ścianą stał na uboczu, uśmiechnął się i nisko pokłonił.

— Niechno się trochę zmierzchnie — rzekł, szepleniąc, — jeżeli się nic nie odmieni, to się spuszczę z wałów i powlokę.

Horodyszczu na dziś nic się nie zdawało zagrażać. Rozstawiwszy czaty, starszyzna poszła do izby spoczywać.

Sobek zniknął o mroku.

Wieczora tego nie było rozmów, ani sporów, wszyscy, gdzie kto padł, pospali się, radzi, że oczy zamknąć mogą. Straże się tylko mieniały, budzono starszyznę pokolei, szli jedni, pokładali się drudzy. Na Horodyszczu cicho było, aż straszno. Niewiastom zdawało się ciągle, jakby je miała znowu rozbudzić łuna i wrzaski.

Nadedniem starsi, którzy długiego snu nie potrzebują, poruszyli się wcześnie, młodzież jeszcze odpoczywała snem kamiennym, niekiedy przez sen wydając okrzyki wojenne, gdy stary Sobek zjawił się w izbie i ognisko zgasłe począł rozpalać, bo i sam się rozgrzać potrzebował.

Zastał go tu Belina i pośpieszył ku niemu.

— Tyś to? — spytał.

— Jamci, panie, jak widzicie! Tyle, żem po ziemi pełzając, zawalał się cały.

— A przyniosłeś co?

— Jak nic! — westchnął pomieszany Sobek. — Pod same namioty się wkraść udało, a nic nie zdobyłem. Zdaje się, że nieprzyjaciela jakiegoś się spodziewają. A no kogo? skąd! — pochwycić niepodobna. Masława ludzie chodzili po obozie, zapowiadając, że kupka jakaś nieznaczna się tu wlecze, że ją jak robaka po deszczu zdepczą, od wczoraj piwem lud poją, broni rzucać i kłaść się zakazano, a kupy się trzymać.

Sobek był widocznie zgryziony tem, że mu się wyprawa nie powiodła i że tak, jak z niczem powrócił. Spytano go czy nie słyszał o Horodyszczu.

— Lekko sobie oni nas ważą — odparł stary. — Mówią, że wezmą, kiedy zechcą, ani się o to troszczą. Pilno im teraz znieść nieprzyjaciela, na którego się zasadzili.

Poczęto tedy odgadywać, kto mógł być tym nieprzyjacielem Masława, który z Czechami unikał walki. Godzili się na to wszyscy, iż to być musiała jakaś garstka rycerstwa polskiego.

— Jeśli to ci, na których myśmy trafili — dodał Wszebór — którym stary Trepka dowodzi, zaprawdę zyszczemy tylko tyle, że nim sami klęskę poniesiemy, na ich rozbicie oczy nasze patrzeć będą musiały.

Wszyscy posmutnieli.

— Ale nie może być —dodał Doliwa, — ażeby oni ze szczupłą garstką ważyli się na tłum ten porywać.

— A jeżeli oni o nim nie wiedzą i wpadną w zasadzkę, a tłum na nich się porwie? — rzekł Lasota.

Nierychło odpowiedział Wszebór.

— Bóg niech strzeże — odezwał się ponuro wkońcu. — Mężni to ludzie i rycerstwo najprzedniejsze, ale jeden na dwustu lub więcej stać nie może, chyba w bajce. Gdyby najlepiej zbrojny był i najlepszego serca, dziesięciu powaliwszy, wkońcu sam paść musi.

Wyrwały się westchnienia z piersi.

— Miałże Trepka ciągnąć w tę stronę — pytali, patrząc na Wszebora.

— Jako żywo, w myśli tego nie mieli, owszem, gdym ich o to prosił, odmówili mi.

— A jakiż inny oddział mógłby być, gdyby nie oni? — zapytał Lasota. — O żadnym dokoła nie wiemy, ani być może.

— Wszak i o Trepce nie mieliśmy wiadomości — rzekł Doliwa — a przecie się znalazł. Dlaczegożby i inni tak samo nie mieli się tu zabłąkać? Trudno tylko przypuścić, aby kto szedł nieopatrznie i nie wiedział o Masławie, lub wiedząc o nim, chciał się z nim mierzyć. Policzcie, co tam tego mrowia.

— Czerń jest — rzekł Belina.

— A między czernią są i lepiej zbrojni, których Masław dobrał i nauczył — mówił Doliwa. — Sama ta tłuszcza niewieleby mogła, ale gdy wojaków poprze, straszną będzie.

Tak rozprawiali smutni. Sobek z głową spuszczoną wycofał się, mrucząc, nierad z siebie. Radość i otucha powzięta z rana zmieniła się w obawę. Męczeństwo oblężonych przedłużało się; spodziewać się polepszenia losu, oswobodzenia, nie śmiał nikt. Na sercach było ciężko. Nie mówili sobie, co myśleli, lecz z oczów czytali straconą nadzieję. Długoż się jeszcze miała przeciągnąć ta niepewność i oczekiwanie?

Wieczór cichy, spokojny, mroźny, zwolna zstępował w dolinę, niebo się na chłód wyiskrzało, gwiazdy wschodziły wesołe, wdali znowu znane zapalały się ogniska i dym z nich słupami podnosił się nad lasy... Od obozowiska słychać było gwar jak z ula, rżenie koni i trąbienie w rogi. Niebo ciemniało, gwiazdy błyszczały coraz jaśniej, nadeszła noc bezsenna.

III.

Nad ranem czatowały straże na ostrokołach, czy się gromady nie ruszą ku Horodyszczu; — stały one w miejscu, jak wczoraj, czekając rozkazu, skupione w porządku. Jeźdźcy trzymali konie przy sobie, zawczasu je pobrawszy od stogów, kilku wysłańców w pędzie rozbiegło się na różne strony. Dzień szedł jasny i mroźny, szronem okrywając drzewa i trawy: w miarę, jak słońce podnosiło się ku górze, biała jego powłoka znikała.

Na gródku wszystko stało w oczekiwaniu trwożnem, tylko o. Gedeon wyszedł ze mszą o zwykłej porze, a dokończywszy ją, klął przed ołtarzem i ze złożonemi rękami długo się modlił.

Tu go jeszcze na modlitwie zastał okrzyk, którym się pomosty całe i okopy Horodyszcza rozległy.

Wdali postrzeżono występujące z lasów i rozwijające się szeroko, naprzeciw gromadom Masława, wojsko jakieś.

Możnaż je tak nazwać było?

Był to raczej silny oddział zbrojnego rycerstwa, w którym ci, co stali na wałach, łatwo swoich poznali. Liczbą nie mógł się on mierzyć z tymi, których Masław za sobą prowadził, ale rycerstwo to inaczej, świetniej, niemal z cudzoziemska wyglądało; szło tak, jakby za procesją w powadze wielkiej i majestacie.

U Masława lepszego żołnierza, napozór pokaźnego, zaledwie paręset było, reszta tłum z pałkami i obuchami, orężem lichym, w sukmanach, bez żadnej zbroi i żelaza, straszny był chyba mnogością swoją.

Oddział, który powoli z lasów się wysuwał, składał się cały z ludzi od stóp do głowy zbrojnych, w znaczniejszej części konnych.

Lasota i Belina poznali na jednem skrzydle po uzbrojeniu i dzidach z małemi trójkątnemi chorągiewkami, po czapkach okutych, nad któremi gdzie niegdzie kity powiewały, niemieckie wojsko jakieś.

W pośrodku głównego punktu widać było gromadkę, w której się wodza domyślać było można. Kilkunastu jezdnych, w błyszczących pancerzach, z tarczami na ramionach, w pasach nasadzanych, kołem stali przy jednym, którego za nimi trudno dostrzec było. Tu powiewała chorągiew nowa z godłem jakiemś malowanem. Na wierzchu jej połyskiwał krzyż złocisty.

Obu starym łzy się z oczów potoczyły na wspomnienie czasów Bolka Wielkiego, gdy rycerstwo podobne na tysiące się liczyło. Teraz została tylko ta garść niedobitków.

Gdy z lasu wyciągając, szeregi owe coraz się pomnażając, szerokie zataczając półkole, jak do boju się ustawiać zaczęły — ruszyli się też Masławowi, zatrąbiono w rogi, widać było, jak sam ów kneź nowy biegał pomiędzy kupami, naznaczając miejsca, gdzie która stanąć miała.

Liczbą chciał zastraszyć nieprzyjaciela, ludzi rozsypał na wielkiej przestrzeni, wyciągnął ich, jakby chciał szczupłą garść przeciw stojącą pochłonąć; rogi odzywały się dziko a coraz głośniej i gromady kołysały się jak zboże na polu, gdy wiatr je ugina. — Lecz tłum ten naprzód się nie ruszał.

Stojąca zdala żelazna ściana była jeszcze nieruchoma, milcząca. Poza nią z puszczy wypływały coraz nowe szeregi, a nieme jak pierwsze, ustawiały się za niemi. Trąb ni rogów nie słychać tam było, ludzie stali jak posągi śpiżowe.

Ze strony Masława wrzawa się poczęła, rosła, podnosiła się, jakby nieprzyjaciela nią chciano zastraszyć; ludzie podnosili pałki i grozili, wyzywali i śmiali się — lecz wrzaski te rozbijały się o żelazną ścianę...

Drgnęły naostatek szeregi rycerskie, konie się poruszyły, dzidy pochyliły, powiały kity, zaszeleściała chorągiew, zachrzęściły zbroje i cały ten zastęp, jako jeden mąż, sunął się, zrazu wolno, potem coraz szybszym krokiem, wprost na sam środek gromad, gdzie Masław, miotając się, dowodził i do boju zagrzewał.

Ciżba w dolinie niby się też dźwignęła, ale lękliwie i leniwo.

Wtem żelaźni, spuściwszy się ze wzgórza małego ku niej, spadli całym ciężarem swym i pędem na tłum, który nacisku nie strzymał i przy pierwszem starciu rozpierzchł się, rozbryznął na wsze strony.

Niedługo jednak trwał ten popłoch; Masław ze swymi stawił czoło. Zwarli się z obu stron, na siebie przypadając, spletli, zmieszali i poczęła się ręczna walka mieczów i toporów, dzid i pałek.

W środku widać była Masława, który sam mężnie do boju wystąpił z mieczem podniesionym, godząc ku temu miejscu, gdzie wodza przeczuwał. Rycerstwo go zewsząd osłaniało.

Trzy razy rzucał się tu Masław i, zasypany ciosami mieczów, cofać się musiał, za każdym razem wracając z towarzyszami pozbieranymi... Pierwszy szereg ludzi jego padł cały od mieczów i dzid rycerzy, drugi po nim

zajadle szedł do boju, lecz i ten już łamał się, padał i szczerby widać w nim było.

W pośrodku przy wodzach bitwa się prawdziwa toczyła, na dwu skrzydłach mniejsze zbrojnych oddziały, wpadłszy na pierwsze pospólstwo, odrazu je rozproszyły, gnały do lasów, siekły i mordowały.

Tu popłoch jakiś straszny — bronić się nawet nie dawał; tłum, który na oko tylko powiększał kupy knezia płockiego, niemal cały zbiegał do pobliskich lasów, zostawując wodza swojego z jego żołnierzem, mało co liczniejszym nad zastęp Niemców i Polaków.

W tych czuć i widać było wojaków starych, nawykłych iść na nieprzyjaciela, jak na wesołe łowy, gdy młodzi nowozaciężni Masława — w pierwszem polu nie dotrzymali im kroku. Skupiali się koło niego, bili zajadle, namiętnie, uchodzili nagle, powracali zrozpaczeni, a męstwo zimne żelaznych ludzi brało widoczną górę.

Gdy gromady w lasy z krzykiem rozbiegły się i skryły, a główne dwa oddziały toczyły jeszcze bitwę zajadłą, której końca trudno przewidzieć było, na Horodyszczu Wszebór, Toporczyk, Kaniowa i co było młodszych, a gorętszego ducha, nie pytając nawet starego Beliny, pozbiegali ze swych stanowisk.

Wstrzymać ich było niepodobna.

— Na koń — krzyknął Wszebór — weźmiemy ich z drugiej strony — na koń, w pomoc naszym!

— Na koń! — rozległo się z końca w koniec Horodyszcza.

Co żyło, zbiegło, skakało, z pomostów, rwało się do szop po konie, bo od rana wszyscy mieli na sobie kaftany i zbroje.

Z końmi uwinęli się raźno, niebardzo je stroiąc, nie było na to czasu — lada kawał sukna i uzda starczyła.

Belina, który na to patrzał, nie mówił nic, więc jakby pozwalał — oprzeć się nie mógł, serce mu też biło ku swoim. Tomko, syn jego, przyłączył się też do wycieczki; odbito co najrychlej wrota i ledwie staremu

udało się cząstkę jakąś ochotników utrzymać, aby Horodyszcze nie opustoszało.

Masława oddział, zwarłszy się w dolinie, tyłem był zwrócony do Horodyszcza, nie spodziewał się też pewnie wycieczki, i dopiero, gdy na karkach jego tętent się dał słyszeć i okrzyki, część jego zwróciła. Postrzegli, że nieprzyjaciela, choć nielicznego, mieli z drugiej strony.

Wszebór, Mszczuj i ich towarzysze wpadli na tylne szeregi, nim się ku nim czas obrócić miały. Masław, wzięty między dwa żelaza, nie uszedł z placu, trzymał się uparcie, odcinał wściekle.

Widać go było z zakrwawionym mieczem, z rozpaloną twarzą, biegającego od jednej do drugiej gromadki, gdzie ludzie słabli i poparcia było potrzeba. Wszebór, który nań czatował i ku niemu zmierzał, ścigał go napróżno, sam chcąc się z nim potykać. Rozdzielał ich jeszcze szereg, broniący się i osłaniający swego dowódcę.

— Ty psie ryży! — krzyczał z całego gardła Doliwa, podjeżdżając z dzidą na Masława. — Sobako ruda! chodź tu, nie tchórz, zbliż się, popróbujemy się z sobą...

— Żmijo jakaś — odparł Masław, postrzegłszy go — mam ci zapłacić za służbę! Chodź, lisie śmierdzący, co się do kurnika podkradać umiesz! Chodź! Zobaczym, czy się bić potrafisz tak, jak pełzać.

— Chodź, pastuszy synu! Chodź! — odpowiedział Doliwa. — Gdzieżeś to trzodę zostawił?

— Czekaj — parszywcze! dam ja ci biczem pastuszym! — wrzeszczał, nacierając, Masław.

Łajali się tak i bezcześcili, przedzierając ku sobie, ile razy Masław ku Wszeborowi się zwracał, napierano go ztyłu, odcinać się musiał. Doliwa wyzywał ciągle.

— A nuże! a nu! ślimaku, co to ci tak niesporo! Chodź, psiarczyku, do mnie — czekam!

Wydobywszy się wkońcu, Masław stanął przeciw niemu, ale dzidy już okutej nie miał, tylko obłamany jej kawałec, który z całych sił cisnął na Wszebora

i tylko go po ramieniu drzazgą podrapał. Wszebór, oszczepem rzuciwszy, konia mu ranił w szyję.

Zbliżyli się już ku sobie tak, że walka na miecze tylko dalej iść mogła. Masław miał obosieczny, szeroki, ogromny miecz saski, którym oburącz zmierzył, chcąc ciąć w szyję Doliwę. W tej chwili Wszebór swoim zamachnął tak, że cios odbił, wywinął się Masławowi miecz z dłoni, świsnął, lecz nie wypadł z ręki. Klnąc, pochwycił go Mazur natychmiast i konia naparłszy powtórnie, zamierzył się do cięcia.

Stało się to właśnie, gdy żwawszy Wszebór już go swojem żelazcem w bok uderzył, Masława cięcie straciło siłę, jednak, padłszy na kark Wszebora, krew z niego dobyło.

Walczyliby dalej, bo Doliwa nie czuł utraty krwi, lecz ztyłu Masławowi pierzchli, naciskani przez Polaków i Niemców; — obejrzał się, słysząc ich krzyki, uląkł, widząc, że ze zbyt małą garścią pozostał, zawrócił nagle i nim Wszebór w pogoń się mógł puścić, znikł mu z oczów, za tłoczącą zgrają. Pod nogami też konia leżały trupy i ranni, tak że Doliwa nie mógł ścigać i oszczep tylko na przepadłe za nim puścił.

Zamieszanie, walka ostatnia ogarniętych szałem prawie straszliwe były; żelazne rycerstwo nawet miotało się, dobijając, upojone krwią, nie szczędząc nikogo...

W dolinie widać już tylko było uchodzących konno i pieszo, pojedyńczo i garściami, pogonie i rozpaczliwe starcia, w których Masławowi żołnierze padali. Niektórzy z uciekających ranni zsuwali się z koni na ziemię, inni wieszali się im na szyjach, niektórzy pieszo uchodzili, krwią brocząc, przyklękając co kroku, podnosząc się, czołgając, póki nie padli twarzą o ziemię raz ostatni.

Masław z tymi, co go jeszcze otaczali, przebił się z pośrodka rycerstwa, ogromnym głosem, rozpaczy i gniewu pełnym, nawołując ku sobie, nakazując trąbić w rogi i gromadzić rozpierzchłych. Udało mu się niedobitki pościągać... Jeszcze raz uderzyli na zwycięz-

ców, których liczba tak była stosunkowo niewielka, iż Mazur mógł się jeszcze na nią pokusić.

Ostatni ten wysiłek nie trwał długo, świeży oddział z Horodyszcza z dawnymi zarazem bojownikami, z taką zapalczywością rzucił się na Mazurów, iż kupka ta rozsypała się i pierzchła... Widać było, jak Masław sam konia wtył zerwał, zawrócił, puścił się ku lasom, a na ten znak odwrotu, co żyło jeszcze, poczęło uchodzić, miotając przekleństwa i groźby.

Odbiegłszy staj kilkoro, kneź zatrzymał się na pagórku i podniósł miecz krwawy.

— Nie zostanie z was ani nogi! — krzyczał — zaleję was, zasypię, nie daruję życiem nikogo. Wrócę ja do was! znajdę ja was! Z Niemcy waszemi razem i z psami wisieć będziecie na jednej gałęzi!

Zwycięstwo zostało przy rycerstwie, które znużone, podniósłszy ręce, poczęło wołać na pobojowisku:

— Hosanna!

Dopiero teraz mógł się Wszebór przybliżyć i przypatrzeć tym mężnym rycerzom, którzy w tak szczupłej liczbie na Masławowe gromady się ważyli...

Większa część wojowników pozsiadała z rannych koni i popadała na ziemię, inni zdejmowali żelazne hełmy ze skroni i chowali miecze, z których krew ciekła... Wszystkim twarze pałały jeszcze bojem i jaśniały zwycięstwem.

Wszebór zbliżał się ku nim, gdy nagle rozstąpili się na koniach jeszcze stojący w pośrodku, i z poza nich ukazał się oczom jego królewicz, a teraz król Kazimierz.

Polacy i Niemcy kołem go otaczali, winszując dobrej wróżby zwycięstwa.

Z oczyma spuszczonemi ku ziemi, jakby się modlił pocichu lub zadumał, Kazimierz stał, nie okazując wielkiej radości.

Oblicze jego było piękne, młodzieńcze, lecz już próbami przecierpianemi, ciszą klasztorną, zawodem doznanym od ludzi, smutkami wczesnemi odarte z wyrazu młodzieńczego wesela i swobody. Był przed-

wcześnie dojrzałym i jakby zestarzałym. Królewski majestat miał na twarzy, chrześcijańską obleczony pokorą, wielkim spokojem ducha i męstwem.

Słusznego wzrostu, postawy zręcznej, gibki i silny, Kazimierz twarz miał nieco bladą, cerę śniadawą, czarne wyraziste oczy, długiemi ocienione rzęsami, włos ciemny, w puklach spadający na ramiona. Rycerski to był mąż, ale w rycerzu wodza i króla zarazem widać było, tak wielką obleczony powagą, smutnie prawie stał na tem pobojowisku pierwszem, po pierwszem swem zwycięstwie.

W pośród niemieckich wojowników i polskiej swojej drużyny wiernej — najmłodszy może, najbardziej wyglądał pańsko, królewsko, choć najmniej starał się o to.

Strój jego był wspaniały, acz skromny. Na frankońską suknię krótką wdziany miał pancerz, naszywany wielkiemi blachami żelaznemi, które jasno na piersi jego świeciły; pas rycerski, drogiemi kamieniami osadzony, utrzymywał miecz obosieczny, i tuż przy nim na łańcuszku mniejszy, ozdobny mieczyk z rękojeścią złocistą się zwieszał. Na nogach także miał naszyte blachy żelazne, a u lewej widać było długą, śpiczastą ostrogę.

Tuż za nim stojące młode chłopię trzymało piękną tarczę, w której środku śpiczasty kolec i otaczające go wieńce złotem połyskiwały. Na brzegach jej gwoździe na złotem tle szkarłatnem, jak gwiazdki, siedziały. Z wielkim mieczem obosiecznym, oznaką pańskiej władzy, stało drugie pacholę.

Na głowie miał hełm pozłocisty bez pióra, z żelazcem, które część twarzy i nos okrywało, lecz teraz właśnie zdjął go Kazimierz i czarne pukle włosów świeciły, połyskując od słonecznych promieni.

Na szyi dostrzec było można u góry, na łańcuszku złotym, krzyżyk z relikwiarzem, który odjeżdżającemu wuj z Kolonji dał z błogosławieństwem na drogę.

Oczy Kazimierza padły były właśnie na szerokie, trupami zasłane pobojowisko.

Widok to był dla rycerzy, co się na placu ostali zwycięsko, radosny może, ale dla ludzkiego serca smutny. Po całej dolinie, aż do lasu samego, widać było leżące kupami i pojedyńczo zastygłe już ciała pobitych, pokrwawione, poszarpane, ze sterczącemi strzały i oszczepami w piersiach rozbitych. Gdzie niegdzie, wśród nich, dogorywający jeszcze usiłowali się porwać i bezsilnie opadali na ziemię. Wśród ciał tych leżały konie pobite, stały pokaleczone, pasły się zbiegłe, grzebiąc z obojętnością zwierzęcą przymarzłe i przyschłe trawy na łące.

Z tych gromad tak licznych nie zostało nic, oprócz tych, których w ucieczce zabito. Prusacy pierwsi, spróbowawszy z wrzaskiem się rzucić przeciw mężom żelaznym, odparci, pierzchli całym oddziałem i nie powrócili więcej. Wielu z nich potopiło się w rzece wezbranej, pogrzęzło na trzęsawisku, z którego dobyć się nie mogąc, tak zostało pomordowane.

Ze strony Kazimierza jeden też prawie całym nie został; ranni, potłuczeni, krwawi byli wszyscy, ale nie zginął żaden. Broniły ich pancerze i tarcze. Zsiadali teraz z koni, dzidy połamane wbijając w ziemię, a hełmy ciężkie zdejmując z czoła.

Wszebór, ujrzawszy tego pana, którego był towarzyszem w pierwszych latach, później dworzaninem i sługą, rzuciwszy konia, radośnie pobiegł ku niemu. Na twarzy jego malowało się szczęście i nieopisane wesele. Dla niego zjawienie się króla było jakby zapewnieniem zwycięstwa! Kazimierz zdala już zdawał się go poznawać, gdy Wszebór do nóg siedzącemu jeszcze na koniu przypadł z okrzykiem, obejmując je.

— Tyżeś to, miłościwy panie! A, co za dzień szczęśliwy!

Wzruszenie mu mowę odjęło, zakończył okrzykiem radosnym.

Nadbiegli już Mszczuj, Kaniowa, nareszcie Toporczyk, szczególniej Kazimierzowi ulubiony, wszyscy z wołaniem wielkiem, z radością niezmierną, z twarza-

mi jasnemi, obstępując go, chwytając za ręce, wykrzykując:

— A witajże nam! witaj! miły nasz hospodynie!

Kazimierz, słysząc i widząc te oznaki wesela, zarumienił się wzruszony, łza mu się zakręciła w oku, ręce rozpostarł.

— Witajcie, witajcie, dzieci moje! — zawołał. — Daj Boże, aby dzień ten istotnie lepsze nam i królestwu temu zwiastował. Amen...

Okrzyki i wrzawa nie ustawały. Radość zdawała się być powszechną, choć, ktoby się pilniej wpatrzył w twarze tych, co Kazimierza otaczali, a do serc ich zajrzał, zobaczyłby tam razem trwogę, zgryzoty i nieufność.

Część tych, co się teraz do króla garnęli, miała na sumieniu jego wygnanie, obawiali się zemsty pana i nieprzyjaciół swoich, pamiętali swe winy i nie wierzyli, aby król młody miał o nich zapomnieć. W samym obozie Kazimierza, na zamku Beliny, mnogo było tych, których głos powszechny obwiniał, że się Masławowym zabiegom uwieść dali. Ci trzymali się zdaleka, patrzali nieufnie i wątpili o przyszłości.

Radość więc była zmieszana z obawą, z zazdrością przeciw tym, co wierni Kazimierzowi, teraz się o zapłatę upomnieć mogli.

To samo rozdwojenie, które było przyczyną wygnania syna Ryksy, już w obozie jego stłumione czuć się dawało.

Wśród radości na pobojowisku na chwilę może zapomniano dawnych nienawiści i swarów, lecz jutro z pozostałych nasion odrodzić się one mogły...

Na Olszowem Horodyszczu patrzącym na zwycięstwo serca rosły. Nie wiedzieli jeszcze, kto był przez Boga zesłanym wybawicielem, ale cud, przez pobożnego zapowiedziany kapłana, już się ziścił.

Co żywo naoścież rozwarto wrota... Belina ze starszyzną, zaledwie teraz dowiedziawszy się o Kazimierzu, chciał biec do nóg jego.

Zbierali się wszyscy z pokłonem i dziękczynieniem, gdy Poturga, wielce frasobliwy, aby się na nim nie ziściła przepowiednia o. Gedeona, przyodziawszy się, biegł do niego, chcąc kajać się, przebłagać i odwrócić, co mu groziło.

O. Gedeon razem z Beliną zbierał się właśnie wychodzić przeciw królowi, gdy Poturga wylękły, zapłakany, do nóg mu padł i, objąwszy je, wołać zaczął:

— Ojcze! na miłosierdzie Pańskie — winienem! zgrzeszyłem! Nie karzcie mnie, oto się kajam i spowiadam przed wami, miłosierdzia prosząc. Zlitujcie się nade mną!

Kapłan cofnął się zdziwiony.

— Czego żądacie ode mnie? nie rozumiem was! — odparł łagodnie.

— Jakto, ojcze? Wyście mi przepowiedzieli, iż cudu dożyję, a sam tylko go nie doznam na sobie, dlatego, iż weń wierzyć nie chciałem.

Ojciec Gedeon stanął zdumiony, nie pamiętał już wyrazów, wyrzeczonych w zapale i uniesieniu.

— Jam to mówił, ja? — zapytał, oglądając się po przytomnych.

— Tak jest, ojcze! wyście to rzekli! — odezwał się, głowę schylając, Belina. — Rzekliście!

— Nie wiem! nie pomnę! chyba duch jakiś mówił przeze mnie! — odparł ojciec Gedeon, oczy spuszczając. — Nie pomnę. Niech Bóg ci grzech twój przebaczy! Idźcie w pokoju. Jam człowiek. Bóg tylko mocen jest zmienić los nasz. Modlić się mogę i modlić będę.

Poturga chwycił za nogi kapłana, jeszcze nierad odpowiedzi. Nie puszczał odchodzących, rozbijał się, ręce łamał, płakał, napróżno się go uspokoić starano.

Działo się to właśnie u wrót otwartych, ponad któremi na stołowaniu leżał stos kamieni, do obrony przygotowany. Belina dawał znak, aby iść dalej, śpiesząc na powitanie, gdy wrzask dał się słyszeć z góry, pękła deska i głaz ogromny z hukiem stoczył się z powały; pierzchnęli wszyscy, rozstępując się. Poturga, który

klęczał, nie miał czasu się zerwać, głaz spadł nań, trafił na głowę i zabił go na miejscu.

Stanęli wszyscy przerażeni, pokląkł przy nim ojciec Gedeon, chwytając głowę, która już trupią okrywała się bladością.

Zaczęli modlić się pocichu. Był-li to przypadek, czy palec Boży? Sam kapłan, który wyrzeczonej w natchnieniu groźby zapomniał, nie umiał tego wytłumaczyć. Zapłakał nad zabitym. Odniesiono zaraz zwłoki nieszczęśliwego, aby widok ich radosnej nie zatruwał chwili.

Belina w odświętnych szatach, wraz z synem, ze starym Lasotą i pozostałymi na Horodyszczu władykami, szedł na powitanie pana. Wszyscy mieli oczy zwilżone, uśmiechające się usta, niewysłowioną radością biły serca wyzwolonych.

Kazimierz, już z konia zsiadłszy, obozować się zabierał na pobojowisku, nie chcąc na oblężeniem długiem wycieńczone Horodyszcze z dworem swym ciągnąć. Wiedział już co tam wycierpiano, chciał by oswobodzeni wypoczęli.

Gdy Belina ze swymi przyszedł, zapraszając go do gródka, Kazimierz już był przybycie swoje na dni następne odłożył. Chciał też być razem z towarzyszami swymi i dzielić z nimi niewygody i trudy. Niemcy i Polacy już się na pagórku tym samym, który Masław wprzódy zajmował, z namiotami i końmi rozkładali.

Czasu też na gnuśny spoczynek nie było. W jednej bitwie pokonany Masław nie mógł się poddać losowi swemu. Siły miał jeszcze znaczne, sprzymierzeńców, którym ludu nie brakło; wiedział, że Kazimierz był słabym i nie miał się na kim opierać. Był to początek walki, lecz do końca jej, odzyskania królestwa, przywrócenia ładu, ukrócenia buntu, obalenia bałwochwalstwa zwycięskiego, wiedzieli wszyscy, jak było daleko.

Powrót Kazimierza dla sprawy przywłaszczyciela stokroć był niebezpieczniejszym, niż zgromadzone przeciw niemu siły. Około niego teraz skupiać się musieli nawet ci, co w obłędzie dawniej występowali przeciw

niemu, ci, co z Masławem razem do wygnania go się przyczynili. Widok sam tego odważnego młodziana, wnuka Bolesławowego, który z niewielką garścią ludzi wchodził do spustoszonego i zwichrzonego kraju, obudzał radość, zapał, męstwo.

Pomimo tych wróżb, tej radości, która była przeczuciem lepszych dni, walczyć trzeba było o pokój, o oswobodzenie z nieprzyjacielem dziesięciokroć liczniejszym, niż była garstka wiernych, co się do króla garnęła.

Gmin, obawiając się pomsty, gotował się do rozpaczliwej obrony. Masław, lękający się kary, musiał walczyć w życia obronie, bo dlań przebaczenia nie było. Kazimierz szedł w sprawie krzyża i chrześcijaństwa; Masław w imię konającego pogaństwa, spadku wieków, którego lud bronił zajadle. Bój musiał być strasznym, śmiertelnym, bez przebaczenia i miłosierdzia.

Czuł to król, spoglądając na pobojowisko trupem usłane, dlatego zwycięstwem cieszyć się nie śmiał, bo ono było zaledwie niepewnym zadatkiem przyszłości.

Zaczynano rozbijać namioty. Kazimierz stał otoczon swoimi, rozglądając się po okolicy, gdy Belina, ojciec Gedeon, Lasota i inni posłowie z Horodyszcza z odkrytemi głowami przyszli do kolan się pańskich pokłonić. Podnieśli potem ręce do góry, wołając:

— Witaj, miłościwy panie! Witaj, zbawco nasz!

Kapłana ujrzawszy, król ruszył się natychmiast ku niemu, schylając do ucałowania ręki jego z pokorą i prosząc o błogosławieństwo.

Rozrzewniony starzec krzyż zakreślił nad pochyloną pana głową.

— Bóg zwycięstwa niech będzie z tobą! — zawołał.

Po nim przystąpił do ręki pańskiej Belina, który zawsze do wiernych sług królowej i syna jej należał.

— Dzieckiem cię widywałem, panie — odezwał się — a oto mi dziś przychodzisz aniołem wybawicielem. Bez ciebie żywot mój, wszystkich moich, stare

domostwo i ubóstwo moje całe stałoby się tej czerni łupem. Bądź błogosławiony, panie!

Napróżno potem zapraszał stary króla pod ocalony dach dla spoczynku. Kazimierz zawczasu objawił wolę swą, aby oblężeni wolni byli od wszelkiej załogi. Powtórzył więc Belinie obietnicę późniejszego przybycia.

Cisnęli się i otaczali Kazimierza wszyscy, całując ręce i kraj szaty, nie mogąc się nasycić widokiem tego pana, który przynosił krajowi nadzieję pokoju...

Wszystkie te oznaki przyjmował młody król z pokorą i skromnością wielką, niemal z boleścią. Mimowoli na myśl mu przychodziła ta noc straszna, gdy z pod ojców swych dachu, jak zbieg i tułacz, gnany przez własne dzieci, uchodzić musiał z sercem ściśniętem.

Niejedno czoło z tych, co się przed nim schylało, rumieniło się także tej przeszłości wspomnieniem.

Po chwili król, zobaczywszy namiot swój rozbity i wiernego sługę Grzegorza [1]) u drzwi jego, wymknął się z pośrodka otaczających, wszedł do namiotu i nim zasłona za nim zapadła, widzieli stojący wpobliżu, jak padł na kolana, Bogu dziękując.

Na straży pańskiego namiotu stanął mąż, na którego wszystkie się oczy zwracały, który się, jak znajomym dawnym, uśmiechał wielu i do niego przychodzili też witać się starsi nawet, choć podżyły już człek cale niepocześnie wyglądał.

Był to Grzegorz, wierny od dzieciństwa sługa pański. Siwiejący już teraz, pamiętał na dworze dawne czasy, niegdyś Kazimierzowi był niańką, pierwszy go sadzał na konia, łuk mu chłopięcy naciągał, strzelać uczył, mały mieczyk przypasywał, ptaki dlań hodował. Przywiązał się do królewicza jak do własnego dziecięcia i już go nie opuścił. Człek to był prosty, niepozorny, milczący, ciężki, nieobrotny, ale bacznego na wszystko oka i wielkiego serca.

---

[1]) Grzegorz wspomniany u Długosza.

Gdy królowę Ryksę wygnano z kraju, a Masław począł szczuć i podżegać rycerstwo i możnych przeciw jej synowi, Grzegorz, płacząc, trwał przy prześladowanym i znękanym panu swoim. Gdy potem i jemu uchodzić przyszło, poszedł za nim na tułactwo, powlókł się do klasztoru, i, choć zamknięcia w murach znieść nie mógł, jak niewoli, dał się z nim w benedyktyńskim monasterze uwięzić.

Gdyby Kazimierz oblókł był suknię zakonną, Grzegorz wprosiłby się pewnie za braciszka i wdział czarną opończę, ażeby z nim był i przy nim. Kazimierz płacił mu tę miłość zaufaniem zupełnem i sercem niemal dziecięcem.

Gdy z klasztoru wywiedziono napowrót syna Ryksy na tron dziadowski, Grzegorz uradowany, jak wierny pies, poszedł za nim. W bitwie stał zawsze u jego boku, z mieczem gotowym na odparcie ciosu, któryby wychowańcowi zagrażał, na noc kładł się wpoprzek drzwi, aby nikt nie wszedł do niego, we dnie nie opuszczał też progu.

Starszyzna i rycerstwo, otaczające Kazimierza, szanowali Grzegorza, który, choć niczem nie był, w istocie stał za wszystkich.

Stary, gdy go o co proszono, milczeniem zbywał, do niczego się wdawać nie chciał, pokornie się usuwał przed drugimi, lecz gdy mu co wydało się szkodliwem, umiał po swojemu przeszkodzić i nie dopuścić. Często niewidzialny zawsze był tam gdzieś wpobliżu, gdzie Kazimierz się znajdował; ubogiego jeszcze pana on był zarazem skarbnikiem, płatnikiem, szafarzem, często posłem, a odźwiernym i podkomorzym od rana do nocy. Nie pysznił się tem wcale, władykom z poszanowaniem ustępując z drogi i z miejsca.

Ci, co dawniej znali Grzegorza, teraz widząc go znowu, kłaniali mu się nisko, co w nim tajony czasem śmiech obudzało. Człowiek to był, co kochać umiał i nic więcej, o to mu szło, aby mógł bez przeszkody czuwać nad swem kochaniem.

Gdy król się w swoim zamknął namiocie, ci, co

przybyli z Horodyszcza, poczęli się swobodniej rozglądać po twarzach królewskiego orszaku. Ściskali się i witali jedni, drudzy na widok dawnych przeciwników odwracali z czołem zmarszczonem. Okrzyki słyszeć się dawały, imiona i pozdrowienia.

Wszebór znalazł Samka Dryję, Toporczyk ojca swego, inni braci i krewnych a powinowatych.

Radości nie było końca, ale i niejeden przeczuty smutek się sprawdził. Dowiadywano się o zabitych, o popędzonych w niewolę.

Z Kazimierzem razem przybywał stary Trepka i wszyscy ci, których Wszebór znalazł na obozowiskach w lesie. Inne też błąkające się oddziały przyłączyły się po drodze, zasłyszawszy o przybyciu pana.

O kiju z przewiązaną głową stał tu też i Spytek, nieco podleczony z ciężkich ran swoich, któremu śród dawnych nieprzyjaciół ciężko się obracać było; tym bowiem, co go uratowali, Trepce i królewskim zwolennikom, pamiętał stary — własne swe winy!

Wojewoda Topor ściskał syna po długiem niewidzeniu, opłakawszy już zgon jego. Janko należał do tych, co niegdyś odepchnięci od dworu, teraz poszli szukać króla po krajach niemieckich i umieli go skłonić, znaglić do powrotu.

Chwili tej szczęśliwej brakło tylko, ażeby nad nią świeciło jutro równie szczęśliwe i nie groziła zmiana. Cieszyli się wszyscy, a wśród radości zasępiały czoła trwogą, co jutro będzie?

Przyjaciół i nieprzyjaciół zapraszał Belina na Horodyszcze dla spoczynku, choć niebardzo ich miał czem ugościć. Ciągnęli z nim niektórzy, inni woleli zostać po namiotach przy królu.

Wprzódy jeszcze, nim gospodarz sprosił gości, Sobek, jakiemś przeczuciem wiedziony, przybiegł tu szukać swojego starego pana, choć w orszaku króla, przeciw któremu zawinił wiele, trudno się go było spodziewać. Nie omyliło go przeczucie: Spytek stał sam jeden prawie, z wozu zlazłszy, gdy bartnik do nóg mu upadł i natychmiast naglić począł, aby szedł do żony i córki.

I jemu pilno było spocząć, więcej może niż żonę i dziecię zobaczyć, bo surowy dla ludzi, szorstki ze wszystkimi, — z niewiastami, cale im nie okazując czułości, był Spytek twardszym jeszcze, niż ze swą bracią. Znano go z tych usposobień, z tej dzikości i gorącej krwi, choć w rzeczywistości złym ani okrutnym nie był. Mężny wojak, w domu też po wojennemu życie prowadził, rozkazywał, a ładu i posłuszeństwa przedewszystkiem przestrzegał. Drżało przed nim co żyło.

Nigdy może nie spotkały się w małżeńskim sojuszu dwie istoty mniej z sobą zgodne i dla siebie stworzone, jak Spytkowa i jej małżonek. Stary był milczący, gdy nie łajał, szczebiotania nierad słuchał, w niewieście chciał mieć służebnicę milczącą. Marta lubiła mówić wiele, oczyma rzucać i zalecać się choćby dla zabawy, chciała potrosze też rządzić w domu, małżonkiem kierować zcicha... Wszystko to się nie udawało. Ze Spytkiem wojna była niemożliwą! musiała ulegać, bo się lękała, i milczeć — bo nie słuchał.

Lata też obojga niebardzo szły w parze. Stary wojak miał już pono do sześciu dziesiątków, żona zaledwie trzeci kończyła.

Długo się nie żeniąc, bo nie miał czasu, Spytek, na Rusi będąc, skusić się dał pięknym, zalotnym spojrzeniom młodej dzieweczki, nad którą w życiu nie widział ślicznieszej. Dostał ją łatwo u ojca mimo jej woli, bo wcale zań wychodzić sobie nie życzyła. Nie zważano na łzy i dąsania.

Małżeństwo to późne ciężko pono Spytek opłacać musiał, lecz nie poskarżył się nigdy... Żony pilnował i trzymał ją w grozie. Kasię kochał po swojemu, ano do niej srogi żal miał, że chłopcem nie była, bo mu więcej dzieci Pan Bóg nie dał. Dziecko więcej się go lękało, niż kochało, bo od ojca oprócz gróźb i łajania rzadko posłyszała co innego.

Niewiasty na Horodyszczu na ową bitwę w dolinie patrzały przez czas jej trwania. Hanna Belinowa wywiodła je z sobą, aby też ciekawość zaspokoiły. Trudno

bo było utrzymać rozgorączkowane. Gdy walka się rozstrzygnęła, radość wybuchła tak wielka, jak wprzódy była obawą. Padły wszystkie z okrzykiem na kolana.

Spytkowa zarumieniona, rozogniona, spragniona rozpytywania i rozpowiadania, nie mając mężczyzn, z którymiby rozmowę wolała, zwracała się do płci swojej, zatrzymując zkolei wyrywające się dziewczęta. Żadnego jakoś przeczucia nie miała, aby mąż jej miał być tak blisko. Wiedziała od Sobka, że żył, lecz smutne jej przychodziły myśli: stary, porąbany, wśród niewygód obozowych mógł umrzeć. Była prawie pewną, że go to spotkać musiało.

Sobek obszernie jej opowiadał, jak straszliwie był rannym, jak leżał bezwładny, nie spodziewała się wcale, aby mógł przybyć z tem rycerstwem, a dowiedziawszy się o królu, któremu Spytek się naraził, tem mniej go tu przewidywała.

Na Horodyszczu oczekiwano przybycia gości, niewiasty gotowały się witać, pytać, znaleźć przyjaciół, krewnych i znajomych. Z tą myślą i Marta Spytkowa, przystroiła się, jak mogła najpiękniej. Sama Kasi zaplótłszy kosy i wybrawszy suknię, jej kazała poukładać swe czarne włosy pod czepiec biały i pomagać sobie do ubrania. Dobyto suknie ocalone, klejnoty, łańcuch na szyję, kolce złote; dla dziewczęcia naszyjnik, dla matki pierścienie. Matka po przecierpianych trwogach i niewygodach blada była trochę, lecz oczy jej zawsze tym niewygasłym ogniem błyskały, który jej jeszcze istną młodość dawał.

Stała już przybrana na wyżkach, podparta na białej rączce, czekając, azali się kto z pobojowiska nie zjawi z jaką nowiną, gdy usłyszała wdali gruby głos jakiś, co ją niezmierną nabawił trwogą, tak dziwnie był podobny do tego, jakim Spytek zwykł był łajać ją za dobrych czasów.

Zerwała się przestraszona, nasłuchując, niedowierzając uszom, więcej strwożona, niż uradowana.

— Nie myląż mnie oczy? onżeby to miał być?

Spuściła oczy ku wnijściu w podwórze i oto — ujrzała widmo mężowskie. Tak! Spytek to był! Spytek, którego nigdy pięknym nazwać się nie godziło, który młodym dawno być przestał, — teraz zjawiał się o jednem oku krwawem, z wargą siną, obwisłą, z głową chustą zawiązaną, o kiju, zestarzały, kaleka. Wierny Sobek podtrzymywał wlokącego się powoli.

Na widok ten, jeżeli nie zemdlała piękna Marta, to chyba dlatego, że mąż jej żadnych podobnych oznak czułości nie znosił; krzyknęła tylko i poczuwając się do obowiązku, zbiegła z wyżek, wielkim głosem wołając na Kasię.

Spytek stał, znanym głosem obudzony, jednem okiem szukał żony dokoła. Wtem poczuł ją już u nóg swoich, bo niewiasty za onych czasów inaczej mężów nie witały. Schylił się starzec milczący i pocałował ją w głowę. Wtem i Kasia z krzykiem dziecięcym nadbiegła, obejmując ojcowskie kolana.

Na te wszystkie oznaki miłości wojak nie odpowiedział ni słowem, pocałował i córkę w głowę i natychmiast obejrzał się za ławą, bo mu nogi zbolałe drżały i ledwie się na nich trzymał.

Marta, zapomniawszy, że mąż zbytniej gadatliwości nie znosił, załamała ręce i puściła wodze językowi.

— A! panie nasz, panie! — wołała — gdybyście wiedzieli, cośmy tu przecierpiały! Boże miłosierny! Tysiące śmierci! Głód, łzy, strach! Kto to zliczy. Ogień, chłopski bunt! — kto to wypowie!

Znanym żonie rzutem ręki, który usta zamykał, Spytek pohamował jej żale. Zwrócił ku niej zakrwawione oko, podniósł chustę, którą miał zawiązaną głowę, odsłonił krwawą powiekę, pod którą tylko ślad drugiego oka pozostał i mruknął:

— Kawałka ciała całego nie mam. — Głową potrząsł. — Cud, że dusza w ciele została.

Kasia, płacząc, ręce ojca całowała. Stary przyglądał się ciekawie postrojonym niewiastom, jakby chciał odgadnąć, co tu one bez niego poczynać mogły.

— Nierychło się pogoją rany moje, nierychło nasze wszystkie, nierychło staną dwory popalone i kościoły! Niema dziś dokąd powracać! Kupa gruzu z Ponieca!

Drżące ręce do góry podniósł i zamilkł.

Spytkowa gadatliwa wtrąciła zaraz, jak wiele była winna Wszeborowi i Mszczujowi Doliwom. Wszebór zawsze był u niej w łaskach. Dostrzegła pewnie na te sprawy bystre mająca oko Marta, że się Tomko zalecał do Kasi, ale Belinów, choć im schronienie winną była, cierpieć nie mogła. Tysiąc do nich żalów miała. Hanna jej powieści nie słuchała nigdy, jak należało, wielu jej zachceniom nie dogadzano, Tomko się jej nie zalecał wcale.

Wszebór i w oczy ładnie patrzał i słuchał przykładnie i posługiwał pani Marcie, choćby się innym przez to naraził. Sama teraz wydać się za niego nie mogąc, gdy nieboszczyk zmartwychwstał, choć córką mu życzyła się wywdzięczyć.

Spytek wspomnienia o Doliwach wysłuchał chmurno.

— Wiem ci o tem, że was ratował — rzekł sucho — a co za dziw, że gach młody babami się zajął?

Zarumieniła się żona.

— Król Kazimierz będzie musiał teraz za nas wszystkich długi płacić — dodał. — Potośmy go przywiedli.

— Młody król! — plaszcząc w dłonie, przerwała Spytkowa. — Chwała Bogu, że nam powrócił.

— A młody! — z przekąsem powtórzył Spytek — tylko babom z tego nie przyjdzie nic, bo napoły mnich!

Zatem, jakby zmęczony, zmilkł, na kiju się sparłszy i zamyślił. Żonę i dziecię znalazł, a co teraz z nią i dzieckiem poczynać dalej miał, ba i z sobą, — nie wiedział. Wracać nie było dokąd, wojować nie było czem, zostać tu ciężarem na łasce Belinów, — nie w smak to było możnemu niegdyś władcy. Z krwawego oka spadła kropla, jakby łza.

Na Horodyszczu coraz hałaśliwiej być poczynało — schodzili się goście. Na tak wielką uroczystość zwycięską nie wahał się Belina zakopaną beczkę starego miodu, który się nazywał Mieszkiem, kazać dobyć z ziemi. Dziewki warzyły już solone mięsiwo, pieczono podpłomyki, aby chleb zastąpiły, gotowano kaszę...

W wielkiej izbie na dole ściągało się co z obozu szło i na grodzie było słychać tylko tych, co Kazimierza z sobą przywieźli.

Szedł stary Janko Topor, siwowłosy wojewoda, któremu syn rękę podawał, przybył Trepka, siedział Lasota i mnogo innych.

Gdy goście obozowi weszli do izby dolnej, rozstąpili się przed nimi wszyscy, zapraszając ich bliżej ogniska i pierwsze czyniąc miejsca. Ciekawi byli słuchać, a nim starzy otwarli usta, już ich pytaniami zarzucono niecierpliwemi.

Topor Janko na pierwszem miejscu siedział. Mąż to był letni, lecz silny i zdrów jeszcze, z obliczem jasnem, wesołem, z brodą siwą, kędzierzawą, a włosami białemi, które mu się w pukle zwijały. Rumiana twarz odbijała dziwnie od tych śnieżnych strojów. Lata wypisały mu męstwo i rozum w twarzy, wśród tysiąca domyśliłby się w nim każdy rycerza i męża do rady; ni na dłoni, ni na sercu i głowie jego nikt się nie zawiódł.

Dopóki słuchał go Mieszko, dobrze mu z tem było, póki za radą jego szła Ryksa, — nie żałowała. Ludzie zazdrośni podali do uszów pańskich, że Topor panować chciał i władać. Odpychano go powoli od dworu, od progu, od ucha i poszedł wkońcu na Tęczyn siedzieć spokojnie, na jelenie polować.

Dopiero gdy i Kazimierza wygnano, gdy Kraków, Poznań i Gniezno Czesi złupili, gdy Masław świętokradzką ręką po koronę sięgnął, wstał stary Janko na nogi i rzekł:

— Nie czas u ogniska siedzieć.

On to, zgromadziwszy ocaloną starszyznę, nakłonił ją, aby szła z nim szukać pana, zamiast ręce łamać

i podać je w pęta. On z gromadką wierną Piastom puścił się po dziedzica korony...

— Cuda miłosierdzia Bożego — zawołał Lasota, stając przy Janku, który u ogniska miejsce zajął. — Jakże się to wszystko stało? Jakeście znaleźli króla, jak matkę nakłonili, żeby go oddała?

— Aniśmy próbowali tego, co niepodobnem było — odparł Topor. — Któż z was królowej nie znał? Święta to była pani, a no, pamiętna zawsze, iż się z cesarskiej rodziła córki. Na naszej ziemi mieszkając, nigdy jej nie umiłowała, gościem będąc między nami. Sercem i duszą zawsze w Niemczech swych żyła. Myśmy jej świeżymi pogany cuchnęli. Słysząc, co się u nas dzieje, jakżeby była mogła syna dać nam na ofiarę?

— A jakże się to bez niej stać mogło? — zapytał Belina.

— Wolą Bożą i łaską — ciągnął dalej Topor.

Wiedziałem ja, że się bez cesarza nie obejdziemy i że od niego ratunku tylko spodziewać się możemy. Czech to nas zniszczył i wojował, zczasem i jemu się stać mógł groźnym. Pojechaliśmy więc na dwór Henryka, gdy inaczej być nie mogło.

Cesarz zrazu ani przyjmować nas, ani słuchać nie chciał. Precz nam iść kazano. Musieliśmy cierpliwości zażyć. Odpędzeni z podwórców, szliśmy za mury, na pośmiewisko czeladzi, wyczekując zmiłowania Bożego.

Mijał nas Henryk Czarny niejeden raz, spoglądając tylko, aż mu się widzieć tę gromadę upartą sprzykrzyło. W szczęśliwą jakąś godzinę cesarz w poczcie świeckich i duchownych panów na zamek powracał; pokłoniliśmy mu się wedle obyczaju. Ujrzawszy nas, oczy zatrzymał długo, a w chwilę potem zawezwano, już do gospody powracających, abyśmy szli do niego.

Nimeśmy, pokłoniwszy się, mówić poczęli, sam on odezwał się, iż napróżno doń przybywamy, gdyż dla nas i nie może i nie chce nic uczynić.

— Najmiłościwszy panie! — odparłem. — Mam nadzieję lepszą w Bogu i w miłości waszej. Kościół stracił kraj już nawrócony, cesarstwo też nie zyskało

na tem, że się wzmogli przewrotni, którzy się z jego posłuszeństwa chcą wyłamywać. Nie wołają o pomstę do Boga, jakby przez pogan zburzone przez nich kościoły, złupione skarby, zajechane bez prawa kraje? Jeśli papież rzymski, a wy, miłościwy panie, nie ujmiecie się za nami, zginie kraj nasz, zaleje go pogaństwo, a Rzym i cesarstwo równą poniosą szkodę.

Mówiłem gorąco i ze łzami. Cesarz dał ucha. Stał się początek sprawy od tej godziny. Nazajutrz usłyszałem z ust Henryka, iż ujmie się u papieża za kościołami naszemi, a Kazimierzowi, jeśliby się do Polski dał nakłonić, sześćset ludzi zbrojnych w pomoc dać przyrzeka.

Z pociechą w sercu jechaliśmy stąd, szukając już tylko pana przyszłego.

Na dworze królowej Ryksy tajemnicę z tego nawet czyniono, gdzie Kazimierz był ukryty. Wiedzieliśmy tylko, iż między duchownymi na naukach przebywa, gdyż matka radaby go oblec suknią duchowną. Mówili jedni o Klunjaku, drudzy o Korbei, inni o różnych klasztorach, gdzieby go szukać należało. Jechaliśmy tedy od jednego do drugiego, pukając do drzwi, jako biedni wędrowcy o gościnę prosząc. Z obawy, aby przed nami nie skryto tego, któregośmy szukali, nie głosiliśmy nawet poco i dokąd jedziemy, nie śmieliśmy się przyznać, iż od Gniezna jesteśmy.

W klasztorach, gdyśmy o synu Ryksy napomykali, milczano, nie chcąc, czy nie mogąc nic o nim powiedzieć.

Smutna była ta włóczęga nasza, ludzi biednych, sierot, szukających pana swojego, który uciekał przed nimi.

— A jakeście go znaleźli? — wtrącił Lasota.

— Jak? Cudem istnym — rzekł Topor, wzdychając. — Nadziejęśmy już byli prawie stracili. Jednego wieczora, gdyśmy w maleńkim klasztorze benedyktynów na noc przyjęci, za stołem siedzieli, pomiędzy innymi pielgrzymami, przybyły z Leodjum mnich począł braciom swym opowiadać o pobożnym młodzia-

nie, który odniedawna tam z Salfeldu przysłany, naukom się oddawał. A miał być, jak głoszono, możnego, bodaj królewskiego rodu, z cesarskim Ottonów szczepem spokrewniony, chociaż nazwisko jego tajono skrzętnie.

Tknęło nas, słuchając, jakoby zrządzenie Boże, że ta powieść mnisza wskazówką dla nas z nieba zesłaną być mogła. Nazajutrz, nie mówiąc nic nikomu, puściliśmy się w drogę do Leodjum, jako wędrowcy, a po długiem i utrapionem błąkaniu się na niebezpiecznych gościńcach, wreszcie zastukaliśmy do klasztoru przy kościele św. Jakóba.

Wiedziono nas tedy do opata Olberta, który badał nas o cel podróży, a gdyśmy mu rzekli, iż ciekawość i pobożność prowadzi nas do miejsc świętych, przyjąć w klasztorze rozkazał.

Już w podwórze wjeżdżając, los zdarzył, iż niektórzy z naszych, sami niepostrzeżeni, poznali sługę królewskiego Grzegorza, który przy nim był od dzieciństwa; zatem pewniśmy byli, iż go tu znaleźć musimy. Z sercami bijącemi szliśmy na wieczerzę do wspólnego refektarza.

Lat wiele ubiegło, jak wielu z nas Kazimierza nie oglądało, przecież rysy jego młodzieńcze mieliśmy wszyscy w pamięci, i gdy odziany czarno wszedł, zabierając naznaczone mu miejsce przy opacie, na widok jego poruszyły się wnętrzności nasze. Królewicz też, choć się pewnie nie spodziewał, abyśmy za nim gonili, i twarzy naszych może nie pamiętał, — obaczywszy nas zdala siedzących, poruszył się jakby wspomnieniem jakiemś. Uspokojony jednak milczeniem naszem, wkrótce oczy odwrócił.

Gdy się wieczerza skończyła i modlitwa dziękczynna odmówioną została, Kazimierz wstał też z innymi, mając odchodzić. Niepokój ogarnął nas i dłużej w niepewności pozostać nie dał; zaszliśmy mu u drzwi drogę, padając na kolana.

Przeraził się i cofnął, ręce składając, a wołając:

— Czego chcecie ode mnie? Kto jesteście?

Mnisi też otaczać go zaczęli, jakby go bronić i odbierać nam chcieli. Wtedy, całując kraj jego szaty, począłem, dobywszy głosu, wołać doń o ratunek i zmiłowanie, jakby przeze mnie wszystka ta ziemia go błagała.

— Panie nasz miłościwy! ulituj się nad nami! Przyszliśmy aż tu za tobą szukać cię utajonego. Zmiłuj się nad spustoszonym krajem, w którymeś się urodził, nad powywracanemi krzyżami, nad spustoszonemi kościoły, w których dziki zwierz ma legowiska, nad rycerstwem swem na rzeź wydanem, nad łzami i krwią, które płyną niepomszczone. Błagamy cię, wróć do nas, bądź panem naszym!

Królewiczowi z oczów łzy pociekły i rzekł głosem wzruszonym:

— Stało się z wami to, nacoście zasłużyli zdradą względem matki mej i mnie samego; krew królów waszych wygnaliście sami... Dajcie mi spokojnie dokonać żywota mego. Zrzekam się na zawsze korony ziemskiej, abym niebieską pozyskał. W ciszy, na służbie Bożej żyć chcę tylko...

A gdy się posunął, jakby odchodzić chciał, myśmy na klęczkach zaparli mu drogę i iść nie dali...

— Jeżeli nie nas, dzieci twoje — ratuj wiarę chrześcijańską, panie miłościwy! — zawołałem, ręce wyciągając ku niemu. — Wiarę, którą dziad i pradziad twój zaszczepili krwią swoją, a którą ty strzec i pielęgnować obowiązany jesteś. Nie do zakonnej ciszy narodziłeś się, panie, ale do sądu, do rządu, do walki. Kraj nieszczęśliwy ręce wyciąga ku tobie — ratuj! zginiemy bez ciebie!..

Płacz nam mowę przerywał, i królewicz i mnisi przytomni płakali także. Kazimierz na zaklęcia i prośby odpowiadał ciągle:

— Nie mogę iść z wami... Cesarski rozkaz, matki mej wolę i własną Bogu uczynioną ofiarę spełniam.

Pokładliśmy się u nóg jego, aż nareszcie mięknąć począł i wahać się w swem postanowieniu.

Szliśmy potem z nim, rozpytującym się o Polskę, kościoły i grody, o nieszczęście nasze — do własnego mieszkania jego, które tuż przy klasztorze miał wyznaczone.

Żył tu prawie, jako duchowny, niemal jakoby mnich, z małym dworem, wcale książęcej godności nieodpowiednim, na jednym z mnichami stole, w równości z nimi, na wspólnych modlitwach. Nie zdawał się ani pożądać więcej, ani tęsknić za panowaniem.

— Miłościwy panie! — mówiliśmy mu. — Nie przynosimy ci korony złotej, ale cierniową, dlatego przyjąć ją winieneś w imię Chrystusa, który ją nosił. Ulituj się nad biednymi! Czech spustoszył ziemię, pogaństwo nawskroś ją ogarnęło znowu, Masław z Prusakami wojuje i zabiera rycerstwo twoje. Dacież dzieła krwi waszej ginąć marnie?

— Chociażbym wam dał krew moją — odparł Kazimierz — wyleję ją napróżno. Dwoje rąk nie starczy na nieprzyjaciela, co ich ma tysiące.

Naówczas dopiero wyznałem mu, iż wprzódy, niemeśmy tu przybyli, chodziliśmy do cesarza, o jego pomoc się upewniając. Poruszył się wtedy, poczynając badać, czyśmy u królowej matki też nie byli — aleśmy wyznali mu szczerze, iż nie szliśmy dotąd, wiedząc, że tam błaganie próżnem będzie.

Późno w noc, gdy w chórze już na modlitwę dzwoniono, rozstaliśmy się z nim, żadnego słowa nie wziąwszy. Nazajutrz rano szliśmy wszyscy na mszę świętą do kościoła św. Jakóba, a tuśmy znaleźli Kazimierza, krzyżem leżącego.

Po ukończeniu nabożeństwa skinął na nas, byśmy mu do mieszkania towarzyszyli. Nie wiedzieliśmy, co z tego rokować mamy.

Rzekł nam w progu:

— Natchnienia i woli Bożej szukałem w kościele; podał mi Bóg do serca, ażebym szedł z wami. Niech nie będzie rzeczono, żem wam życia poskąpił i krwi mojej żałował. Oto mnie macie!

Padliśmy wszyscy przed nim na kolana z płaczem radosnym.

Wesele było wielkie a niewypowiedziane. Natychmiast poczęliśmy do podróży czynić przybory, chociaż opat Olbert i mnisi zrazu nam opór stawili, do biskupa Nitharta, który miastem i krajem rządzi, uciekłszy się o pomoc, ażeby Kazimierza nie puszczano.

I myśmy tedy pozwani na zamek biskupi, udać się musieli przed pana tego, który tam z rąk cesarskich władzę wszelką trzyma, krzyż w jednej, miecz w drugiej ręce, a we zbroi mszę świętą odprawia i jako król siedzi na tronie biskupim.

Ten, wysłuchawszy nas, gdyśmy o wiary chrześcijańskiej wyniszczeniu i upadku rozwiedli się, króla nam wydać rozkazał. Sam też Kazimierz, raz postanowiwszy iść z nami, trwał w swem postanowieniu i dnia trzeciego jechaliśmy z nim do Regensburga, do cesarza Henryka naprzód, przypominając mu jego cesarską obietnicę.

Strzymał też przyrzeczenie swoje, nas i Kazimierza przyjmując wielce łaskawie. Korony obie ze skarbca wydać nam rozkazał, a poczet ludzi sześciuset, dobrze zbrojnych, natychmiast wysłać z nami polecił.

— Cóż się to Niemcowi stało, że tak dla nas miłosiernym się poczuł? — bąknął Lasota.

— Nie dla naszej on to miłości uczynił pewnie — rzekł Topor — ale ze słusznej obawy, aby Brzetysław nie wzmógł się w zbytnią siłę, granice Czech rozszerzywszy.

Z Regensburga król do matki chciał jechać, aby ją pożegnać i wziąć od niej błogosławieństwo. Napróżno staraliśmy się odwieść go od tego; jako syn nie chciał przeciw woli macierzy i bez jej wiedzy iść. Ulec musieliśmy.

Przyszło nam królowej Ryksy szukać aż w Koblencji, gdzie budową kościoła wspaniałego cała zaprzątniona była. Z Leodjum wieść już jej podano, iż syn bez pozwolenia na dwór cesarski z nami ujechał,

zamyślając udać się do Polski. Zastaliśmy ją wielce zagniewaną i oburzoną.

Kazimierza, przybywającego z nami i z pocztem cesarskim, zaledwie dopuścić do siebie chciała; co on z pokorą zniósłszy, czekał na posłuchanie, a my też z nim, aż przyjąć nas raczyła. Szliśmy razem. Patrzaliśmy, jak się do kolan schyliwszy, u surowej matki macierzyńskie znalazł przyjęcie.

— Widzę — rzekła doń — miłościwy panie, iż namowy tych, co nas już nieraz zdradzili, większą u was miały wagę, niż przestrogi i wola matki. Chcecie jechać do niewdzięcznego i dzikiego kraju, na łup poganom i nowej zdradzie, opuszczacie spokojne schronienie, żywot szczęśliwy. Cóż ja mam rzec na to, aby słowo moje zaważyło? Cesarz zezwala, wasza miłość wyrywasz się, na niepotrzebne narażając niebezpieczeństwa; ja nie mam siły, abym was powstrzymała. Raz jeszcze tylko powtórzyć muszę, iż się to nie po mojej woli dzieje, że tego nie chciałam i nie chcę. A jako miłość wasza woli matki nie znasz, tak matka mieniem swem dziedzicznem na chwałę Bożą rozporządzi a nie na rzecz waszą. Ci ludzie wygnali mnie precz sromotnie, zmusili miłość waszą do ucieczki, i mamy się jeszcze dobijać tego mizernego królestwa?

Tak mówiła królowa, a pewnie, gdyby nie owo natchnienie Boże i wola cesarza, trudnoby było Kazimierzowi oprzeć się naleganiom i namowom matki. Do ostatniej bowiem godziny odradzała synowi, ze skarbów wywiezionych z Polski nic mu dać nie chciała, powtarzając, że woli je na chwałę Bożą obrócić, niż wyrzucić na łup poganom.

Takeśmy się z nieprzebłaganą panią rozstali i król pojechał z nami...

— I Pan Bóg mu już dał jedno zwycięstwo! — wykrzyknął Lasota. — Około niego skupi się rycerstwo, odwaga w serca wstąpi, trwoga padnie na Masława... Bóg z nami!

— Bóg z nami! — rozległo się po izbie całej, i jakby duch nowy wstąpił w piersi wszystkich, powstali, podnosząc ręce, a powtarzając:

— Bóg z nami!

IV.

Nie było wpobliżu innego bezpiecznego schronienia, w któremby Kazimierz mógł tymczasową swą założyć stolicę, — Olszowe Horodyszcze musiało się nią stać na chwilę.

Wnuk Bolesława, co przepych jego dworu pamiętał, tu wśród lasów, na lichym gródku starym, musiał gościem być u ziemianina ubogiego.

Zamki jego w gruzach leżały. W spustoszonych nawskroś ziemiach po czeskiej łupieży nie został ni jeden gród cały, ni jedna mieścina, któraby, jak Gdecz, całkowicie wyludnioną nie była, jak Poznań i Gniezno zniszczoną. Tu więc, gdzie Bóg dał pierwsze zwycięstwo, postanowił Kazimierz czekać na drugi oddział cesarski i na gromadzące się rycerstwo własne, stąd rozesłano po kraju gońców, aby zwoływali, kto żył i pozostał. Stąd gotowano się ciągnąć przeciwko Masławowi, wiedząc, iż on ze sprzymierzeńcami swoimi silny opór stawiać będzie.

Wpośród tych lasów, na świeżem pobojowisku, pogrzebawszy trupy, następnych dni zaraz wytknięto miejsce na obóz i okopywać się już poczynano. Wkrótce zaczęły nadciągać gromadki rozbitków, które odgłos o przybyciu Kazimierza z posiłkami cesarskiemi zewsząd ku niemu powoływał.

Belina, opróżniwszy część dworca i zabudowań, pana i otoczenie jego na Horodyszcze wprowadził.

Wszelkiemi sposoby starać się zaczęto o przysposabianie żywności. Co gdziekolwiek ocalało, zwozili i znosili wszyscy, ale dostatku nie było.

Wieść o pierwszej bitwie zwycięskiej cudem prawie z ust do ust się rozchodziła. Roznosiły ją te kupy,

które rozproszono, czerń przerażona, rozbiegająca się po chatach leśnych i chiżynach, w trwodze o zemstę za dokonane okrucieństwa. Sami nawet Masławowi żołnierze.

Ci, co się dotąd po lasach tulili i błąkali, śpieszyli pod opiekę Kazimierza. Smutny był widok tych przybyszów, w większej części odartych, wynędzniałych, zbiedzonych, którzy byli już stracili wszelką ocalenia nadzieję, a teraz odzyskawszy ją, jak upojeni, biegli witać wybawiciela.

Gdyby syn Ryksy nie miał w sercu silnego postanowienia dźwigania kraju z tej niedoli i upadku, sam widok tych ludzi natchnąłby go męstwem i wytrwałością.

Ilekroć ukazał się Kazimierz, z płaczem mu się do nóg cisnęli, witając go imieniem wybawiciela, które było na ustach wszystkich.

Małe zrazu obozowisko wkrótce rozrosło się znacznie, wyrastając niemal z ziemi. Mnożyli się przybysze coraz nowi. Namioty i szałasy coraz liczniejsze stawały, przybywały wozy, zapalały się coraz gęstsze ogniska. Ruch był i czynność wielka, każdy przybywał wycieńczony, ze stępioną i poszczerbioną bronią, ze zbroją poszarpaną, odartą, tak że oszczepy, dzidy, tarcze pogięte na nowo sposobić było potrzeba, miecze odostrzać, topory kuć, odzież popsowaną łatać. Lecz ktokolwiek co miał, a od grabieży uchował, dzielił się tem, składał na ofiarę ochoczo.

Niepokój nie dawał spoczynku, sposobili się jedni, drudzy szli lub wysyłali na zwiady ku Wiśle i Mazowszu, dowiadując się, co się z Masławem działo.

W otoczeniu króla zdania były podzielone, nie wszyscy godzili się na jedno. Część rycerstwa polskiego i cesarscy byli za tem, ażeby, nie dając Masławowi wzbić się w siłę i ściągnąć sprzymierzonych Prusaków i Pomorców, natychmiast napaść na niego. Kazimierz, starszyzna, Topor, Trepka i innych wielu mówili, że gdy szło o bitwę walną, co o losach królestwa stano-

wić miała, lepiej było ważyć dobrze, czekać pory i siły wszelkie gromadzić.

Dawniej już wysłano z tem do Kijowa na Ruś, stamtąd się odpowiedzi rychło spodziewano.

Stary bartnik znowu wyruszyć musiał, choć Spytek niebardzo rad był temu. Ruchawemu człeczynie to włóczenie się, podpatrywanie, podsłuchy, a coraz nowe przygody więcej smakowały, niż zamknięcie między czterema ścianami. Znając Płock i niedawno go zwiedziwszy, był pewien, że w żebraczem odzieniu wśliznie się tam niepostrzeżony.

Gdy odebrawszy rozkaz do pochodu, przestroił się do tej podróży w łachmany, garnuszek na sznurku u pasa uwiesił, kij wziął do ręki, stare łapcie na nogi, sakwę na plecy, tak nową przybrał postać, iż poznać go było trudno.

Zaledwie znikł, znanemi sobie drożynami w las się puściwszy, gdy w obozie zjawił się zbiegły z płockiej niewoli ziemianin, Nosala, który ledwie z duszą uszedł z jamy. Natychmiast zaprowadzono go przed króla, przed którym opowiadał, iż cudem życie ocalił, posądzano go bowiem o zakopanie skarbów i męczono, by miejsce ukazał. Tak z dnia na dzień zwlekano śmierć, aż wreszcie udało mu się nocą wykopać z więzienia.

Nosala mówił, że Masław w szalonym gniewie do Płocka powrócił, natychmiast rozsyłając ludzi do kunigasów pruskich i na Pomorze o posiłki, że gromadził całe wojsko swoje, mając zamiar napaść na króla, nimby więcej Niemców przyciągnęło. Upewniał on, że to, co Masław miał z sobą na Olszowem Uroczysku, było cząstką zaledwie znacznych wojsk jego. Główne pułki stały pod Płockiem, a oprócz Prusaków i Pomorców, Mazurów jeszcze oczekiwano z lasów.

Znękany niewolą, wylękły Nosala, gdy się potem w obozie rozglądać począł i rozliczać, odradzał z taką małą garścią porywać się na silniejsze daleko zastępy Mazura. Pomimo lepszej zbroi i większego ładu, szaleństwem zwał, by się mierzyć chciano z tłumami, którym zacięty, wytrwały i żelaznej woli człek dowodzi

Pozostała mu trwoga imienia Masławowego, tak że ilekroć go wspomniano, za głowę się chwytał i oczyma rzucał dokoła, jakby się lękał ujrzeć go przed sobą.

Baczniejsi z rycerstwa wysyłali jednak na zwiady, postawili czaty w okolicy, dzień i noc czuwali około obozu. Masław na wszystko się mógł ważyć, nawet na porwanie króla. Grodzisko też, na którem się teraz znajdował, starano się obronnem uczynić. Ludzi poddostatkiem było, więc pospólstwu, które dziś stało się ciężarem i zawadą, ustąpić kazano i rozejść się po dawnych sadybach.

Ciżba ta o brzasku dnia, pocichu, w milczeniu groźnem, wysunęła się z Horodyszcza i w lasach ukryła. Miejsce jej zajęło rycerstwo przedniejsze, otaczające Kazimierza, dwór i służba pańska. Zburzone szopy podniesiono znów, klecąc je dla koni i ludzi.

Dzień i noc pracowano na zamku, poruszano się w obozie, szli i przychodzili posłańcy, gromadzili się zbiegi i tułacze z ziem różnych. Od świtu do nocy Kazimierza drzwi stać musiały dla n[illegible] otworem, bo każdy widzieć go chciał, pokłonić mu się, [illegible]oleć przed nim i poskarżyć.

Pod bokiem króla pomieszczono ciężej rannych w bitwie, których liczba była znaczna, lecz ci, zaledwie się rany zabliźniły, powracali pod namioty.

Pomiędzy okaleczonymi znajdował się i Wszebór, któremu cięcie w kark przez Masława do kości rozpłatało szyję. Kawałkowi żelaza, przyczepionemu do hełmu ztyłu, winien był Doliwa, iż głowę uniósł całą. Rana głęboka a niecierpliwość wielka nieprędkie obiecywały uleczenie.

Na dole w kilku komorach drugiego podwórza leżeli razem wszyscy porąbani, tę mając pociechę, że się im z wyżek niewieście głosy słyszeć dawały, a niekiedy i postać ukazała.

Dla starego Spytka zrazu też innego miejsca nie znaleziono i on z rannymi razem się położył.

Wszebór, wpobliżu się pomieściwszy, rachował na to, iż codzień przybywającą do męża żonę i córkę będzie mógł widywać, a staremu się zalecać.

Choć czas nie był po temu, nad głowami srogie niebezpieczeństwo zawsze jeszcze wisiało, a Doliwa o własnem zdrowiu, z powodu jątrzącej się rany, niewiele mógł tuszyć — przecie gorącego serca wojak, ilekroć się ukazały niewiasty, podnosił głowę, w dziewczę się wpatrywał, do matki uśmiechał i zalecał, jakby w gościnie u spokojnego ogniska.

Ojca sobie skarbiąc łaski, posługiwał mu chętnie, lecz tu przystęp, zbliżenie się i spoufalenie trudnem były. Ze Spytka mało kto słowo wyciągnąć potrafił, a za serce go ująć chyba nikt. Za lepszych czasów ludzie go już zwali jeżem, cóż dopiero teraz, gdy go rany, choroba, straty i niepewna przyszłość nękały.

Władyka, nawykły do panowania w domu, tu na łasce ludzi, zrównany z innymi, po dniach całych warczał i burzył się, wszystkiemu nierad, narzekając i ganiąc wszystko. Przynoszone mu wiadomości wszystkie były nie po jego myśli. Jednego dnia narzekał, że się zbytnio śpieszono, drugiego łajał, że się brano leniwo. Martę i córkę pędzał tak, że same nie wiedziały, co z nim i z sobą poczynać miały. Gdy doń przyszły, gniewał się, że darmo się włóczyły, kazał pilnować kądzieli, przypisywał krzątanie się ciekawości niewieściej, zalotności niegodziwej; gdy potem długo ich nie było, narzekał, że o nim starym zapominały, a wolały się gzić gdzie indziej.

Tomko, który się rozmiłował w dziewczynie, ojcaby na rękach nosił, a rodzice jego, widząc to, zjednać go sobie pragnęli. Ale przystępu doń nie było. Przysposobiono mu izbę osobną, aby go od Wszebora odciągnąć; nie przyjął jej, nie chcąc za nią być wdzięcznym.

Nikomu z nim, jemu z nikim dobrze nie było. Starego wojaka, mężnego rycerza, szanowano jednak, choć kąsał.

Ponad głową jego, czując się współzawodnikami, Wszebór i Tomko patrzyli na się takiemi oczyma, jak-

by się pozjadać chcieli. Mszczuj teraz, pokochawszy Zdanę, a coraz pewniejszym będąc, że i ona mile nań patrzy, odstąpił nieco od brata, a do Belinów się zbliżył.

Gdy w obozie wszystko było wojną i przysposabianiem do niej zajęte, na Horodyszczu około młodego króla powoli zadzierzgała się ta sieć zabiegów o łaskę pańską, o ucho, o przewagę w rodzie, która każdą siłę otacza. Ci, co dali dawniej dowody wierności Kazimierzowi, dziś upominali się o swe prawa i zaufanie; winni cisnęli się o przebłaganie, przebaczenie, usprawiedliwiając grzechy dawne. Patrzano w oczy dawnemu panu, usiłowano go odgadnąć. Ale nikt się tem pochwalić nie mógł.

Milczący i zamknięty w sobie był król młody, o przeszłości mówić nie lubił, chciał o niej zapomnieć, dla wszystkich równie przystępny, nikomu serca nie otwierał. Obyczaj zachowywał niemal zakonny, obchodził się małem.

Przed bitwą Topor i ci, co mu towarzyszyli z Leodjum, wątpili zrazu, ażali się w nim wojenny duch obudzi. Zawiedli się na tem. W pierwszej chwili rozpoczęcia walki Kazimierz stał, jakby nierozbudzony, zdumiony, niepewien co pocznie. Ale gdy się rycerstwo puściło, zachrzęszczały zbroje, miecze zabłysły, zwarły pierwsze szeregi, rumieniec wystąpił mu na twarz bladą, zapłonęło oko, dobył z pochew miecz Bolesławowski i już powstrzymać go nie było można. Grzegorz i starszyzna własnemi piersiami zasłaniać go musieli, tak nieopatrznie narażał się na niebezpieczeństwo.

Z tej bitwy wyszedł rycerzem, odebrawszy w niej chrzest krwi i zwycięstwa. Od tej godziny poznać go było trudno, tak rycerz i wojak zatarł w nim dawnego mnicha. Patrzano nań z poszanowaniem, ciekawością, trwogą, bo nikt nie znał bliżej tego pana, nawet ci, co z nim zamłodu bywali, jak Toporczyk, co się zwał przyjacielem i w każdej godzinie przystęp miał doń wolny. Kilka lat wygnania i zamknięcia w murach

zmieniły młodą naturę. Znalazł się już w nim rycerz, teraz szukano króla.

Starszyzna tymczasem za niego myślała i troszczyła się. Chociaż cesarz Henryk w pomoc przyszedł Kazimierzowi, a poczet zbrojny, jaki mu dał, był pierwszym zarodkiem przyszłej siły, która się około niego zgromadzić miała, choć Niemcy walczyli dzielnie obok rycerstwa polskiego w pierwszej bitwie, zawczasu szeptano sobie, jakby się zbyć można opieki cesarskiej i pobratymstwa z Niemcami. Nie chciano drugiej Ryksy na tronie, ani Ody.

W poufnych rozmowach, choć Masław stał z groźnymi sprzymierzeńcami swymi nad Wisłą, choć król nie miał dachu nad głową, już myślano o jego przyszłości, żeniono młodego pana, szukano dlań sojuszów, odbudowywano Kraków, Poznań i Gniezno.

Topor chciał co rychlej szukać mu towarzyszki, aby być pewniejszym, że kraju nie opuści, a wymagał od niej wiele posagu, któryby skarb pusty zasilił, — wdzięków, by Kazimierzowi dała szczęście domowe i silnego sprzymierzeńca w jej rodzie. Wtórowali mu drudzy, wymyślając najdziwniejsze dziewosłęby.

— Byle tylko nie Niemka była — odezwali się niektórzy — i nie żadna wnuczka, ani powinowata cesarska, abyśmy w jarzmo Niemców nie poszli. Jeszcze dnie Ody pamiętamy...

— Aby też nie Czeszka była — dodawał Lasota, którego Czesi porąbali — bracia ci siedli nam kością w gardle. Korzystając z nieszczęścia naszego, złupili nas po zbójecku, bez miłosierdzia. Gniezna, Poznania i Gdecza im nie zapomnimy.

— To niechby krasną polską dziewkę wziął — rzekł inny — poco mu królewnej? Którą przy sobie posadzi, choćby chłopką była, królową się stanie.

— To nie dosyć — sprzeciwiał się Topor — nam i posagu trzeba i przymierza z nią dostać. Zbyliśmy się wszelkiego mienia, a co za Bolesława było srebra jak lodu, dziś i żelaza zabrakło.

— Tu już nigdzie dlań po żonę, tylko na Ruś — rzekł Trepka. — Tam ci są dostatki wielkie, a jak do kijowskich książąt rękę wyciągniemy, nie odepchną jej. Stamtąd mu dziewkę wziąć!

— A czemuby nie! — wtórzyli drudzy. — Jeśli prawda, że nam na Masława pomoc dadzą, łatwo stąd przyjdziemy i do żony. Po Włodzimierzu, wielkim panu, córki zostały i skarby zostały i pamięć bohaterska. Niemców mieliśmy dosyć, Czechów mamy aż nadto. Z Rusi Bolesław skarby przywoził i dziewek tam krasnych siła. Jedną nam mogą dać.

Tak urosła pierwsza myśl swatów, gdy Kazimierz jeszcze o żonie, ani o stadle nie myślał, a losy się niepewne ważyły między nim a Masławem.

Dla króla te rady tajemnicą zostawały: wojennemi się tylko sprawy zajmował. Czekano na Sobka, aby potwierdził, co przyniósł Nosala, albo pocieszniejszą wieścią dał otuchę.

W kilka dni zjawił się bartnik stary. Było to pod wieczór, gdy król z grafem Herbertem, co dowodził cesarskimi, Toporem i Trepką naradzał się właśnie, kiedy i jak na Masława iść mieli. U progu stał Grzegorz, który Belinę i Sobka oznajmił, bo chciano, aby z własnych jego ust król usłyszał, co przynosił.

Król mieścił się w wielkiej owej izbie na dole, nieco dogodniej przybranej dla niego. Zniesiono tu, co kto miał najlepszego, ale przepychu nie było. Tok tylko skórami zasłano, suknem pozawieszano ściany, błyszczało na niem trochę broni, a na stole naczynia srebrnego niewiele.

Lecz leżało na niem to, co naówczas mało gdzie i po królewskich spotkało się dworcach, naprzeciw krzesła pańskiego spoczywały dwie w drzewo i pozłocisty mosiądz oprawne księgi. Na jednej z nich, otwartej, złoty krzyż karty pargaminowe przytrzymywał.

Gdy Sobek w łachmanach żebraczych ukazał się z Beliną w progu, rozstąpili się im wszyscy w milczeniu. Bartnik padł do nóg królowi, aby uczcić majestat pański.

Nie czekając co powie, Topor spytał pocichu Belinę:
— Cóż przynosi?

Stary gospodarz niedobrze potrząsnął głową. Uciszyli się wszyscy, a Sobek na swój sposób, powoli, słowy urywanemi, głaszcząc się po głowie, opowiadanie zaczął.

I on potwierdzał to, że Masław miał siły ogromne i że szalony a zapamiętały, zewsząd je gromadził jeszcze, aby pomścić pierwszą klęskę. Bartnik widział wojska, które się pod Płockiem ściągały i stamtąd wyruszyć miały, aby rycerstwo Kazimierzowe otoczyć, a nie wypuścić ani żywej nogi. Codziennie przybywały posiłki nowe, których Sobek zliczyć nie umiał i powtarzał tylko, że było ich jak mrowia, a obóz nad Wisłą pięć i sześć razy większy mu się zdał, niż królewski.

Otaczający Kazimierza, obawiając się wrażenia, jakie ta powieść uczynić mogła, usiłowali odwieść bartnika od przesadzonego liku; ale stary, potrząsając głową, trwał przy swojem uparcie i jedno ciągle powtarzał, iż mierzyć się z Masławem nie było można.

Król milczał; z twarzy jego spokojnej poznać nikt nie mógł, jakie to na nim uczyniło wrażenie. Słuchał, nie zmrużywszy oka, nie poruszywszy się nawet, na księdze trzymając rękę.

Gdy bartnika rozpytawszy odprawiono, Kazimierz odezwał się do otaczających:

— Mamyż się mnogości ulęknąć, jakbyśmy sprawie naszej nie wierzyli? Za krzyż i wiarę walczymy...

Topor i inni skłonili głowy; jeden tylko odezwał się, wzdychając:

— Pośpieszać nam potrzeba było, nim się ta czerń zebrała!

— I bylibyśmy to uczynili — dodał król — gdybyśmy na posły i posiłki z Rusi nie oczekiwali. Lada dzień się ich spodziewamy; gdy te przybędą, a odpowiedź przyjdzie pomyślna, ociągać się nie będziemy. Miecz niech rozstrzyga w imię Boże!

Nie odezwał się już nikt więcej; męstwo i spokój króla przeszły w nich wszystkich. Nabrano otuchy.

Przypomnieli sobie ci, co walczyli w dolinie, jakie tłumy otaczały Masława i w pierwszem starciu pierzchnęły.

Królewskie słowo było jakby proroctwem dobrej wieści; nazajutrz z rana nadbiegł przodem wysłany goniec, oznajmujący o powracających posłach z Kijowa, z którymi jechali bojarowie, wiozący dobre słowo kniazia i obietnicę rychłej pomocy.

Trzeciego dnia nadjechali oznajmieni posłowie, bojarowie kniaziowscy, z drużyny jego, starosta Torczyn, Tiwun Paramon i ogniszczanin Dobryń, z małym ale pokaźnym pocztem, z którym się szczęśliwie, mimo Masławowe oddziały, po kraju rozpierzchłe, dostali do króla.

Zanim przybyli, gotowano się na ich przyjęcie; troskał się niepomiernie Grzegorz, aby ubóstwo pańskie w oczach obcych ludzi krzywdy mu nie uczyniło. Za jego staraniem przystrojono wspanialej izbę królewską aby się im od „grydnicy" kijowskiej nie wydała biedniejszą, zebrano się na stołową zastawę, aby, jak niegdy Włodzimierzowi drużyna jego, nie wyrzucali posłowie królowi, że im drewnianemi łyżkami jeść każe. Król też wdział dnia tego suknie i kożuch bogatszy, łańcuch na szyję, najpiękniejszy miecz do pasa.

Przed południem ujrzano wśród gromadki konnych owych posłów z Kijowa, na których czele jechał starosta Torczyn, mąż średniego wieku, barczysty, choć niezbyt wyrosły, oczu piwnych, biegających żywo, oblicza wesołego. Wszyscy mieli na sobie suknie długie, kożuchy bogate, czapki wysokie, oręż w pozłocistych pochwach i u pasów worki. a chusty jedwabne.

Paramon i Dobryń wyglądali poważnie zarazem i dobrodusznie, choć w twarzach ich ukrytą przebiegłość widać było. Bili tędy pokłony królowi, od kniazia Jarosława przynosząc pozdrowienie i posiłki zwiastując, a Torczyn zachwalał mężów swych, jako bohaterów i siłaczy, którzy świat cały podbić byli gotowi. Ze słów jego — za obrów i czarnoksiężników wziąć ich było można.

Król, w niewielu podziękowawszy słowach, powierzył posłów starszyźnie, by ich ugościła.

Już przygotowane było przyjęcie obfite i zastawione wspaniale, choć się na ten przepych całym obozem składano. A że pod namiotami niewygodnie ich ugaszczać było, musiały niewiasty na ten dzień ustąpić z góry, gdzie już stół zawczasu przybrano. Topor, Trepka, starszyzna cała zasiedli razem z gośćmi, którzy wśród poważnego rycerstwa pochmurnych twarzy wesołością swą się odznaczali.

Torczyn, najstarszy, trochę ją na wodzy trzymał, Paramon mówił niewiele, Dobryń za poselstwo całe uśmiechu miał usta pełne i dobrej był myśli. Poczęto zapraszać, częstować i kubki nalewać, które i Torczynowi staroście i Paramonowi dodały ochoty; wzięła się rozmowa żywa, jakiej tu dawno nie słyszano — a pod koniec nawet ściskać się i całować potrzeba stała wielka, bo się wszyscy z sobą niezmiernie drużyli.

— Wy bo coś frasobliwie patrzycie — mówił Dobryń, — a tu trzeba wesoło iść na wroga, to się sobie serca doda, a jemu odbierze. Było złe, będzie dobre — ciągnął wesoło ogniszczanin. — Niechno nasi mołojcy nadciągną, zobaczycie! Góry przez siebie przerzucają, a sosnami się podpierają; nie ujdzie noga z tych ludzi i śladu po nich nie zostanie!

— Pomożecie wy nam teraz — rzekł Trepka — nie daj Boże potrzeby, pójdziemy i my dla was i kniazia waszego przelewać krew naszą.

Pili więc za swe zdrowie i ściskali się a całowali znowu, gdy z komory bocznej, nie mogąc wytrzymać dłużej, wysunęła się strojna Spytkowa, by ziomków powitać.

Na widok krasnej niewiasty aż im się oczy śmiać zaczęły, a dopieroż zakrzyknęli z radości, gdy ją po rusku mówiącą usłyszeli. Spytkowa pytała o swoich, lecz kijowianie bodaj o połoczanach mało wiedzieli, żaden się do znajomości rodu nie przyznał, choć wszyscy w piękne jej oczy patrzyli radzi i chętnieby byli wieścią się dobrą przysłużyli.

Spytkowej się usta nie zamykały.

— To was Pan Bóg do nas przyniósł — mówiła, kłaniając się, jak należało niewieście przed poważnymi mężami. — Mówią, że królowi naszemu posiłki kniaź przysyła. Niech mu za to Bóg płaci! A jeszczeby jedno kniaź wasz uczynić dla króla powinien, aby się na wieki braterstwo zawiązało...

To mówiąc, dziwnie uśmiechnęła się Spytkowa, tajemniczo nie kończąc mowy.

— A no co, piękna pani? — ozwał się Dobryń. — Albo nie było poczynać, lub trzeba już dokończyć.

— Co takiego? co? — ciągnęła powoli Marta, oczyma rzucając ze starosty na Tiwuna, a z tego na ogniszczanina... — Albo to wy, rozumni ludzie, drużyna pańska, nie domyślicie się, co takiego młodemu panu potrzeba, aby był szczęśliwy?

Dobryń, dłonią się zasłoniwszy i głowę w ramiona wciągnąwszy, śmiać się począł.

— A! chytra krasawico! — zawołał. — Pańską swachą ci się zachciało być!

Śmiali się wszyscy, nawet Tiwun Paramon, najpoważniejszy ze wszystkich, pokraśniał i zachichotał.

— A cóż, nie? — ozwała się Spytkowa.

— I dobrzeście trafili — mówił Dobryń wesoło — bo nigdzie piękniejszych dziewcząt niema, jak u nas w Kijowie, a co źli ludzie prawią, że wiedźmy są wszystkie, fałsz to wierutny! Ej! ej! co za dziewczęta! Na wagę złota je sprzedawać, i takby było niedrogo, a druhowi darmo dać, — my nie od tego.

— U kniazia też znajdzie się pewnie — wtrąciła Spytkowa.

— Nieboszczyka kniazia Włodzimierza córka właśnie dla waszego króla para — mówił Dobryń. — Daj Boże w dobry czas powiedzieć dobre słowo.

Spojrzeli po sobie polscy ziemianie.

— Jak na imię kniaziównie? — spytał Trepka.

— I imię piękne i dziewka śliczna — mówił Dobryń. — Dobrogniewą ją nazywamy, bo choć się zagniewa — dobrą jest. Śnieg nie może być bielszy od

jej twarzy, ani malinowy sok różowszy od jej rumieńca. Gdy złote puści kosy, to się po ziemi wloką, gdy niebieskiemi spojrzy oczyma, ludzie o smutkach zapominają, gdy się uśmiechnie, pogoda na niebie wstaje. Gdy z teremu wychodzi krasawica, ptacy się do niej zlatują z nieba, a gołębie siadają jej na ramionach, gdy pieśń zanuci, lwy się u nóg jej kładną, a złotem i jedwabiem gdy ręcznik wyszyje, tylko go na ołtarz dać można.

— Dajcież nam ją, dajcie na królowę — zawołała Spytkowa...

I śmiejąc się, w kubki potrącano, a starsi panowie, milcząc, głowami potrząsali... długo w noc gwarzono i biesiadowano.

W kilka dni później z wieczora od króla wyszedłszy, graf Herbert i starszyzna do obozu pośpieszali milczący... W namiotach zbierało się rycerstwo, rozeszła się błyskawicą wieść po dolinie, że nazajutrz wojska wyruszać miały ku Wiśle, nie czekając Masława, a same go chcąc uprzedzić. Taka była wola królewska. Na dzień naznaczony i posiłki od Kijowa z drugiej strony na łodziach nadciągnąć miały.

Na Horodyszczu załogę, choć niewielką, zostawić było potrzeba, aby go nie ogołocić zupełnie. Niektórzy ciężko ranni ruszyć się też nie mogli. Belina na swych śmieciskach stać musiał, Spytek, kaleka, nie zdałby się do walki.

Wszeborowi szyja zaledwie zabliźniać się zaczęła, a gorąca krew zostać mu nie dawała. Chciał iść i chciałby był zostać, bo Tomkowi, ojcu w pomoc dodanemu, na Horodyszczu przy pięknem dziewczęciu kazano siedzieć. Tomko mógł korzystać z czasu i ubiec go u ojca. Co miał począć, nie wiedział — Doliwa, powstawszy z ławy, ręce łamał i z głową spuszczoną chodził długo, nim mu na myśl przyszło matki się poradzić. Ku wyżkom się więc skierował, jednej z dziewcząt służebnych uprosiwszy, by wywołała Spytkowę.

Trochę przelękła wybiegła zaraz Marta. Ciemno już na wyżkach było, poznała jednak po głosie Wszebora.

— Co wam jest ? — zawołała — i co najlepszego czynicie? O tej porze na rozmowę zwać, nuż kto podpatrzy, co pomyślą ludzie?

Wszebór do kolan jej się chylił i ręce całował.

— Dobra pani — rzekł — radźcie, jak matka, radźcie, jak królowa... Jutro na wojnę idziemy... Mamli iść, a was tu zostawić z Tomkiem, aby Kasię zaswatał? Gdy ją stracę, świat i życie mi niemiłe..

— Cóż począć? Chcecie iść? — spytała Marta.

— Dla króla muszę, muszę dla siebie sam; rana tak, jak zagojona, zostać mi się nie godzi.

Pomyślała nieco Marta i w ręce zlekka uderzyła.

— Macie łaski u pana? — rzekła. — Czemu jego w swaty nie poprosicie. Spytek go się lęka, bo ma coś na sumieniu przeciw niemu. Gdy go król poprosi, — nie odmówi.

Słysząc to, Wszebór do nóg upadł Spytkowej, a nim na nowo mówić zaczęła, pędem z wyżek się stoczył.

Ze starym Grzegorzem dawną miał i dobrą znajomość; znał go sługa pański jako wiernego królowi. Ku niemu wprost popędził Doliwa, — chwili nie było do stracenia. Grzegorz zbroję do podróży opatrywał i czyścił; że pora była późna, zdziwił się odwiedzinom.

— Do pana miłościwego mi potrzeba — odezwał się, przypadając doń, Wszebór.

— Ciemna noc! jutro rano w pochód idziemy, nie pora! — rzekł, głową potrząsając, stary.

— Ja go dziś jeszcze widzieć muszę! — odezwał się Doliwa. — Zlitujcie się wy nade mną. Nie wezmę czasu długo, bylem mu do nóg mógł paść i dwa słowa rzec...

Nic nie mówiąc, ręką dał znać Grzegorz, aby czekał, a sam wszedł do izby. Nie trwało długo, drzwi się otworzyły i Wszeborowi stróż wierny dał znak do wnijścia.

Król sam jeden był, stał u ogniska dogasającego, od którego się ku przychodzącemu odwrócił.

Doliwa, który ani zmilczeć, ni ścierpieć, ni wyczekiwać nie umiał, przystąpiwszy do króla, padł u nóg je-

go i ranę obnażając przed nim, zawołał, ręce złożywszy:

— Miłościwy panie! walczyłem za ciebie i walczyć będę do śmierci, bądź ty mi dobroczyńcą, o łaskę twą proszę!

Król mu dał znak, ażeby podniósł się z ziemi.

— Czego chcesz ode mnie? — spytał łagodnie. — Mów!

Wszebór, powstawszy, ręce łamał, ze zbytniego wzruszenia mówić nie mogąc.

— Wstyd mi w tej chwili — rzekł wreszcie — o taką prosić łaskę, ciebie, miłościwy panie, który o czem innem myśleć musisz; przebacz młodości mojej! — schylił się znowu.

— Mów, czego chcesz? — powtórzył Kazimierz.

— A! — dodał Doliwa półgłosem — swatem mi musisz być, miłościwy panie.

Kazimierz się cofnął zarumieniony. Widać było, że wcale czego innego się spodziewał.

— Nam nie o weselu myśleć! — rzekł smutnie — i nierychło będzie gdzie je wyprawiać.

— Ja też teraz wesela nie żądam, tylko słowa ojca i matki — mówił Wszebór, całując natarczywie rękę króla. — Spytkową córkę chcę mieć! Miłościwy panie, rozmiłowałem się na śmierć w tej dziewczynie.

Król słuchał z oczyma spuszczonemi i niemal kobiecym wstydem.

— Dwu nas jest braci — mówił gorąco Wszebór — rodziców nie mamy, tyś naszym opiekunem i ojcem. Spytek stary czuje, że przeciw waszej miłości zawinił dawniej, radby uzyskać przebaczenie; gdy mu słowo rzec raczycie, da mi córkę.

— I znowu do kolan się schylił, a król łagodnie go od siebie odsunął, nie mówiąc nic.

— Gdy wrócimy z wojny, chętnie — odezwał się wreszcie — teraz nie pora o tem myśleć.

— A potem nie pora będzie już, bo kto inny ją zaswata — przerwał Wszebór. — Królu panie, dziś lub jutro, albo nigdy.

Zafrasowany stał Kazimierz jeszcze, gdy Trepka stary, który na jutro potrzebował rozkazów do ciągnienia, wszedł do izby. Król go ku sobie powołał, jakby mu ciężar spadł z piersi.

— Stary mój przyjacielu — rzekł do Trepki — wy mnie w tem zastąpicie i w mojem imieniu wstawicie się za dobrym sługą, któremubym rad wywdzięczyć serce jego dla mnie.

Nie rozumiał jeszcze Trepka, o co szło, i patrzał zdumiony, gdy mu Wszebór prędkiemi słowy wytłumaczył prośbę swoją.

Starzec się namarszczył trochę.

— E! wy młodzi! — zawołał — prawda, bijecie się dobrze, ale płocho u was w głowie... Gdy kraj ratować trzeba, wam dziewczęta na myśli.

— A no mi ją weźmie inny! — wtrącił Wszebór. — A ja bez niej żyć nie mogę.

Ruszył ramionami stary.

— Któż ci ma wziąć ten skarb? — zapytał.

— Tomko Belina koło niej biega. On tu zostanie z nią i rodzicami, a mnie nie będzie!

— Tomko? — idzie z nami! — odparł Trepka. — Widzicie, że dla dziewczęcia królewskiej i naszej sprawy nie rzuca.

Zawstydził się nieco Wszebór.

— Wszelako proszę — dodał — choćby z nami szedł, wolę mieć słowo rodziców, ochoczo potem na wojnę pociągnę.

Kazimierz stał, nie odzywając się; Trepka nań popatrzył.

— Jest-li to wolą waszą, miłościwy panie?—spytał.

— Uczyńcie mu to, aby miał serce spokojne — dodał król smutno... — Nie odkładajcie.

Wszebór starego za rękę pochwycił.

— Panie, a ojcze...

Rozśmiał się prawie miłosiernie Trepka, i widząc rozgorączkowanie, skłoniwszy się królowi, skierował się ku drzwiom z Wszeborem.

— A no? — mruknął w progu — nawet ręczników nie mamy?

Wyszli w drugie podwórze.

Stary Spytek zajmował zawsze to miejsce, jakie sobie obrał w początku, między kalekami i chorymi. Wysłane miał tylko starannie łoże i gałęźmi jodłowemi ostawione; spoczywał już na niem, choć nie spał jeszcze, a wierny Sobek klęczał u nóg jego. Reszta rannych albo już chrapała, lub do obozu poszła żegnać się z odchodzącymi nazajutrz towarzyszami.

Postrzegłszy nadchodzącego Trepkę, któremu był winien pielęgnowanie w chorobie, Spytek się podniósł na łokciu.

— Cóż to już ciągniecie? żegnać się chcecie?

— Jeszcze nie z pożegnaniem przyszedłem — odezwał się stary, stając nad nim, i oglądając się na Wszebora, który się przybliżył. Przychodzę do was w poselstwie od króla.

Ruszył się Spytek niespokojnie i podniósł oko zakrwawione.

— Od króla do mnie? a cóż miłościwy pan żądać może od starego kaleki?

— Żąda, abyście mu dali dowód dobrej woli dla niego — mówił Trepka. — Nie ma czem pan miłościwy nagradzać rycerstwa swego, chce, abyście za niego dług zapłacili.

Nie rozumiejąc, Spytek usta otworzył szeroko, a czoło mu się namarszczyło.

— Nie drwijcie ze starego kaleki — zawołał.

— Nie pora na żarty — mówił Trepka. — Oto stoi przed wami ten, któremu dług królewski zapłacić macie, Wszebór Doliwa.

Domyśleć się musiał Spytek i namarszczył czoło groźnie; nierychło począł ustami ruszać, a widać było, że gniewem się burzył.

— No, cóż mu mam dać? Sam nic nie mam! — zawołał.

— Macie córkę... prosi o nią król dla Wszebora.

Doliwa pochylił się milczący do ręki starego, który mu ją usunął.

— Nie mam ja nic przeciw Doliwie — począł — choć Spytkowej córce, jedynaczce, należałoby się więcej, niż on. I kneźby przystał, a no wola królewska niech się stanie... Będzie ją miał.

Doliwa dziękował milczący, gdy stary ciągnął już dalej, coraz się rozgrzewając.

— Powiedzcie królowi, że to czynię dla niego, bo chcę, aby mi wrócił serce, tylko dla niego to czynię... rozumiecie!

— Zatem król ma słowo wasze? — zapytał Trepka.

Zamiast odpowiedzi, skinął Spytek na sługę.

— Niech tu przyjdzie Marta z córką.

— Wszebór, który stał szczęśliwy nad miarę, spojrzawszy na starego, leżącego z głową podniesioną do góry, i mierzącego go okiem, pełnem złości stłumionej, poczuł także w piersi zaród gniewu i dumy obrażonej. Nie czas było się waśnić, ścierpieć musiał.

Sobek pobiegł, Trepka i Doliwa milczeli, Spytek stękał tylko i wstrząsał się czasami, jakby wewnątrz walczyć musiał z sobą. Czekali tak, gdy posłyszeli chód dwóch niewiast, i we drzwi weszła z promieniejącemi oczyma zwycięstwem Marta, ciągnąc bladą i wylęknioną Kasię; ta, spostrzegłszy Doliwę, zachwiała się i rzuciła, jakby uciekać chciała, lecz matka ją za rękę trzymała silnie.

Ujrzawszy żonę, Spytek jeszcze się bardziej zachmurzył.

— Król, pan nasz miłościwy, sam swata córkę naszą — odezwał się. — Królowi odmówić nie mogę.

Wskazał na stojącego Doliwę.

— To przyszły twój mąż! — rzekł, patrząc na Kasię. — Taka jest wola królewska i moja. Gdy przyjdzie pora, sprawimy wesele.

Marta skłoniła głowę, na twarzy Kasi milczącej odmalowało się uczucie w tak młodem dziewczęciu ledwie do wiary podobne. Zamiast łez i smutku, lice jej zapłonęło gniewem, oczy groźbą, usta zacięte ja-

kiemś wyzywającem męstwem. Z wolą ojca i pana jawnie naówczas żadnaby się walczyć nie ośmieliła. Kasia też nie mogła się jej sprzeciwić. Lecz Wszebór zrozumiał wejrzenie...

Spytek ani już spojrzał na córkę, a Marta, zbliżywszy się z nią do Wszebora, chciała, ażeby, wedle starego obyczaju, zrękowiny podaniem ręki i pocałunkiem się potwierdziły. Kasia stała w swem miejscu jak wkuta, nie dała się pociągnąć, wyrwała rękę i cofnęła krokiem.

Wszebór też nie chciał nastawać, obiecując sobie przemóc później ten srom dziewiczy; ucałował tylko rękę ojca i matki, dziękując.

Trepka się ruszył.

— Pójdę więc królowi dobrą zanieść nowinę — rzekł.

Głową mu skinął Spytek i natychmiast, nie zważając już ani na przytomność przyszłego zięcia, ani na córkę i żonę, opadł na posłanie, wołając na sługę.

— Sobek, obetknij mi nogi.

Oczy zasłonił i głowę zakrył...

Cichemi kroki wysunęła się stąd Marta, za którą szła Kasia blada, z groźnym zawsze oczu wyrazem. Gdy się znaleźli w podwórzu, a Doliwa chciał się śmielej do dziewczęcia przybliżyć, nie bacząc na matkę, Kasia odskoczyła i biegiem, nie oglądając się, na wyżki poleciała.

— To dziecko! — uśmiechnęła się matka, podając Wszeborowi rękę — młodę ptaszę... co za dziw! Przyhołubisz je potem, gdy twojem będzie. Czasu mieć będziesz dosyć.

I cicho szeptać z nim zaczęła.

Na wyżkach słychać było jakby wybuch płaczu, jęków i oburzenia. Drzwi się otwarły nagle, wybiegła z nich Zdana, mijając Martę, rzuciła na nią okiem gniewu pełnem i znikła...

Belina stary, Tomko, Hanna zeszli się naradzać na górę i szeptali długo... Tomko z siostrą odeszli potem na stronę i mówili z sobą pocichu, a gdy Wszebór się

wysunął, ściągnięto Mszczuja do narady. Kupka ta to się schodziła, to się rozchodziła długo w noc, a gdy Mszczuj do brata na nocleg powrócił, nie odezwał się do niego słowa, i jak stał, rzucił się spocząć, głowę okrywszy.

Wszebór czuł w nim gniew, i nie śmiał mu nawet swojego szczęścia zwiastować.

V.

Przyszła w tym roku wiosna, gdy jej się chyba jedne spodziewały skowronki, a ludzie w zimę jeszcze wierzyli, przyszła niespodzianie jednej nocy ciemnej, lecąc z południa na ciepłych wiatru skrzydłach. Wczoraj jeszcze leżały śniegi białe i lśniły się od mrozu pod zaszkloną skorupą, na rzekach trzaskały lody, obłoki ciężkie, jak wory, napchane śnieżycą, ciągnęły sinemi szlaki od północy. Kury zapiały niespokojne, wiatr przypadł gdzieś do ziemi i usnął, — była cisza. Wtem zdala zaszumiało coś, nadbiegł wicher z południa, wilgotny, zmęczony, gwałtowny, do rana już tajały śniegi, czerniejąc, płynęła woda po lodów skorupie, ziemia odsłaniała się jak oblubienica ze śnieżnych rąbków, skowronek poleciał do góry, zjawił się bocian wychudły podróżą, a nawet niespokojna jaskółka.

Ci, co zasnęli w zimie, obudzili się, przestraszeni strumykami, które mruczały, torując sobie wszędzie drogi, nurtując zawiane śnieżne kupy, ku południowi czerniały płaty ogromne, wieczorem lód tylko kruchy gdzie niegdzie się trzymał. Zieleniejące trawy i zboża wyszły z pod zimowego okrycia. W powietrzu czuć było wiosnę, ziemię woniejącą, nabrzmiałe pączki, ciepły deszcz i parujące wody. Ponad brzegami rzek stały jeziora, na rzekach piętrzyły się nazajutrz pokruszone lody i uparte ściskały się, broniąc potędze ciepła i słońca. Ci, co wczoraj w odwilż, nie w wiosnę wierzyli, musieli przyjąć zwycięską... Bocian ją niósł na skrzydłach, skowronek śpiewał w obłokach, wierz-

ba witała aksamitnemi pączkami, wilcze łyko kwiatki różowemi, niebo szatą lazurową.

I stała się z dnia na dzień wiosna, nie ta spokojna i wonna, co później przychodzi goić rany, poszarpaną okrywać ziemię, zasiewać kwiatki i świecić słonkiem gorącem, a polewać łzami ciepłemi, ale wiosna wojownicza, która ze starą zimą bierze się za bary i walczy, póki jej nie zwojuje.

Wiatr gorący leciał górą w obłokach poszarpanych, grad sypał szklanemi grochy, huczało w niebiosach, szumiało na ziemi, pędziły rozhukane wody, szamotały się lody rozmiękłe, piaski zalewały pola, strumienie zrywały posiewy, burza łamała drzewa. Straszna to była wiosna, co wiosnę zieloną poprzedza; zwierz się krył, człowiek zamykał, ptactwo, zawcześni goście, mdlało od zimna i głodu.

Takiego wieczoru młodej wiosny, wśród burzy, co się mieniała z pogodą co chwila, nad Wisłą ostatnie słońca promienie ozłacały pobojowisko.

Jak spojrzeć ponad wylanemi szeroko wodami — gromady i wały ludzi i trupów nieruchome zalegały. Na wzgórzu z jednej strony widać obóz niemal pusty, u stóp jego na łące i polach walka długa zostawiła po sobie straszne piętna śmierci i zniszczenia. Wdali na lewo kupy rozpierzchłe uciekały z krzykiem i trwogą, konni rycerze gonili.

Gdzie niegdzie bój zawzięty trwał jeszcze. Za uchodzącym Masławem, któremu hełm spadł z głowy, a czerwone włosy wiatr rozwiewał, gonił zajadle Wszebór. Czasem się odwracał zbiegający, koń mu ustawał, towarzysze go opuścili. Zostało ich dwu tylko; pokonany Mazur i zwycięstwem zagrzany Doliwa... Lewą nogę z ostrogą wpił koniowi w brzuch i naglił go do biegu. Siwy ostatnich sił dobywał, coraz bliżej dosięgając uchodzącego. Mieli się zewrzeć w boju na śmierć lub życie, gdy z zarośli wypadła garść ludzi, co się tam zaczaiła i w pomoc przyszła uchodzącemu Mazurowi. Sam jeden znalazł się Wszebór naprzeciw kilkunastu.

Obejrzał się dokoła, ze swoich nie widać było nikogo, pędzili będących w rozsypce, rozpierzchli się za nimi, — był sam. Trzeba więc było albo dać życie, lub ocalić je sromotą!

— Przed Masławem uciekać...

Nie sam jeden wściekły klęską Mazur pędził ku niemu; niespodziany posiłek go otaczał, godzili całą kupą.

Wszebór miał złamaną dzidę w ręku, tarcza wisiała u boku pogięta, pancerz był pokłuty, siły całodziennym bojem się wyczerpały.

O kilkanaście kroków z za urwiska wychylił się Belina z kilku ludźmi i patrzał... Serce mu uderzyło zemstą. Masław miał teraz za niego ukarać Wszebora. Na to dosyć było, ażeby Tomko się cofnął i w pomoc mu nie śpieszył... Doliwa padłby z rąk Mazurów, a narzeczona zostałaby wolną...

Błyskiem myśl czarna przebiegła mu po głowie i kolnęła go w serce. Niech ginie ten, co ci ją chciał odebrać... Niech ginie...!

Masław już z kupką swych ludzi natrzeć miał na Wszebora. Wtem z oczów Tomka czarna i krwawa spadła zasłona, stało się jasno w jego sercu, lepszem uczuciem pierś się zagrzała i rzucił się w pomoc ze swymi, wołając:

— Za mną!

Mazury już otoczyli byli Doliwę i kłuli pod nim konia, nie mogąc jeszcze obraniającego się złomkiem dzidy dosięgnąć, gdy gromem i burzą spadł na nich Tomko... Masław, który już godził przeciwnika, sam pchnięty żelazem cofnął się, gromadka jego pierzchnęła natychmiast. Wszebór był ocalony, ale ranny z konia się zsunął na ziemię.

Działo się to na końcu pobojowiska, w miejscu, gdzie jeszcze uchodzący Prusacy i Pomorcy pochwycić ich mogli lub dobić, śpiesznie stąd ku swoim garnąć się było potrzeba.

Belina z konia zsiadł, z pomocą dwu zbrojnych, których miał ze sobą, Doliwę podniósłszy, znowu na

koń posadził... Milczał ocucony Wszebór, lecz oczyma wodził po swym zbawcy, jakby nie wierzył, że jego widział przy sobie. Belina też nie rzekł doń słowa, wskazał ręką ku obozowi.

W tej chwili nadciągnęli inni, chcąc w pogoń iść za rozbitkami, Mszczuj spostrzegł bladego i okrwawionego brata. Dawno już nie mówili do siebie. Zobaczył przy nim Tomka i wstrzymał się zdziwiony, oczyma go badając...

Belina mu odpowiedział.

— Gdzie król? nie wiecie, gdzie król — zaczęli wołać inni nadciągający. — Gdzie pan nasz?

— Nie wiem! — odezwał się Belina. — Z początku biłem się u jego boku! Rozdzielono nas później. Puścił się w samą gąszcz!

— Gdzie Masław?... Masław zabity! — krzyczeli inni. — Widział kto trupa?

— Żywy uszedł z małą garścią, nie było go ścigać komu! — odezwał się słabym głosem Wszebór. — Ostatni jeszcze ja z nim się ścinałem. Hełm już postradał, krwią broczył.

— Dokąd uszedł?

Wskazał ręką. Puścili się w cwał pogonią zapalczywsi.

— Gdzie król? — zakrzyczał inny, zabiegając... Co nam po zwycięstwie, jeśli go nie stanie...

— Gdzie król? — rozlegało się po całem pobojowisku, przez które przejeżdżali...

Nikt nie umiał powiedzieć, co się z królem stało.

Słońce zachodziło tak krwawo, jakby w obłokach odbiło się to pobojowisko, po którem też płynęła strumieniami krew i posoka czarna. Czerń obozowa, jak ptactwo żarłoczne, już się zaczyna zbiegać i odzierać trupy. Okrzyki zwycięskie i szyderskie słyszeć się dawały od strony obozu.

Kiedy niekiedy przebiegł jeździec i pytał:

— Gdzie król? albo krzyczał:

— Masław czy zabity?

— Wszebór, podtrzymywany przez dwu żołnierzy,

wlókł się ku obozowi. Za nim jechał ze Mszczujem Belina, oba oczy spuściwszy w ziemię. Co im było po zwycięstwie, gdy król może je życiem przypłacił. Jechali, gdy Trepka stary i graf Herbert i wojewoda ruski, Jełowita, nadciągnęli razem.

Konie ich stąpały powoli, i oni ze zwieszonemi głowami, w ponurem milczeniu siedzieli na nich, miecze już pochowawszy do pochew, tarcze oddawszy pachołkom. Spoglądali na trupami zasłane pobojowisko, nie śmieli mówić do siebie. Z milczenia ich i oczów czytać było można, że króla szukali; — króla nie było!

— Bił się jak lew! — mówił Jełowita. — Samem widział na oczy moje... Jak bohater siekł sam nieprzyjaciół, a gdzie się pokazał, pierzchało przed nim wszystko.

— Ranny był! Krew mu płynęła z ręki — rzekł graf Herbert.

— Któż z nim? — zapytał Trepka. — Jak mogli go opuścić? Wierna drużyna kroku od niego nie powinna była odstąpić!

Oglądali się dokoła. Mijali ich ranni i zsadzeni z koni...

— Nie widzieliście króla?

Wszyscy widzieli go z początku bitwy, gdy, stojąc na wzgórzu, modlił się jeszcze, wpród nim z pochew dobył miecza, gdy liczył oczyma trzykroć liczniejszego nieprzyjaciela, pomorską dzicz w żelazo dobre zbrojną, Prusaków z pałkami do pocisków u pasa, Mazurów z tarczami ogromnemi i całą tę ciżbę straszną, wrzaskliwą, dziką, która dokoła objąwszy wojska króla, w miazgę je zetrzeć się spodziewała; widziano go, gdy po modlitwie puścił się naprzeciw Masławowym i gonił za samym wodzem, którego łatwo było rozeznać.

Ku końcowi bitwy, gdy zwycięstwo przechyliło się na stronę Polaków, Rusi i cesarskich posiłków, gdy na ostatku nawet twardo i uparcie stojący Prusacy uchodzić zaczęli, gdy się wszczęło zamieszanie okropne, a swoich od wrogów trudno w niem było rozeznać,

znikł król wszystkim z oczów. Nie widzieli ani kto z nim był, ani w którą zapędził się stronę!

Strwożone swą stratą rycerstwo całe rozbiegało się po krańcach pobojowiska, inni szli, schylali się. inni podnosili leżące na sobie kupami trupy i z trwogą szukali choćby ciała...

Łamali ręce ci, co młodego pana tu przywiedli, co go niechcący wydali na zgubę.

Wtem z nad Wisły okrzyk się dał słyszeć, okrzyk jakby nowego zwycięstwa. Zdaleka widać było kupkę ludzi, idącą powoli; — Trepka i wszyscy rzucili się w tę stronę.

Poznano wprędce wiernego Grzegorza, który szedł przodem, dźwigając nosze z gałęzi, na nich w krwawej opończy leżał ranny czy trup.

Obok noszów szedł ksiądz, który w obozie towarzyszył panu, a rano mszę o brzasku odprawiał. Gdy się zbliżyli, ujrzeli króla.

Cały był krwią oblany, ale oczy czarne miał otwarte i usta mu się napół bólem krzywiły, pół szczęściem uśmiechały. Spojrzał na Trepkę i zawołał głosem słabym:

— Bogu niech będzie chwała! Zwycięstwo!

Domawiając tych wyrazów, król omdlał, postawiono na ziemi nosze, cucić go poczęto wodą, poklękali przy nim wszyscy... Teraz dopiero spostrzeżono, że za noszami ścieżka była krwawa. Kazimierz leżał cały oblany i zbroczony. Nie czas było nieść go do obozu i namiotu, na miejscu trzeba było rany pozawiązywać i krew zatamować.

Pobiegli jedni za płatkami, — za chlebem i hubami drudzy. Grzegorz, wszystkich odpędzając, sam zwolna osłaniał pokaleczone ciało, zdejmował zbroję, rozpinał suknie, ocierał czoło i z macierzyńską troskliwością chodził około wychowańca.

Na samem pobojowisku opatrzono królewskie rany. Były one ciężkie, krwi drogiej upłynęło wiele, dla życia jednak niebezpieczeństwa nie było.

Radość była niezmierna, gdy o ocaleniu posłyszano! Zewsząd ściągali się do namiotów ci, co z pogoni powracali, ci, co już za zabitych będąc porzuceni na pobojowisku, wstali ożywszy, i ci, co szukali łupu.

Zapalały się ognie, rozlegało hukaniem i śpiewami. Nie było wątpliwości, iż klęska, zadana Masławowi, stanowczą dla króla była wygraną. Dopomogły do niej posiłki ruskie, które w porę nadciągnęły, sześciuset cecarskich rycerzy i wszystka siła własna, na jaką się ziemie zebrać mogły.

Walczono od poranka do nocy prawie, bo Masław, liczbą przemagający, nie dawał się pokonać łatwo. Prusacy i Pomorcy bili się mężnie, Mazury nie ustępowali kroku, kilkakroć ważyło się niepewne zwycięstwo, i w ostatniem starciu dopiero, gdy sam król z najlepiej zbrojnem rycerstwem rzucił się na Masława, główne siły jego tył podały.

Do namiotu króla zbiegały zewsząd wieści; tu gromadziła się starszyzna na naradę, znoszono łup, chorągwie i stanice, broń na polach poznajdowaną, oszczepy i miecze. Kupami zrzucano tu tę zdobycz lichą, nad którą stokroć większą była porażka tego, co całej wojny i wszystkich klęsk był przyczyną.

Niedaleko od królewskiego stał namiocik, w którym mieścili się Wszebór z Toporczykiem i Kaniową. Tu zniesiono pokaleczonego i osłabłego Doliwę i położono dla spoczynku. Jedni drugim opatrywali rany, niemal wesoło krzątając się koło nich, taką radością napełniało wszystkich zwycięstwo.

Wszebór tylko, choć się orzeźwił prędko, siedział zasępiony wśród wesołej gromadki.

Służba roznosiła jadło, jakie było i napój, którego dostać mogła. Znalazło się nawet wino u grafa Herberta.

— Co cię tak boli, żeś nosa zwiesił? — odezwał się Kaniowa, który był wesół zawsze, a szczególniej, gdy inni byli posępni naprzekór.

I trącił Wszebora w ramię.

— Ran i stłuczeń nie czuję — rzekł Doliwa, — co innego mnie męczy.

— Natarła cię zbroja? — rzekł Kaniowa. — Dam ci tłuszczu, to się zagoi.

Wszebór padł na posłanie, ręce podkładając pod głowę.

— Co mi po twoim tłuszczu! — bąknął. — Inną sprawę mam na sercu.

— A no toć wiemy! Kaśki ci się prędzej chce i wesela! Czekajże, niedługo i to będzie. Jużeśmy Masława zbili w miazgę, pokój nadejdzie, wszyscy się pożenimy! I jam gotów!

— Co ty tam mielesz nie do rzeczy — ofuknął Doliwa. — Wiesz ty, kto mnie ratował, wiesz? Masław byłby się teraz krwią moją cieszył, gdyby nie...

— Belina cię odciął! — dodał Kaniowa. — Albo co?

Wszebór podniósł się gwałtownie z posłania.

— Toż mnie boli! — krzyknął. — Czuję, że gdybym ja na jego miejscu był, a on na mojem, nie poszedłbym go ratować. Więcem ja gorszy od niego...

— A on głupszy! — rozśmiał się Kaniowa.

— Teraz jam mu się pokłonić winien jeszcze i być mu bratem życie całe!

— I będzie ci jeździł w odwiedziny — rzekł Kaniowa — a do twojej małżonki zęby wyszczerzał.

Zmilczeli chwilę.

— Gdyby z lichem byli mnie ci Mazurowie trochę posiekli, wolałbym, jak mu być winnym, żem cały został — dodał Wszebór.

Drudzy się śmiali z niego.

Gawędzono całą noc i w obozie do dnia spokoju nie było; czeladź i służba tłukła się po bojowisku i wracała... Trzeba było myśleć, co dalej. Nazajutrz dodnia Płock zajmować wysyłano...

Zewsząd przychodziły wieści, iż na głowę pobity Masław musiał z garstką do Prusaków uchodzić, niebezpieczeństwa więc nowej napaści nie było, lecz korzystać musiano ze zwycięstwa i rozsianej trwogi.

Cały dzień następny liczono pobitych i składano stosami; wiele z nich w Wiśle potonęło, a i tak na tysiące rachowano pobitych. Padło i ze strony króla wojaków mnogo, którym pogrzeb chrześcijański sprawiać musiano.

VI.

Wiosna była czarna jeszcze; drzewa stały głuche na nią, trawa tylko zbudziła się już i stroiła mokre łąki zielenią. Spłynęły były lody, zlazły śnieżne skorupy, deszcz dobił czarnych śniegów resztki i uwolnił z więzów, co leżało pod niemi.

Z południa leciały ptaki, gwarnem życiem odzywały się pola i lasy. Niedźwiedź zbudził się w borach i szedł wychudły, a rozespany na łowy. Z barci wyleciały pszczoły na pierwsze kwiaty, bociany przechadzały się, na łąkach obejmując panowanie. Górnym szlakiem bujały orły i jastrzębie...

Z puszczy, z głębi, wychodziła o kiju stara niewiasta, szła i oglądała się trwożnie... Zgarbione miała plecy, zsiniałe usta, włos siwy roztargany rozścielał się po jej ramionach. Gruba siermięga, zdarta i zwalana, pod nią czarne płócienne chusty, nogi bose, nawet sakwy nie miała na plecach. Szła, podpierając się kijem — bez drogi, bez myśli, jakby ją parła jakaś siła, zawsze w jedną stronę.

Stawała nad leżącą na drodze kłodą i przełaziła przez nią, nie chcąc ominąć, przechodziła nad strumień i brnęła przez niego, nie szukając kładki. Coś ją wiodło, coś ciągnęło, ciągle tam, gdzieś, gdzie prowadziło serce. Tak przeszła puszcze, tak przebrnęła przez błota. Nocą kładła się na mokrej ziemi i spała snem kamiennym. Wilcy przychodzili, patrzali i nie tknąwszy jej, kryli się w lesie, patrzały na nią, siedząc, niedźwiedzie i wiodły oczyma, gdy poszła; z gałęzi nad głową żbik kociemi oczyma przyglądał się jej i nie ruszał. Na łące pasły się żubrów stada, a podnosiły głowy, prychały i pierzchały przed nią.

Głodna schylała się ku trawom i żuła je w ustach; czasem dłonią zaczerpnęła wody i kropel kilka połknęła. Szła tak już dni wiele, szła, czując, że coraz, coraz bliżej było...

Las się rozstąpił, w dolinie dymią chaty, na wyżynie dwór stoi, ludzie się koło niego kręcą.

Stara stanęła, na kiju się oparła i patrzeć zaczęła; wciągnęła w piersi powietrza... siadła. Z nóg bosych krew ciekła, popatrzała na nie, nie czuła bólu. Wieczór nadchodził, do wsi było daleko jeszcze, ale jej nie śpieszno.

Wzrokiem błędnym powlokła dokoła. Pusto było. Dwa kruki czarne siedziały na dębie i kłóciły się z sobą. To jeden się zrywał, to drugi, trzepały skrzydłami, groziły dziobami... Stara popatrzyła na nie... Wciągnęła powietrze; — coś jej piersiom ono powiedziało, siadła, jak zmożona. Łzy puściły się z jej powiek zeschłych i biegły marszczkami, jak strumyki po roli zoranej, aż do ust, wpadały do nich i nikły. Piła te łzy swoje. Podparła się na ręku, głowa kołysać się zaczęła, jak dziecię, gdy je matka usypia. Czy tak myśl swą usypiała?

Z za lasów, z za czarnych chmur pokazał się rąbek księżyca, czerwony, krwawy, straszny, jak wyłupione oko, z którego się sączy posoka... Coraz więcej, coraz wyżej począł się podnosić. Czarna chmura wpół go przepasała, wyszedł jakby ranny z za borów, obejrzał się, pobladł, pożółknął. Stara spojrzała na niego i głową potrząsła, jak znajomemu druhowi... Zdawała się mówić mu:

— Patrz, co ze mną!

Księżyc wlókł się dalej, nie odpowiadając; ręką rzuciła się ku niemu z pogardą... szła dalej.

Na wzgórzu łysem, przeciw dworu stał dąb ogromny, suchy. Trup to był starego drzewa. Korę z niego odarto, boki mu powypalano, wiatr gałęzie poobłamywał, kilka grubych konarów sterczało od pnia pokaleczonego, jak ręce poobcinane. Dwa kruki siedziały na nim i kłóciły się z sobą. Na najgrubszej gałęzi coś wi-

siało... Lekki wiatr poruszał tym ciężarem i kręcił nim, jak żywym go czyniąc... Był to trup człowieka z czerwonawym włosem na obwisłej głowie, który powiew wiatru podnosił. Na czole przybita była spleciona ze słomy korona. Oczy miał otwarte, ale próżne, — kruki mu je już wydziobały... I ciało — ludzie, czy zwierzęta pokrajały strasznie, czarnemi szmaty wisiały reszty jego na kościach.

Dwa wilki bure posiadały pod nim, głowy do góry podnosiły i czekały, rychło im wiatr go zrzuci. Czekały cierpliwie, języki głodne wywiesiwszy z paszczęki. Niekiedy jeden z nich wstał, szczeknął, popędził towarzysza, pokazały sobie zęby i znowu siadły spokojnie, głowy podnosząc do góry... Kruki górą, wilcy dołem spierali się o trupa, którym wiatr obracał powoli.

Stara szła i oczy jej padły na wisielca. Stanęła, drgnęła, podparła się na kiju i rozśmiała wielkim, strasznym, dzikim głosem, a w puszczy odpowiedziało jej echo, dziksze jeszcze, raz drugi. Wilki pierzchnęły oba, oba krucy odlecieli... Posiadali dalej. Stara szła, przyglądając się trupowi.

Zbliżyła się pod sam pień drzewa, postawiła kij, siadła, ręce dwie na kolanach oparła, w dłonie ujęła głowę. Śmiała się znowu. Śmiała się, a dwie łzy ciekły marszczkami po policzkach do ust i w ustach tonęły.

Gałąź, na której wisiał trup, chrzęszczała, jakby się skarżyła, poco jej taki ciężar dźwigać każą. Mokremi oczyma patrzała na trupa stara z jednej, księżyc z drugiej, wilcy z trzeciej strony, a noc obwijała świat płaszczem czarnym...

Ściemniało... Stara głowę kołysała znowu, a z ust, do których tyle łez nabiegło, dobył się cichy śpiew, jaki matki nad kołyską nucą, gdy niemowlę usypiają... Śpiewała długo, patrzała w górę i płakała, aż w piersi tchu zabrakło, w powiekach łez... Siedziała niema, bez ruchu, ale oczy miała w niego wlepione...

Wtem w borach zaszumiało zdaleka, wicher — król przybywał! Czarne chmurki po niebie go niosły.

Uradowała mu się stara i oczy jej zaświeciły.

Zaszumiało w dolinie, trup się poruszył i zwijać zaczął. Kręcił nim wicher tak, iż korona spadła, włosy się rozwiały, poły siermięgi rozeszły szeroko — był to taniec śmierci wisielca! I stara, patrząc na to, wzięła się za siermięgę, a wirować i okręcać poczęła, śpiewając coraz głośniej, coraz żywiej, przerywając sobie śmiechem.

Wilcy wyć zaczęli, podniósłszy do góry paszcze, wicher się wzmagał coraz silniejszy. Wszystko się zdawało w tym tańcu śmierci, przez wiatr przyniesionym, okręcać: trup, stara niewiasta, krucy w powietrzu, wilcy, co drzewo obiegali dokoła, i chmury na niebie, z poza których księżyc zbladły to się odsłaniał, to chował w nie i poszarpanemi otworami ich przeglądał. Jak muzyka świszczał wicher w gałęziach drzew i po jarach, i po suchych błot trzcinach.

Stara nuciła pieśń, obracała się żywiej coraz, szalonym wirem, aż zachrzęściało u góry, stanęła; trup wisielca z gałęzią leciał na ziemię i padł u nóg jej. Stara stanęła nad nim, księżyc wyjrzał z za chmury... patrzała zdala, zbliżyła się powoli. Siadła u pnia i ostrożnie głowę z wydziobanemi oczyma wzięła na kolana.

W tejże chwili pieśń u kołyski na myśl jej przyszła i śpiewać ją zaczęła, i płakać znowu...

Kruki siadły na dębie i krakały jej nad głową, wilcy się przysunęli tuż, tuż i wąchać zaczęli wicielca. Był dla nich już dojrzałym ten owoc dębowy.

W ciemnościach czworo oczu zbójeckich skierowało się na starą, która im łup odbierała, — pokazali jej zęby białe. Zmierzyli się z nią oczyma. Ona wzięła kij, stojący u pnia, i grozić im zaczęła.

— Precz mi, sobaki, od kniaziowskiego ciała! a won! — poczęła ochrypłym głosem. — Nie wiecie, kto to jest! płocki kniaź! król Masław! A taki mój syn, mój syn! Precz, sobaki przeklęte, a won!

Wilcy się cofnęli, stara śmielsza była od nich w obronie tych zwłok drogich... Głowę tuliła na kolanach i mruczała do siebie.

— Tak mu skończyć było! tak! Wszystkiego ko-

sztował, a chciało się więcej! Jak był jeszcze dzieciną, rwał się tak za wszystkiem. Wrogi nie mogli, — druhy powiesili. Cha! cha! wiedziałam, że tak będzie!

Głową kołysać zaczęła i płakać. Spojrzała księżycowi oko w oko, jakby go o radę pytała.

— Nieprawda? wilkom go zjeść nie damy? matka wychowała, matka pochowała... A matkę kto pochowa?... Wilcy zjedzą — rozśmiała się — na zdrowie!

I, głowę złożywszy na ziemi, wstała, odgartując siwe włosy... Z kijem w ręku poszła wprost na wilki, pędząc je, jak psy podwórzowe...

— Nie możecie poczekać, paskudne sobaki! — mówiła do nich. — Oddam wam kości moje za niego! Jego nie!

Podniosła kij; wilki, odstąpiwszy opodal, posiadały na ziemi. Popatrzała na księżyc z uśmiechem.

— Pomagaj! — zawołała.

Uklękła na ziemi przy trupie, na darninie, kościste ręce zatopiła w piasku, odrzuciła zeschłą trawę i mech, grzebać poczęła. Zrazu szło powoli, piasek się staczał nazad do dołu, zaczęła coraz gwałtowniej rękami go odrzucać, precz daleko od siebie. Chwytała garściami całemi, oburącz, kopała, grzebała, odwalała na brzegi.

Niekiedy spojrzała na trupa i szeptała pocichu:

— Nie bój się, ja ci miękko łóżeczko uścielę i kamień znajdę pod głowę, płachtą go obwinę; oczy ci suchym piaseczkiem zasypię, aby się pogoiły. Będziesz spał, jak w kołysce spokojnie!

Zdyszana, to spoczywała klęcząc, to znowu rwała się do roboty zapalczywie. Dół rosnął, rozszerzał się, pogłębiał.

Księżyc jednym bokiem w niego zaglądał, drugi cień od pnia zakrywał. Stara się zwracała do księżyca po radę.

— Kniaziu bracie, dość czy nie? głębiej jeszcze? prawda? głębiej, wilcy też kopać umieją; ale, niedoczekanie! Zamiast kamienia ja się położę, a jak mnie zjedzą, jego się im odechce...

Klękła zdyszana odpocząć znowu, ręce jej opadły

pokrwawione. Wśród jamy trafiła na korzenie dębu; wyrywając je, palce poszarpała, gdy palce nie starczyły, pochyliła się, rwąc je zębami.

— To było życie! — mówiła, grzebiąc dalej — oj! życie... Boso dzieckiem chodził, w złocie potem cały, tysiącom rozkazywał, a nie było grobu wykopać komu! Otóż tobie korona... korona...

Na ziemi leżało owo słomiane godło szyderskie; stara je rzuciła precz. Dół już był głęboki, spuściła się weń, dokoła rozgartując go jeszcze; miękki piasek łatwo kopać było.

Gdy już głową ledwie ponad dół sięgała, wychyliła się do trupa i cicho szeptała:

— Czekaj, jeszcze nie gotowy! matka stara, ręce jej pokostniały!

Księżyc toczył się dalej po niebie i zwolna zniżał już nawet. Stara grzebała sił ostatkiem, potem dno ubijać zaczęła nogami.

Późno w noc, gdy wicher ustał, księżyc się schował, z dołu wylazła stara zdyszana.

— Kniaziu! panie, łożnica gotowa! Kamień w niej obwinięty płachtą i siermięga moja na dnie... Chodź!

To mówiąc, oburącz objęła trupa, a poczuwszy go przy tej piersi, która go niegdyś karmiła, przycisnęła do niej, jakby puścić nie mogła i tuliła jak dziecię, a sama, jak dziecię, płakała.

Nad dołem stało czworo wilczych oczu i patrzało...

Księżyc znikł, ciemności przyszły, zerwała się stara, ciągnąc trupa do mogiły. Stoczył się z brzegu i twarzą upadł na dno... Skoczyła i ona za nim, aby go na sen ułożyć, sił ostatkiem obracając twarz do góry. Obwinęła nogi, pocałowała w czoło.

— Śpij! śpij! — rzekła pocichu. — Tak dobrze, tu nikt nie zdradzi...

Rękami brzeg ujęła, by wyjść z dołu, piasek sypał się na nią; wilcy tuż zębami kłapały.

— Poczekajcież! — zawołała. — Com przyrzekła, dotrzymam; do dnia daleko.

Spojrzała na syna i piasek sypać zaczęła. sypała go

z pośpiechem, sypała z wściekłością, z niecierpliwością, zajadle, rękami i nogami... Coraz to spojrzała w dół.

Twarz jeszcze widać było, a twarzy żałowała; — zasunęła się i ona...

— Śpij spokojnie!

Piasek, jak żywy, z pod stóp i dłoni jej się wymykał, lecąc do dołu wypełniał go, zakrywał, aż pozostał tylko ślad poruszonej ziemi i podeptane łożysko...

Stara, skończywszy robotę, tchnęła ciężko, obejrzała się dokoła. Dniało ponad lasami, a z pośrodka rozbitych obłoków blada gwiazda jutrzenki — patrzała ciekawie.

Staruszka szepnęła:

— Komu wstawać, a mnie kłaść się trzeba... — Bywaj i ty zdrowa!

Rozśmiała się raz jeszcze, rozciągnęła na świeżym piasku, jak długa, jedną rękę, jak do snu, podłożyła pod głowę, drugą sobie oczy przykryła, tchnęła ciężko — i usnęła.

Wilcy siedzieli zdaleka, patrzali. Jeden z nich zbliżył się nieco i przysiadł znowu — czekał, podszedł drugi. W głowach siadł pierwszy, drugi w nogach; warczeli na siebie. Stara spała.

Na niebiosach dniało, rumieniało i jaśniało. Dwóch ludzi szło od dworu w las.

— Patrz, wisielca z dębu zdjęli!

— Niema go?

— Wiatr obłamał z gałęzią.

Podeszli bojaźliwie... i stanęli... Jeden z nich krzyknął przerażony:

— Czarownik był! patrzajcie! Chłopaśmy powiesili, a tu baba leży, co ją wilcy poszarpali.

Stanęli zdumieni.

— Czarownik był! — powtórzył drugi. — Dobrze zrobił Kunigas, że go wymęczywszy, obwiesił. Co naszych przez niego padło. Czarownik był!

I poszli do lasu.

Kości starej długo pod dębem bielały, a wiatr słomianą pomiatał koroną.

VII.

Na kilka dni przed bitwą, która Kazimierzowi dała zwycięstwo i koronę, na Olszowem Horodyszczu strapienie było wielkie. Stary Spytek zachorzał.

Wiosna, co drugich do żywota woła, jego ciągnęła do grobu; czuł, że zielonych liści nie dożyje. Dusiło go powietrze upajające, nocą leżał w gorączce, dnie spędzał senny. Niepokoił się i odzież rwał na sobie.

Sobka starania go niecierpliwiły, szczebiotania żony nie znosił, płacz córki był mu niemiły. Odpędzał wszystkich od siebie.

Hanna Belinowa, choć doń wielki żal miała, przynosiła mu zioła i leki, — stary odtrącał wszystko, nic już nie chciał.

— A do czego mi życie? — mruczał — kalece? Na koń nie siądę, topora nie podniosę — świata nie widzę. Co mi takie życie?

Przyszedł o. Gedeon z pociechą do niego, słuchał, potrząsając głową, dał się wyspowiadać, dał na śmierć błogosławić i prosił, by mu już snu nie przerywano.

Legł jak długi, ręce na piersiach założył, oczy przymknął, a nim się dzień zrobił, zimny był i skostniały.

Nadbiegła Marta z rozpuszczonemi włosami, z załamanemi rękami, zawodząc głośno, szlochając strasznie, płacząc, aż się łkanie po całym dworcu rozlegało. Nadeszła Kasia zapłakana, przyszły niewiasty, ile ich było, posłano po płaczki, aby około ciała zawodziły.

Tegoż dnia zakrzątnięto się około chrześcijańskiego pogrzebu. Trumnę dębową z jednego kloca, jaką dla siebie pono miał gotową Belina, oddał dla starego; zabito wieko, wyprowadzono na pagórek zwłoki i pogrzebał je ksiądz Gedeon, a wszyscy na wieczny odprowadzili spoczynek.

Na Horodyszczu mało co z nim ubyło, spokojniej wszyscy się czuli, a stary Sobek płakał.

Jejmość, co tak bardzo jęczała i szlochała w początku, drugiego dnia siedziała cicho zadumana i wzdy-

chała. Zaśmiała się raz na trzeci dzień i sama to sobie mając za złe, zapłakała trochę.

Kasia chodziła smutna.

Wszyscy wyglądali wieści od swoich, Belina od syna, Spytkowa od przyszłego zięcia.

W kilka dni jakoś się w tej głowie zmieniło dużo rzeczy, spostrzegła, że tak Kasię gwałtem za Wszebora wydać było okrucieństwem.

— Kiedy się dziewczynie innego zachciało, a ten też ją miłuje, a chłop dobry, rodzice poczciwi, co królowi jegomości do mojej córki? Mógł nieboszczyk ją przyrzekać, bo co ci mężczyźni o naszych sprawach wiedzą! A czemubym ja nie mogła pójść sama za Wszebora? Ściskał mnie tak za ręce, aż się gorąco robiło, patrzał takiemi oczyma, jakby zjeść mnie chciał... Kasia mu się przez zazdrość przywidziała. Jakby Kasi nie było, ze mnąby się ożenić musiał. Wojak tęgi i chłop przystojny! Jam ci też nie stara!

Tak sobie mówiła pani Spytkowa, a jednego wieczora, gdy Belinowa przy niej usiadła, poczęła rozmowę poufną.

— Niech mu tam Bóg da spokój wieczny, nieboszczykowi panu mojemu — mówiła cicho do Hanny — ale za życia ciężko z nim nam było. O! rękę miał żelazną! — Kasi mi też żal, co ją tak łatwo dał na królewskie zaswatanie. Dziewka do Wszebora serca nie ma, choć na niego nic powiedzieć nie można, a ja taki wiem, że jej ktoś inny w oko wpadł...

Hanna Belinowa, niedowierzając, spojrzała.

— Naprawdę to mówicie?

— A cobym ja udawać miała! Wszak wy mnie znacie; ja i grzechy moje wygadam, a fałszu nigdy... Dziewczyny mi żal, to nie dla niej mąż!

Potrząsła głową dziwnie.

— Myślicie, że ja nie widzę nic? ho! ho! — Kasia mi chudnie, po nocach płacze, a czyja temu wina, to ja wiem! oj wiem!...

Uśmiechnęła się i na ucho Belinowej szepnęła:

— Tomko mi ją zbałamucił, — bodaj zdrów był!

Hanna milczała jeszcze.

— Aleście ją przyrzekli Doliwie...

— Ja! — odparła Marta — jako żywo mnie się nie śniło! Wiecie, że z nieboszczykiem nie było rozmowy, ani rady, jak przykazał, musiało być. Ja tam głosu nie miałam.

— Ale się stało! królowiście dali słowo — szepnęła Hanna.

Spytkowa głową potrząsła.

—E! e! — rzekła — dałoby się to jakoś pogodzić, tylko ja bo wam mówić nie śmiem.

— Ano mówcie — odezwała się spokojnie Hanna, wpatrując się jej w oczy — mówcie, proszę, wszak wiecie, że we mnie przyjaciółkę macie...

— Tylko, żeby o tem nikt nie wiedział! — niespokojnie oglądając się, mówiła Spytkowa. — Toć to wiecie, że gdy mnie z Kasią w puszczy ratowali Doliwowie, tośmy sobie myślały, że mąż mój nie żył. Byłam tak, jak wdową. Caluteńką drogę do Horodyszcza Wszebór szedł przy moim koniu, a w oczy mi patrzał. A jak patrzał; żebyście widzieli! — Zsadzając mnie z konia, ile razy za rękę wziął, to aż mnie rumieńce paliły, tak ściskał. On się nigdy w Kaśce nie kochał, ino we mnie. Chłopak zdrajca chciał się do mnie przybliżyć...

Hanna jakoś głową kiwała trochę niedowierzająco.

— Nawet później, moja Hanno — ciągnęła pocichu wdowa — do Kasi nigdy się nie skradał, a mnie to i wywoływał, i jak stanie na dole, bywało, a ja na wyżkach, jak pocznie rozmowę, jak wlepi oczy! Aż mi czasem wstyd było, gdyby młodej dzieweczce. No, cóż tu mówić więcej! Teraz, kiedy taki uparty a rozmiłowany, cóż robić, moja Hanno, co robić? Żeby się człek nie męczył, toćbym już poszła za niego.

Zdumiała się Belinowa, a Spytkowa do ucha jej dodała:

— Niechby wasz sobie Kasię brał!

Matce, co kochała syna, rozradowało się stare oblicze, w milczeniu ręką ją objęła za szyję.

— Naprawdę to mówicie!

— Jak mnie żywą widzicie!

I poczęły cicho szeptać ze sobą.

Wielka się przyjaźń wzięła między Belinów domem a Spytkową.

Ona tu teraz panowała, jako sama chciała, — a dogadzano jej we wszystkiem. Stary nawet Belina był na rozkazy jejmości.

Od czasu, jak wojska wyciągnęły z Olszowej doliny, prawie o nich wieści nie było. Czasem nadszedł ktoś, nadjechał zbłąkany, goniący za królem ziemianin i przyniósł plotkę jaką niedorzeczną. Belina więcej się trwożył, niż spodziewał. O siłach Masława mówiono szeroko, a choć ruskie posiłki były obiecane, liczyć na nie bardzo nie było można.

Co rana wychodził stary na wyżki nad wrota, stawał na pomoście i patrzał w dolinę, a słuchał.

— Nie jedzie tam co? nie tętni?

Cisza dokoła! Las tylko szumi ponuro — a górą lecą obłoki; niekiedy wysunie się koza z lasu, podniesie głowę, popatrzy oczyma czarnemi, tupnie nóżką suchą i umknie — widać tylko jej białą płachtę ztyłu.

Belina smutne miał przeczucia. Krucy ciągnęli ku Wiśle. Widziały sługi i szeptały o tem sobie. Codzień większe płynęły tam stada, krocząc, a krucy wiedzą, gdzie i poco lecą. Bitwę czują zawczasu, trupa, nim padł, przewidzą.

Czas się wlókł żółwim krokiem, dnie wyciągały jak nici, co je zręczna ręka z kądzieli wysnuwa — bez końca.

Gdy słońce weszło, stało marudne na niebiosach, ani go się zbyć było — nadeszła noc, nim kury zapiały, wieki to trwało.

Dziewczęta drzemały u kądziołek, pieśni się im przebrało, tajemnice sobie wyszeptały wszystkie, chłopców nie było — życia brakło.

Prorokowały różnie, nic się nie ziściło. Jedna mówiła: śniłam o ogniu, będą goście lub nowiny. — Przeszedł dzień, ni gości, ni wieści nie było.

Strach ogarniał coraz większy. Jeden o. Gedeon mówił spokojnie:

— Dzieci moje! uchowaj Boże klęski, najpierwby tu przyszły zbiegi! Kiedy ich niema, dobrze wszystko...

Jednego rana stary zszedł z wyżek nad wrotami i wlókł się do dworca, suwając nogami. Na ostrokołach też prawie straży teraz nie było, dziewki, co bieliznę prały, właśnie ją na słońce wieszały, bo wiosenny wiatr i słońce, choć twarz ludzką opala, płótno bieli. Wtem Hela stara spojrzała ku lasowi.

— Aj! — krzyknęła — patrzajcie! patrzajcie! oto tam konny leci ku Horodyszczu, jak szalony. Patrzcie, na szyi się uwiesił koniowi i cwałem go pędzi. — A! pewnie z bitwy uszedł — nasi rozbici!

Krzyknęły dziewczęta wszystkie:

— A! nasi rozbici.

— Nasi rozbici! — rozlegało się po Horodyszczu i od ostrokołów, porzuciwszy płótno, leciały dziewczęta na wyżki, wołając:

— Nasi rozbici!

Na przestraszonych spadł okrzyk niewieści, jak piorun. Nikt nie pytał, skąd to wzięły, łamali ręce wszyscy, krzycząc i zawodząc żałośliwie:

— Rozbici! rozbici nasi!

I biegli ku wrotom jedni, nad wrota drudzy, a patrzali.

W dolinie na koniu pomykał jeździec, a zoczywszy tych, co na wałach stali, ręką im począł dawać znaki, konia popędzał, co żywo...

Zbladł stary Belina...

Na całem zamczysku cisza, tylko łkanie słychać i płacz stłumiony. Jeździec leci, zbliża się. Stary Belina syna w nim poznał i Bogu podziękował, że choć on żyw powraca.

— Hanno! Tomek żyw! to on! — zawołał.

Matka ręce złożyła. Tchu im zabrakło w piersi. Ziemia tętni pod nogami konia, już pod wrotami, na moście... Wpadł i z konia się zsunął rodzicom do nóg.

Zdala stała blada Kasia, oczyma do niej poleciał;

oddech mu zabiło, za piersi się wziął. Milczenie zdało się potwierdzać klęskę.

Wtem z ust mu się wyrwało:

— Masław pobity na głowę!

— A król?

— Król ciężko ranny! Pole trupami zasłane! Bitwa była sroga, okrutna, długa, zabójcza, nareszcie motłoch ustąpić musiał — uszli.

Wszyscy uklękli ze złożonemi rękami Bogu dziękować.

— Hosanna! — podnosząc dłonie do góry, zawołał o. Gedeon.

Jak wielki był przestrach, tak radość potem szalona. Ściskali się wszyscy, płacząc, a ksiądz gwałtem przed ołtarz prowadził.

— Bogu naprzód dziękować! — wołał. — On dał zwycięstwo — On męstwo dał — On wiódł do boju!

— Tak! — przerwał Tomko. — Widzieli ludzie wśród najcięższej walki unoszące się nad wojskiem naszem w obłokach postacie w bieli, zbrojnego męża z mieczem ognistym, niewiastę promienną, w płaszczu w gwiazdy szytym, która nas osłaniała... Z pod stóp jej pioruny leciały na niewiernych...

Klął o. Gedeon u ołtarza i pieśń zwycięską na chwałę Bożą zanucił.

Ledwie się skończyło, otoczyli wszyscy Tomka, siostra mu się uwiesiła na szyi, matka głaskała po głowie, a zdaleka, kradzionym od ludzi wzrokiem Kasia coś mu mówiła, co on chyba jeden zrozumiał.

I Spytkowa nigdy dlań tak czułą, jak dziś, nie była, a pytali wszyscy, obsiedli go dokoła i słuchali, a nasłuchać się nie mogli...

Opowiadał od rana do nocy, zawsze było mało, a co się ruszyć chciał, wstrzymywano go — mów jeszcze!

Wieczorem dopiero Zdana sobie go zabrała; — wybiegła z nim w podwórze i rękami go objęła.

— A Mszczuj? — spytała cicho.

— Mszczuj zdrów i bił się dobrze — odparł Tom-

ko. — Śle ci chustę jedwabną, nie wiem gdzie on ją zdobył i czy wolno, a godzi się. Jeśli jej nie znalazł na zabitym Mazurze, to kupił u Rusina.

Chusta była piękna, ale nie do niej pewnie lice się Zdanie zarumieniło. Szybko porwała ją i schowała, aby jej ludzkie nie śmiało zobaczyć oko... Łzy stanęły jej na powiekach.

Tomko westchnął ciężko.

— Słuchaj Zdana! — Wiem, że się to nie godzi, Kasia zrękowana innemu, ale ja kochać jej przestać nie mogę... Mam sznur pereł dla niej — ty jej oddaj pocichu, niech matka nie zobaczy! Ile pereł, tyle dziesięć-kroć łez po niej wyleję!

Słowa mu się urywały.

— Los tak chciał! — kończył po chwili, — a urąga mi się on. Gdyby nie ja, Wszebórby dziś piasek gryzł, a jabym może Kasię miał. Jam go z rąk Masława ocalił!

Spuścił głowę, jakby mu dobrego czynu żal teraz było.

— Nie rzekł mi i Bóg zapłać! Tylko okiem rzucił takiem — jakby zjeść mnie za to chciał jeszcze.

Zdana słuchała jednem uszkiem, oczyma w chustkę swą patrzała i przyciskała ją do piersi.

— A wiesz, że umarł Spytek? — dodała.

Nie było czasu wśród dnia ani się dowiedzieć o to, a jejmość o nieboszczyku nierada wspomina. Tomko z podziwem krzyknął:

— Co zaś?

— Zmarło mu się biednemu! Spytkowa teraz wdową. Któż wie! kto wie! wiele się rzeczy zmienić może... Taka dla nas serdeczna, taka z matką bliska!

Otuchy trochę wstąpiło młodzianowi do serca. Zdana mu rękę ścisnęła i z perłami w dłoni do Kasi pobiegła.

Znowu na Horodyszczu pojaśniało, poweselało, nie obawiano się ni wrót otwierać, ni na łowy ciągnąć. Czerń siedziała po chatach i ciągnęła z pługami na pola, kup żadnych nie widać już było.

Od króla przyszły wieści, że na Mazury pociągnął i po drodze kościoły opustoszałe podnosił.

Kilka tygodni upłynęło, pączki na drzewach puszczały, zieleniały łozy nad rzeczką i czeremchy rozwijały liście, gdy jednego rana dwaj Doliwowie u wrót się pokazali.

Tomko właśnie stał w bramie, Mszczuja powitał po bratersku, na Wszebora nie patrząc nawet. Jak się tylko dowiedziała o nim Spytkowa, ubrała się zaraz, jak na święto, i wyszła ku niemu. Kasi iść nie kazała, ta się też w komorze ze łzami zamknęła.

Wśród drugiego podwórza spotkali się z sobą piękna wdowa z zięciem przyszłym. Rzucił oczyma poza nią, czy gdzie córki nie zobaczy, matka mu się tylko uśmiechała...

— Wiesz o mojej niedoli! — krzyknęła zaraz, ręce łamiąc — zmarł mi mężysko! Zostałam sierotą! co nam teraz poczynać, kto się ubogą zaopiekuje niewiastą!

Mówiąc, spojrzała mu w oczy i z wielkiego smutku za rękę go biorąc...

Wszebór wciąż Kasi oczyma szukał; spytać o nią nie śmiał jeszcze, wdowa też nie mówiła o córce wcale.

— Żebyście wiedzieli, jak umierał — poczęła do nieboszczyka wracając — tak mu skonać ciężko było.. I przed śmiercią żeby mi dał dobre słowo. Niech mu Bóg przebaczy, ale ciężkie z nim miałam życie... Stary bo był!

Mszczuj z Tomkiem poszedł szukać Zdany. — Znaleźli ją łatwo; niby przypadkiem poszła była na wały z dziewczętami, co przędze na murawie słały. Stała cała różowa, fartuszek trzymając w ustach, z głową niby spuszczoną, a oczkami podniesionemi, tak, że z pod powiek ukradkiem zdala na Mszczuja patrzała. Maleńki rożek chustki jedwabnej wyglądał jej z za koszuli białej.

A gdy się spotkali, tak im było, że przemówić nie mogli ni słowa, i Tomko, co stał blisko, słyszał wyraź-

nie ich serca bicie, a potem uśmieszek cichy — i Zdana uciekła do dziewcząt.

Kasia siedziała w ciemnej komorze, główkę przyparłszy do ściany, i płakała rzewnie.

Wszebór tymczasem słuchać musiał, jak mu wdowa o sobie mówiła. Długo wyczekawszy, o Kasię zapytał.

Spuściła oczy matka, jakby jej to nie w smak było

— To dziecko jeszcze — rzekła, — czegoś teraz słaba. Ot i nie wiem, gdzie się dzieje!

Stało się tak, że jej Wszebór tego dnia nie zobaczył i zły był najwięcej na matkę, a niespokojny.

Doliwowie jechać mieli stąd na swoje śmieciska; pokój wrócił, każdy się za domem oglądał, choć stał w gruzach; trzeba było na nowo budowle podnosić, gospodarstwo kleić, ludzi rozbiegłych zbierać i do posłuszeństwa zmuszać. Było im obu pilno, a ruszyć się nie mogli.

Kwaśny siedział Wszebór, i Mszczujowi nielepiej było. Drugiego czy trzeciego dnia, za Tomka poradą poszedł był do macierzy, do kolan się jej skłoniwszy, o słowo prosić, że mu Zdanę dadzą.

Hanna Belinowa nie była wielomówną niewiastą— posłyszawszy to, o czem wiedziała, głową tylko zaczęła potrząsać.

— Zdana taka młoda! Gdzie jej tam o mężu myśleć. My jej wprzódy nie damy, aż się Tomko ożeni.

— Miłościwa pani! możeż to być?

— Taka wola pana mego! — rzekła Hanna. — ożeńcie Tomka ino, zobaczymy...

Zrozumiał Mszczuj o co szło i wieczorem wpadł do brata.

— Co, myślisz o Kasi?

— A jużci! zrękowana mi! ino ksiądz pobłogosławi, do domu ją zabiorę.

— Domu jeszcze niema — rzekł Mszczuj — a no z tem mniejsza — dwór się postawi prędko. Niewiele na to potrzeba. Gorzej, że Kasia ciebie ani na oczy nie chce widzieć.

— A co mi tam! — odparł Wszebór. — Niech mi ją tylko dadzą, zgodzimy się.

— Słuchaj Wszebór — gdybyś rozum miał, nie żeniłbyś się z nią — dodał Mszczuj. — Wziąłbyś Spytkowę, a po niej majętności połowę i co jeszcze przyjdzie jej z Rusi... Ta ci w oczy strasznie patrzy...

Oburzył się Wszebór strasznie.

— Starą babę mi będziecie swatać! — zawołał. — Jać to nawylot znam i rozumiem, czego się tobie chce. Zdanębyś wziął, więc bratu jej i Belinom dworujesz, a ja za ciebie mam płacić! A! niedoczekanie!

— Zapłaciłbyś ino za siebie sam, miły bracie — odezwał się Mszczuj — boć nie kto, tylko Tomko ci życie uratował, — gdyby nie on, nigdybyś Kasi na oczy nie widział.

— Uczynił, co był powinien — zawołał Wszebór. — Daj ty mi pokój.

— Nie chcesz wdowy?

Wszebór, nie odpowiadając, na ziemię się położył do snu i gadać więcej nie chciał.

Siedzieli Doliwowie; codzień Spytkowa wywabiała na rozmowę Wszebora, trzymała go na niej, póki mogła i już się gniewać poczynała, że co miał słodszym coraz być, stawał się coraz mniej miłym, a więcej chmurnym.

Jednego dnia nawet wprost ją zagadnął, kiedy się wesela może spodziewać.

— Ho! ho! a toć po ojcu żałoba — odparła Spytkowa. — Czy to wam niewiadomo! Wdowie, sierocie, to tam jeszcze uchodzi, choćby nie dosiedziała do roku niedziel sześciu, bo sobie sama rady nie da, ale córce — to się nie godzi.

Nie było już co mówić. Widząc go chmurnym, wdowa mu się uśmiechać i ząbki wyszczerzać zaczęła, a chichotała, zabawiała, aż wreszcie go do lepszej myśli przywiodła. Śmiali się oboje.

Knuła się tymczasem zdrada okrutna; pod Wszeborem dołki kopano, a on o Bożym świecie nie wiedział.

Co najgorsza, sama pono Spytkowa z wielkiej mi-

łości ku córce, która nagle się jej czuć dała, — albo do spisku należała, lub przez szpary nań patrzała. — Kto wie, czy do tej poczciwej zdrady i o. Gedeona nie wciągnięto, — a Belinowie wszyscy się zmawiali. — Kasię porwać chciano!

O mil trzy od Olszowego Horodyszcza, w głąb kraju, Belinowie mieli kawał ziemi, osadę i dworzec. Cudem go nie spalono; zniszczono tylko, co było, zabrano, co się wziąć dało.

Tomko kazał dwór odnawiać śpiesznie, płoty stawić na nowo, ogniska porozwalane odbudować i ściany lepić; i włodarza postawił, aby robotników pilnował.

Tegoż dnia siekiery koło drzewa zaczęły chodzić i żywo zabrano się do odnowy.

Doliwowie siedzieli jeszcze; ciągle niby wyjeżdżać mieli, a odjechać im było niesporo.

Mszczuj chciał mieć sobie zapewnioną Zdanę, Wszebór Kasię.

Bracia z sobą ni źle, ni dobrze nie byli. Gdy przyszli do izby wieczorem, spojrzał jeden na drugiego, ledwie który słówko jakie przebąknął, ziewnęli i spać się kładli.

Jednego rana, nim powstawali jeszcze, tylko co się obudzili, w podwórcu słyszą krzyk srogi, zawodzenie okrutne, jakby kto umarł lub kona. Wszebór się zerwał i ucha nadstawił. Poznał, że był to głos niczyj inny, tylko wdowy, Spytkowej. Co prędzej więc począł brać odzież na siebie i pobiegł w podwórze.

Mszczuj się jeszcze wyciągał i wcale się nie śpieszył.

Wśród podwórka stała Spytkowa, ubrana już bardzo strojno, jak była zwykła, z rączkami załamanemi, z chustą białą, jakby do ocierania łez naumyślnie przysposobioną i — płakała.

— Ratujcie mnie, niebogę! Pomóżcie mi sierocie! Córkę moją, jedynaczkę mi porwano!... Kasia moja kochana! gdzie się ty dziewasz? o dolo ty moja, dolo!

Dziwna była rzecz, że choć oczy chustką białą ocie-

rała, jakoś łzy nie ciekły, a choć tak narzekała głośno, nikomu się w tę straszną rozpacz wierzyć nie chciało.

Stał tuż Belina stary, Hanna i Zdana, i czeladzi dużo i niewiasty wszystkie, na rękach popodpierane, z fartuchami w palcach, patrzali na nią wszyscy, nikt się jakoś nie ruszał.

Tomka jednego nie było.

Wszebór wpadł nagle, jak burza.

— Co się wam stało, miłościwa pani, co się stało?

— A! co się stało? Nieszczęśliważ ja sierota, jedynaczkę moją, oko w głowie moje jedyne. Kasię mi ukradziono.

— Jak? gdzie? kto? kiedy? skąd? od waszego boku? — zakrzyknął Doliwa. — Być że to może? o dniu białym.

— Nic ja nie wiem, ni kto, ni kiedy! nie wiem! Ot tak, znikła, wpadła jak w wodę! Niema mojej pociechy! Kasiuni mojej niema! o! ja matka nieszczęśliwa, sierota!

Zaczęła płakać Spytkowa i chustką oczy zakryła.

Wszebór w pierwszym zapale do szopy skoczył po konia, oczy mu się zaiskrzyły okrutnie.

— Zabiję! — wołał. — Wiem ja, kto mógł to uczynić, wiem! A no, biada mu! Dopędzę, zabiję, nie ujdzie z życiem, choćby się pod ziemię skrył, z pod ziemi go dobędę! nie ujdzie mi!

Aż wtem zmiarkowawszy, iż sam jeden w pogoń się puścić nie może, nazad do izby się rzucił po Mszczuja.

Mszczuj, choć drzwi stały otworem i słyszał prawie wszystko, cale się nie śpieszył, ledwie za jeden rękaw opończę wziąwszy, bose nogi z pod skóry dobywał.

— Wstawaj żywo! na koń ze mną! narzeczoną mi porwano! w pogoń' iść! musimy! gwałtownika zabić!

Mszczuj, jak siedział na posłaniu, tak się ani ruszał; głowę podniósł do góry, wzrok skierował na brata i patrzał nań, aż się wykrzyczy.

— A wiesz że ty, kto ją porwał? — zapytał niedbale.

— Ty się mnie jeszcze pytasz! Ty! albo to niewiadomo? Któż to mógł inny uczynić, jak nie Tomko? — krzyknął Wszebór.

— No, może to i być — odparł brat spokojnie. — Więc kiedy ci ją wzięto i poszła za nim, nie krzyknąwszy, po dobrej woli, czyś ty oszalał rozbijać się za nią? A co ci po niej? Ludzie ci w oczy będą świecili, żeś ją wziął po drugim, co tobie niedogryzki swoje zostawił.

— Ubiję gwałtownika! ubiję! — zaryczał Wszebór. — Krew zmaże mój srom!...

— Ubijesz go za to, że on ci życie ocalił? — zawołał Mszczuj. — Hę? czy twoje życie i lada dziewczyny nie warto?

Śmiał się Mszczuj obojętnie; z cudzej biedy dobrze mu się śmiać było. Wtem do drzwi otwartych przypadła Spytkowa.

W pogoń chcecie iść za nim? a! ja najnieszczęśliwsza! Jeszcze i was zabiją! nie puszczę! Zapamiętały człek, w obronie dziewczyny gotów siec i mordować. On was zabije! Ja nikogo w świecie nie mam, ino was jednego! Nie puszczę was! Niech się co chce dzieje!

Wyrazy te i zimna krew brata ostudziły Wszebora. Padł na ławę z głową spuszczoną, klnąc tylko pocichu, a zębami zgrzytając i włos targając na głowie. Pięści mu się sciskały, oczy wychodziły z powiek, pot gorący kroplami ściekał po czole, nogami bił o ziemię.

— W pogoń nie pogonię, ale z tego domu precz musimy iść jednej godziny! Zdrada mnie tu spotkała, nie gościna. Znać ich nie chcę! Mszczuj, wstawaj, na koń, jedziemy! Spać nie będę pod tym dachem, chleba z nimi nie rozłamię.

— A jedź — odparł Mszczuj, — ino mnie daj pokój; ja nie pojadę, bo nie mogę, koń mi wczoraj zakulał wszetecznie, i ochoty nie mam. Czego ja się będę śpieszył?

Spytkowa słuchała tej rozmowy, nie odstępując nieszczęśliwego, siadła nawet przy nim na ławie, jednem okiem płacząc jeszcze, a łagodnym głosem kojąc jego strapienie.

— Wyrzeknę się niewdzięcznego dziecka! — mówiła — na oczy jej widzieć nie chcę! Ale co się stało, to trudno odrobić! Kto wie, gdzie oni już dziś są i ślub pewnie im dał ksiądz. Uspokójcie się, pogadajmy z sobą. Wy mnie nie możecie przecie porzucić, ja nieszczęśliwą zostałam sierotą, a kto mnie wesprze we wdowieństwie mem, jeśli nie wy?

Słysząc tak rozpoczętą rozmowę, Mszczuj opończę na siebie narzucił i wymknął się do kulawego konia, samych ich z sobą zostawując.

Siedzieli tam na tej ławie bodaj ze dwie godziny,— nikt im nie przeszkadzał. Stanęło na tem, że się Wszebór koniecznie z Horodyszcza wybierze natychmiast, ale tylko za bramę... Dalej miał czekać na Spytkową i razem z nią jechać do Ponieca.

Tak prosiła go pięknie, tak umiała i płakać i oczyma zawracać, i różne postawy przybierać, że się Wszebór dał pociągnąć.

Natychmiast z Horodyszcza wyruszywszy za wrota, nikogo nie żegnając, namiot sobie kazał rozbić na łące i tam na wdowę do następnego ranka miał czekać.

Cały ten dzień Spytkowa się żegnała z Belinami, a usta się jej nie zamykały. Mówiła głośno, to na ucho jednej, to pocichu drugiej, ściskała wszystkie, płakała, śmiała się, wzdychała, modliła, śpieszyła — a o Kasi prawie mowy nie było.

Nazajutrz rano w małym poczcie, który jej dla bezpieczeństwa dodano, ruszyła Spytkowa w podróż do Ponieca, w towarzystwie swojego opiekuna, który jechał, jak struty, milczący, zły i blady.

W kilka dni potem Mszczuj, który na miejscu dla kulawego konia pozostał, zaręczył się uroczyście ze Zdaną, a na ten dzień Kasia z mężem z Borów przybyła. Że się weselе nie odbyło, jak należało, więc obrzęd jego odłożono na ten czas, gdy Mszczuj przybyć miał po Zdanę. Trzeba było gniazdo wprzódy wysłać miękkie, nim się złote wprowadzi ptaszę.

Tak się skończyło dwojgiem zapowiedzianych we-

sel oblężenie Olszowego Horodyszcza, długo w podaniach miejscowych pamiętne.

Upłynęło potem miesięcy kilka, Kazimierz król szedł zwycięsko, przywracając w kraju porządek i wiarę krzewiąc na nowo, witany wszędzie radosnemi pieśniami.

One żartobliwe swaty Spytkowej, dworującej sobie z ruskich posłów, ziściły się po zwycięstwie, z pomocą Rusi otrzymanem.

Z Kijowa obiecano posażną córkę Włodzimierzową, Dobrogniewę, która skarb wycieńczony bogatem wianem zasilić miała.

Czesi z rozkazu papieża, zagrożeni przez Henryka, cofali się z większej części krajów zawojowanych... Duchowni wracali, kościoły święcono na nowo...

Łaskawszem okiem Bóg spojrzał na srogiemi klęskami wypróbowaną ziemię.

Jesień już nadchodziła i lasy się okoliczne złociły liśćmi pożółkłemi, gdy Belinowie na uroczyste wesele syna, na wesele córki razem spraszać poczęli rodzinę i sąsiadów.

Mszczuj, który osobno mieszkał i gospodarzył, a z bratem się widywał rzadko, i od dnia owego, za przyjaźń Belinom okazaną, niemal od niego za zdrajcę był miany, — jadąc na wesele, poczuł się w obowiązku starszego brata, głowę rodziny, choć zagniewanego, prosić o błogosławieństwo.

Jechał tedy zawczasu do niego, sposobiąc się do tego, iż niedobrze będzie przyjętym. Lecz co się mogło stać, to gotów był przyjąć, a obowiązek względem starszego spełnić musiał.

U Wszebora, jak to wszystko zwykło było iść gorąco, dużo się zrobiło w małym czasie. — Stało już odbudowane obejście całe, poddostatkiem było psów i koni, czeladzi i zbroi.

Sam on właśnie z łowów powracał, gdy brat zajeżdżał w podwórze.

— Z pokłonem do was przybywam, z ręcznikiem i korowajem — odezwał się Mszczuj. — Na wesele was

na Horodyszcze prosić nie śmiem, bo wiem, żeście gniewni na Belinów i na mnie za Kasię — a no błogosławieństwa swojego, jako brat starszy, mi nie odmawiajcie.

To mówiąc, Mszczuj, jak przed ojcem, ukląkł przed starszym bratem, i głowę przed nim skłonił.

Wszebór go za ramiona pochwycił i uścisnął milczący.

— Niech Bóg błogosławi! — rzekł krótko. — Chodź do domu. Dawnoś o mnie zapomniał, a ja, ty wiesz, nierad się kłaniam tym, co o mnie zapominają.

— I ja też! — rzekł Mszczuj. — Bracie, jednej krwi jesteśmy!

Oba się rozśmiali weselej... Weszli do izby. — Kazał Wszebór miodu podać, choć młodego, bo stary wypiły gromady — ale mocnego. — Uderzyli w kubki.

Długo jakoś nie szła mowa.

— No — a cobyś ty powiedział — bąknął Wszebór — gdybym i ja się ożenił.

— Bracie miły! szczęściabym ci życzył, jako sobie samemu.

— No to i życz — rozśmiał się starszy. — Wiesz, z kim się żenię? A no ze Spytkową! Nie unikniesz swojej doli. Wiedźma mnie opętała! Krasa i młodość prędko przechodzą! Prawda, wdowa nie tak młoda, ale jeszcze dobrze się trzyma, a za serce mnie wzięła! Jak kto poczuje, że go miłują, przez wdzięczność miłować musi! A baba się we mnie rozmiłowała srodze!

I rzekł Wszebór po chwili namysłu.

— A cobyś ty rzekł, żeby się trzy weseliska razem odbyły?

— Toć nie można lepiej! — krzyknął Mszczuj. — W pokoju i zgodzie poczęłoby się życie nowe! Niech Bóg płaci!

Pocałowali się bracia.

— Jedźmy do mojej baby jutro! — rzekł Wszebór. — Jak jej powiem, że tego żądam, uczyni, co ja chcę. — W ogieńby za mną poszła i w wodę. — Za-

tem o brzasku jutro do Ponieca, babę na koń i dwór, a wozy duchem wyprawiam na Horodyszcze...!

Stało się tak, jak Wszebór życzył; pociągnęli na ową pamiętną im dolinę, wśród której dni tak straszne przeżyli.

Wesela ze wszystkim obrzędem ówczesnym odbyły się w niedzielę. Pogoda im sprzyjała szczęśliwie, rycerstwa zjechało dużo, i dworzec starego Beliny cale teraz inaczej wyglądał.

W wielkiej izbie na dole, w której u ogniska siadywała starszyzna w dniach trwogi, zastawione były stoły dla gości. Wesoło szumiały i okrzykami rozlegały się podwórza.

Co skoki ustały, to się pieśni rozpoczynały, a jak oboje znużyło, stawali wszyscy gromadą i śmiali się, wesoło podżartowywując, zwłaszcza dziewczęta i chłopcy.

Wieczór był już zapadł dobry i zabawa coraz się stawała gwarniejszą, — gdy i goście, co za stołem siedzieli i młodzież w drugiej izbie, aż zadrżeli z przestrachu.

Trzy trąby wielkim głosem, dziwnym, nieznanym ozwały się u bramy... Rogi i trąby sąsiedzkie po głosie łatwo rozróżniano — tych i głos i granie jakieś było nieswoje, a straszne.

W izbie wielkiej w pierwszym popłochu rzucili się wszyscy do mieczów, przypomniały się dni straszne, lecieli ku wrotom. — Belina stał już na pomoście nad niemi; ale zaledwie nań wszedł, jeszcze prędzej zbiegł, wołając, aby bramy na rozcież otwierano.

— Król! król! — rozległo się po gródku całym.

Król to w istocie jechał. Obóz jego niedaleko stamtąd był rozbity w pochodzie. Dano Kazimierzowi znać, że się aż trzy razem wesela odprawiały na Olszowem Horodyszczu — i zjechał pan, aby się dobrą myślą podzielić ze starymi sługi i drużyną.

Na odgłos: król! — mężczyźni, niewiasty, dzieci, czeladź, ktokolwiek był na Horodyszczu, wybiegł, jak stał, ku wrotom, i poczęto śpiewać, a wywoływać:

— A witajże nam! witaj, miły panie!

Chyliły się głowy, podnosiły ręce, radość była niezmierna.

Król jechał na siwym koniu, odziany bogato, z łańcuchem na piersi, z pasem złotym, w szłyku sobolim, w płaszczu szkarłatnym...

Za nim wojewodów dwóch w kożuchach z kun, jedwabiem pokrytych, za nimi drużyna świetna i czeladź, a pachołkowie.

Król miał twarz tak wesołą, jak u niego nawet po największem nie widziano zwycięstwie. Patrzał dokoła i rękami też witał znajomych... Do strzemienia przypadł stary Belina, ramię mu podawszy, aby się na niem sparł, zsiadając — i tak go wiódł do izby oświetlonej pochodniami, a za nim szli i tłoczyli się wszyscy, by miłego pana zobaczyć.

I ciasno się zrobiło w wielkiej izbie, jak nabił, bo nikt ustąpić nie chciał. Gdy króla siedzenie przysposobiono, zdjął z głowy kołpak, oczyma wodząc dokoła.

— Gospodarzu! — rzekł. — Nie myślcie, żem ja tu do was jako gość przybył, — zjechałem, jako sędzia. Macie tu winowajców, którzy stanąć muszą przede mną.

Skinął Kazimierz na starego Trepkę, który, głos przejąwszy, odezwał się:

— Tak jest! Miłościwy pań ścierpieć nie może tego, aby wola jego i rozkaz nie były poszanowane. Zbliżcie się więc pozwani przed królewski sąd, wy, wdowo po Spytku, Marto, wy, córko Spytkowa, Katarzyno, i ty, Tomku Belino! — Miłościwego pana wolą było, aby Wszeborowi Doliwie dostała się córka Spytka, daliście na to słowo wasze i nie strzymali.

Chociaż Trepka w niegroźny sposób to mówił, spojrzeli na się wszyscy, i nie wiedzieli, co mówić, ani co poczynać. Tomko, za rękę żonę ująwszy, która dnia tego piękną była szczęściem i radością wielką, przystąpił do króla i pokłąkł.

— Jeżeli kto winien, miłościwy panie, to ja jeden. Ukaranie twe niech mnie spotka jednego!

Wszebór też się zbliżył i pokłonił.

— Ja u stóp królewskich za nim proszę, bo mi życie ocalił! A że krzywda mi się nie stała, dowodem, iżem dziś do ołtarza poprowadził tę, z którą tu stoję przed tobą...

Król się uśmiechał...

— Bodajbyście tylko takiem nieposłuszeństwem grzeszyli — rzekł, śmiejąc się wesoło. — A no bez kary obejść się nie może! — dodał, skinąwszy na jednego z drużyny.

Wystąpił tedy powołany, niosąc łańcuchy złote na ręku.

— Abyście winę waszą zawsze w pamięci mieli przytomną — rzekł — noście oto te łańcuchy, a gdy spojrzycie na nie, pomyślcie o mnie.

Poklękali wszyscy przed Kazimierzem, który zkolei niewiastom i mężom kładł na szyję przywiezione dary... Krzyki radosne rozległy się po zamczysku, i król, kubek z rąk gospodarza wziąwszy, pił za zdrowie nowożeńców.

I był ten dzień przez długie wieki pamiętnym pokoleniom następnym, jak owe dni grozy i trwogi, za które zapłacił sowicie.

KONIEC

$+\frac{D\,d_0}{2}$